Sztuka to najwyższy wyraz samouświadomienia ludzkości /.../
Dzieło sztuki – mikrokosmos odbijający epokę.

Józef Czechowicz

Cena 85.—

a 1

1(23) 1986

akcent

literatura i sztuka ● *kwartalnik*

WĘGRZY I O WĘGRACH

akcent

rok VII
nr 1 (23) 1986

akcent

literatura i sztuka

kwartalnik

rok VII
nr 1 (23) 1986

a akcent

literatura i sztuka

kwartalnik

Redaguje kolegium:

MONIKA ADAMCZYK, IZABELLA GAWARECKA
TADEUSZ KWIATKOWSKI CUGOW
WALDEMAR MICHALSKI (sekretarz redakcji),
DOMINIK OPOLSKI
BOGUSŁAW WRÓBLEWSKI (redaktor naczelny),
FRANCISZEK PIĄTKOWSKI, BOHDAN ZADURA

Redaktor techniczny
Janusz Solecki

Współpraca w dziedzinie plastyki i historii sztuki
Lechosław Lameński

Korekta
Janina Hunek

Wydano przy pomocy finansowej
Wydziału Kultury i Sztuki
Urzędu Wojewódzkiego w Lublinie

PL ISSN 0208 — 6220

Nr indeksu 35207

© Copyright 1986 by „Akcent"

SPIS TREŚCI

Kiedy Rakoczy do Polski uchodził/7
Jerzy Robert Nowak: *Odkrywanie Węgier*/8
Wiersze: Gyula Illyes, Tamas Kiss/17
Erzsebet Galgoczi: *Pielgrzymka do więzienia*/21
Wiersze: Istvan Kovacs, Sandor Csoori, György Gömöri, Árpad Farkas/43
Tadeusz Olszański: *Nowy przekład „Chłopców z Placu Broni"*/49
Ferenc Molnar: *Chłopcy z Placu Broni* (fragment)/50
Jolanta Kowalczykówna: *Lekcja Ferenca Molnara trwa*/57
Wiersze: Sandor Gal, Ferenc Buda/63
Sandor Csoori: *eseje*/67
Wiersze: Adam Nikiai, Sandor Kanyadi/77
Matyas Domokos: *Głosy ptaków, głosy ludzi?*/80
Wiersze: Geza Aczel, Gaspar Nagy/84
Dyskusja o krytyce/87
Ivan Mandy: *Studencka miłość*/98
Wiersze: György Somlyo, Lajos Papp/105
Mieczysław Wieliczko: *Polskie ślady w renesansowej kulturze Węgier*/110

PRZEKROJE

Paweł J. Smoczyński: *Język moralności i szczęście. Polska literatura filozoficzna w roku 1985*/121

PLASTYKA

Lechosław Lameński: *Adam Manyoki i jego portrety*/133
Mieczysław Wieliczko: *Tibor Csorba*/135

FILOZOFIA

Stanisław Jedynak: *O filozofii węgierskiej*/143

HISTORIA

Leszek Piątkowski: *Stefan Batory — polski król z Siedmiogrodu*/150

NOTY

Andrea Jaworska: *Bela Bartok — 40 rocznica śmierci*/159
Ludwik Gawroński: *Stanisław Serwaczyński — dyrygent opery w Peszcie*/162
Jan Kulnianin: *Ziemia węgierska azylem Polaków*/165
Zbigniew Jóźwik: *Norbert Lippóczy — senior wśród kolekcjonerów*/168

Kiedy Rakoczy do Polski uchodził

(pieśń z okresu powstania Rakoczego)

Z Bogiem, kraju Węgier, ostań!
Wśród Polaków moja przystań.
Uchodzić muszę w potrzebie,
Inny znaleźć kraj dla siebie.

Żali winą się zmazałem,
Że tak Węgrów pokochałem?
Węgier klęskę mi zgotował,
W raba łańcuch mnie zakował.

Rzekł jam przecie był Węgrowi,
Nie wierz Niemców cysarzowi,
Wszytką z ciebie krew wypije,
Iż pójdziesz z żebraczym kijem.

Przekonasz się o tym, kiedy
Już za późno będzie, wtedy
Wspomnisz słowa Rakoczego,
Z płaczem się udasz do niego!

przełożył *Bohdan Zadura*

JERZY ROBERT NOWAK

ODKRYWANIE WĘGIER*

W 1915 r. Stefan Żeromski wystąpił z odczytem „Literatura a życie polskie", ukazującym, jak silnie ciążą na polskich twórcach różnorakie obowiązki społeczne i narodowe. Żeromski przypominał, że od dłuższego już czasu literatura nasza, w sposób szczególnie wyraźny, specyficznie polski spełnia zadania, które gdzie indziej są sprawą instytucji życia zbiorowego, parlamentów i kongresów oświatowych, partii politycznych i organizacji kulturalnych. Ubolewając nad wyjątkowością roli spełnianej przez polską literaturę, Żeromski wyrażał nadzieję, że stopniowo będzie ona odciążana od wielkiej części swych narodowych i społecznych obowiązków. W rzeczywistości jednak ten imperatyw działania w służbie społeczeństwa, szczególnych, nie znanych na Zachodzie obowiązków twórców, nie był nigdy problemem wyłącznie i specyficznie polskim, lecz imperatywem równie silnie ciążącym na twórcach wszystkich pozostałych mniejszych i średnich narodów Europy Środkowo-Wschodniej. Największy powojenny poeta węgierski, przez wiele lat wiceprezes światowego PEN-Clubu, Gyula Illyés, w publikowanym w 50 lat po tekście Żeromskiego eseju *Czy dwie poezje* zaakcentował ten właśnie specyficzny charakter poezji i literatury Węgier, Polski i innych krajów Europy Środkowo-Wschodniej jako literatur ciągłego ruchu oporu przeciwko najazdom, w odróżnieniu od literatur Europy Zachodniej, gdzie warunki historyczne o wiele bardziej pozwalały poetom na czyste eksperymenty, formalne igraszki słowne, sztukę dla sztuki, nie zmuszając ich do nieustannego angażowania się bez reszty w losy swego narodu.

Wiek XX, wbrew nadziejom Żeromskiego, wcale nie uwolnił literatur narodów naszego regionu od ciążących na nich szczególnych obowiązków narodowych i społecznych. Przeciwnie, na twórcach naszego regionu jeszcze silniej niż kiedykolwiek zaciążyły postulaty walki o przezwyciężenie trwającego całe stulecia zapóźnienia politycznego, gospodarczego i cywilizacyjnego wobec Zachodu, „doganiania Europy". Jak węgierscy twórcy widzą troski i dylematy swego kraju, jak angażują się w jego losy, jak walczyli i walczą o kierunki naprawy i niezbędne reformy?

Pierwsze trzy lata po 1945 r. — burzliwy okres rządów koalicyjnych — były szczególnie szczęśliwe dla węgierskiej literatury, nieraz określano je jako swego rodzaju „złotą epokę". Likwidacja wieloletnich ograniczeń życia intelektualnego umożliwiła rozwój niezwykle bujnego życia literackiego i dynamiczny rozkwit różnych dziedzin kultury. Cała

* Szkic, ten w poszerzonej postaci stanowi przedmowę do tomu publicystyki i eseistyki węgierskiej przygotowywanego przez Wydawnictwo Literackie. Z tego tomu pochodzą także drukowane przez nas eseje Sandora Csoorego (przyp. red.).

atmosfera ówczesnego życia kulturalnego była daleka od jednostajności, wciąż trwały zacięte spory literackie, rozkwitało swoiste „sto kwiatów", i to wszystko na tle upartej walki stronnictw lewicowych o urzeczywistnienie radykalnych postulatów społecznych. Bardzo skomplikowana była mozaika ówczesnego życia kulturalnego pod względem organizacyjnym. Każda wchodząca w skład rządzącej koalicji partia, od komunistycznej po prozachodnią Partię Drobnych Rolników, dysponowała własnym studio filmowym. Działało wiele różnorodnych ugrupowań literackich o odmiennych programach artystycznych, a czasem i politycznych. Najprężniejszym z nich była grupa „pisarzy ludowych", bardzo wpływowa, bo węgierscy „populiści" stali wówczas na czele jednej z czterech głównych krajowych partii politycznych — Narodowej Partii Chłopskiej. Redagowany przez Gy. Illyésa organ pisarzy ludowych — „Válasz" („Odpowiedź") prowadził intensywną działalność polityczną ciągle akcentując koncepcje szczególnej roli chłopstwa. Atmosferę ówczesnych sporów i dyskusji ilustruje reportaż *Wiec ludowy i dysputa ideowa* pióra jednego z najwybitniejszych węgierskich prozaików, debiutantów pierwszych lat po wojnie, Imre Sarkadiego, wówczas redaktora odpowiedzialnego dziennika Narodowej Partii Chłopskiej „Szacnad Szó" („Wolne Słowo").

Poważny rozwój twórczy przeżywała skupiona wokół czasopisma „Vigilia" grupa pisarzy i poetów katolickiej odnowy: J. Pilinsky, A. Nemes Nagy, Gy. Ronay, której przedstawiciele szczególnie mocno akcentowali w swej ówczesnej twórczości problematykę rozrachunku z faszyzmem (poezja Pilinszkiego). Zgrupowani wokół L. Kassaka awangardyści (czasopismo „Alkotas" — „Twórczość") propagowali nowoczesne kierunki artystyczne w literaturze i sztuce, akcentowali potrzebę wolności twórczej pisarzy. I wreszcie zbliżeni do partii komunistycznej pisarze lewicowi grupujący się wokół czasopism „Forum", „Valósag" („Rzeczywistość"), „Emheriseg („Ludzkość"), ludzie, którzy najczęściej dopiero wracali do węgierskiego życia kulturalnego po wieloletniej tułaczce emigracyjnej czasów Horthyego (filozof Gy. Lukács, krytyk i historyk literatury J. Revai, pisarze: T. Dery, E. Illes i in., dramaturg Gy. Háy). Opublikowano dziesiątki wartościowych pozycji, nie dopuszczonych do druku przez cenzurę Horthyego. Z wieloletnim opóźnieniem wydano wtedy po raz pierwszy od 1938 r. leżącą w szufladzie książkę Tibora Déryego *Befejezetlen Mondat* („Niedokończone zdanie"), ukazały się w druku liczne inne utwory powstałe na emigracji. Kierownictwo partii komunistycznej podejmuje wielorakie wysiłki dla rozszerzenia swych początkowo skromnych wpływów wśród inteligencji. Już w maju 1945 r. dochodzi do spotkania kierownictwa partii z czołowymi intelektualistami, później stają się zwyczajem okresowe spotkania z wybitnymi przedstawicielami poszczególnych grup inteligencji, otwarte szczere dyskusje, niekiedy nawet spięć i kontrowersji. Czołowy intelektualista marksistowski, filozof György Lukács w publikowanym w 1945 r. szkicu *O poezji zaangażowanej* wysuwa własną specyficzną interpretację leninowskiej tezy o partyjności pisarzy i literatury, opartą na koncepcji „poety partyzanta". Jego zdaniem pisarze nie powinni ściśle przystosowywać się do wszystkich bieżących, taktycznych celów partii, lecz raczej mieć przed oczyma głównie strategiczne cele partii i służyć im jak najlepiej według własnego odczucia. W myśl tej koncepcji, poeta partyjny „nigdy nie jest dowódcą czy zwykłym żołnierzem liniowym, lecz zawsze partyzantem". Później koncepcja ta została poddana krytyce, ale w latach 1945-1948 przyczyniła się do usunięcia wielu uprzedzeń do marksizmu, ułatwiała koegzystencję różnorodnych kierunków.

Niestety, już wkrótce nastąpił dramatyczny koniec „złotej epoki". Lata 1949-1956, tzw. okres Rakosiego, chyba najmocniej odbiły się na węgierskiej kulturze. Nastąpiła przymusowa likwidacja ugrupowań literackich, niektórych pisarzy uwięziono, ponad 150 usunięto ze

Związku Literatów, wielu innych znalazło się na indeksie. Zrezygnowano z kontynuowania prowadzonej w latach 1945-1948 polityki przyciągania dla sprawy socjalizmu przedstawicieli starej inteligencji, teraz a priori z ogromnym uproszczeniem odrzucono ich na bok jako reakcyjnych czy „faszystowskich", widząc jedyną szansę w młodym pokoleniu inteligencji, wchodzącym w życie po 1945 r. Niemałą rolę w tej sekciarskiej polityce wobec inteligencji odegrał fakt, iż większość polityków kulturalnych doby Rakosiego wywodziła się z ludzi, którzy — przebywając w okresie międzywojennym na emigracji — w całej inteligencji pozostałej w kraju skłonni byli widzieć wyłącznie popleczników horthyzmu. Cenzura Rakosiego ugodziła nawet w tak znakomitą pozycję dramatu węgierskiego, jak *Tragedia człowieka* Imre Madacha oraz niektóre utwory muzyczne Béli Bartoka (m.in. *Cudowny mandaryn*), i to mimo iż Bartoka oficjalnie uznano za artystę narodowego.

W prasie kulturalnej zapanowała monotonia i naiwny dydaktyzm. Zacytujemy wręcz anegdotyczny przykład pewnej, „bardzo poważnej" recenzji z przedstawienia operetki *Wielka księżniczka Gerolstein* Offenbacha, zamieszczonej w czasopiśmie „Képes Figyelő" z 20 stycznia 1950 r. W recenzji stwierdzono m.in.:

Wymowa sztuki w dziedzinie polityki zagranicznej jest słuszna i pouczająca. Mamy zastrzeżenie jednak wobec przedstawienia księżnej w sympatycznym świetle i wobec mętnej sceny w trzecim akcie, kiedy to przywódca ludu, zamiast obalić skorumpowany rząd i całe wielkie księstwo, zasiada do rozmowy towarzyskiej z Ich Wysokościami. Takie są nasze najistotniejsze zastrzeżenia pod adresem „sztuki".

Jaskrawym przejawem schematyzmu i sekciarstwa ówczesnej polityki kulturalnej było jej dążenie do natychmiastowego uzyskania od literatury i sztuki efektów politycznych i produkcyjnych. Jeden z czołowych polityków kulturalnych tego okresu, Marton Horváth pisał w „Szabad Nep" („Wolny Lud") z 17 kwietnia 1949 r.: *To plan pięcioletni powinien określać linię generalną naszej literatury i także wybór głównych tematów.* Mnożyły się wszelkiego rodzaju liryki o „śpiewających parowozach", „wielkich piecach w Ózd" czy „dydaktyczne" utworki w stylu osławionego wiersza „Tito":

Splamiłeś piękny i błękitny
modry aksamit Adriatyku...
Zasiałeś w duszach starców smutek...

Wtórowały mu dramaty w stylu aktualizującej inscenizacji *Makbeta* z głównym bohaterem ucharakteryzowanym na przywódcę Jugosławii.

Szczególnie jaskrawym przykładem tego, do czego prowadziła sekciarska nadgorliwość, była historia pewnego wybitnego profesora kultury romańskiej na uniwersytecie w Budapeszcie. Profesor ten napisał w swym wstępie do zbioru listów Leonarda da Vinci, iż był on wprawdzie największym i najbardziej utalentowanym artystą Renesansu, ale nie mógł rozwinąć swego geniuszu w całej pełni, ponieważ nie było to możliwe przed wielką socjalistyczną rewolucją październikową. Schematyczne ograniczenie i wymogi ówczesnej polityki kulturalnej sprawiły, że najciekawsze pozycje literackie tego okresu pozostawały przeważnie poza oficjalnym nurtem literatury wiodącej, grzęzły w szufladach bądź uciekały tematycznie w przeszłość. Znaczna część twórców starszego pokolenia całkowicie zamilkła w latach pięćdziesiątych, odgórnie zmuszona do „emigracji wewnętrznej" lub dobrowolnie zamykająca się w „wieży milczenia". Tę ostatnią postawę, wybierającą milczenie twórcze, by uniknąć kłamstwa, by nie zdradzić swego człowieczeństwa, najlepiej wyraził Istvan Vas, pisząc w 1952 r.: *Nie muszę być poetą za wszelką cenę... człowiek jest bowiem czymś ważniejszym niż wiersz.* Rozkwit schematycznych tendencji przyniósł aż tak wyraźne szkody w dziedzinie literatury, że czołowy polityk

kulturalny, członek Biura Politycznego Partii, odpowiedzialny za ideologię i kulturę József Revai publicznie zainaugurował kampanię przeciw schematyzmowi na pierwszym zjeździe pisarzy w 1951 r. Spotkało się to z nader żywym oddźwiękiem wśród pisarzy, przykładem choćby zjazdowe wystąpienie Tibora Deryego.

Już wkrótce miało się jednak okazać, iż nie jest możliwa walka przeciw schematyzmowi w jednej odosobnionej dziedzinie — kulturze, podczas gdy we wszystkich innych dziedzinach nadal panuje dogmatyzm. W polityce kulturalnej znowu powrócono do wypróbowanych schematycznych założeń, co nasiliło krytyczne postawy wśród dużej części inteligencji i wielu znanych intelektualistów. Przyczyniły się do tego też dokonane w latach 1955-1956 skrajne „oszczędności" w dziedzinie kultury. Podczas gdy do 1955 r. wydawano rocznie na inwestycje kulturalne 488 mln, to w 1955 r. przeznaczono na ten cel już tylko 317 mln, a w 1956 r. — 287 mln forintów. Na kilka miesięcy przed październikiem 1956 r. pisarz i poseł do parlamentu, Pál Szabó, w głośnym artykule *Węgry w 1956* ostrzegał przed negatywnymi skutkami zaniedbań w dziedzinie kultury, stwierdzając, iż pozostaje mu jedynie spłonąć ze wstydu widząc wielkość przeznaczonego na cele kultury ułamka budżetu państwowego. I apelował: *Niech partia i rząd natychmiast znajdą drogę do tej inteligencji. A jeśli ją znajdą, to śmiało można stawać do śmiałego referendum w sprawie rewolucji.* Tragiczne wydarzenia październikowe i ich przebieg przyczyniły się do bardzo poważnego wstrząsu w środowiskach intelektualnych i ich gwałtownego konfliktu z władzą. W pierwszych miesiącach 1957 r. dochodzi do przejściowego rozwiązania niektórych stowarzyszeń twórczych, a w tym i Węgierskiego Związku Pisarzy (reaktywowano go w 1959 r.), i aresztowania niektórych literatów.

Ze względu na trudności polityczne, występujące w różnych dziedzinach kultury, przejawy opozycyjności dużej części twórców, w niektórych kręgach pojawiły się nastroje antyinteligenckie, skłonność do potępienia w czambuł całej inteligencji jako warstwy „kontrrewolucyjnej" i chęć „posadzenia jej na ławie oskarżonych". Działacze Węgierskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej, stanowczo występując przeciwko tendencjom opozycyjnym w dziedzinie kultury, równie stanowczo wystąpili jednak przeciwko antyintelligenckim uogólnieniom, uznając, że mogą one w rezultacie doprowadzić tylko do zepchnięcia wielu wahających się na pozycje trwale wrogie socjalizmowi. Do takiego skutku doprowadziłaby na przykład głoszona przez niektórych koncepcja całkowitego odsunięcia na bok starszych pokoleń literackich, jako tych, na których nie można polegać pod względem ideologicznym, i oparcia polityki partii w dziedzinie literatury głównie na młodych pisarzach, entuzjastach socjalizmu. Kierownictwo partii uznało, że tego typu stanowisko doprowadziłoby tylko do umocnienia tzw. strajku milczenia części pisarzy starszego pokolenia. Jeden z czołowych węgierskich twórców zaangażowanych po stronie socjalizmu, József Darvas, przez szereg lat minister kultury WRL, a od 1959 r. aż do śmierci w 1973 r. przewodniczący zreorganizowanego Węgierskiego Związku Pisarzy, wspomniał później w *Sytuacji naszej literatury:*

Chciałbym przypomnieć, iż w momencie, gdy ukształtował się Związek Pisarzy i gdy na porządku dziennym była jeszcze sprawa konsolidacji życia literackiego, powiedzieliśmy, że żaden coś znaczący pisarz nie może czuć się dobrze, jeśli jego możliwi współzawodnicy literacy są wyłączeni z konkurencji. Jednym z pierwszych zadań było więc to, aby bez ustępstw ideowo-politycznych doprowadzić do jak najpełniejszego rozszerzenia pola dla twórców. (...) Literatura nie może bowiem na ogół rozwijać się bez konkurencji talentów, a socjalistyczna literatura również nie może prawdziwie rozwijać się i rozkwitać inaczej niż w konkurencji z innymi kierunkami. (...) Każde administracyjne zawężenie mogłoby tylko zaszkodzić naszej literaturze.

Przywódcy WSPR niejednokrotnie zwracali uwagę na potrzebę rozwoju szczerego dialogu z czołowymi postaciami życia kulturalnego, respektującego ich racje i nie urażającego ich godności. Zdecydowanie przeciwstawiając się próbom sztucznego zawężania życia kulturalnego, działacze odpowiedzialni za politykę kulturalną WSPR zwrócili wiele uwagi na przyciągnięcie znaczących intelektualnie twórców starszego pokolenia. Znamienne pod tym względem było przyznanie głównych nagród państwowych im. Kossutha w dziedzinie kultury w 1957.

Kierownictwo WSPR uznało po 1956 r., że nie wolno nikogo z góry spisywać na straty, niezależnie od jego działań w przeszłości, ze małe Węgry, które przeżyły tak wiele wstrząsów, nie mogą sobie pozwolić na pasywność czy emigrację wewnętrzną utalentowanych ludzi. Podjęto znaczne wysiłki dla pozyskania poparcia dla różnych dziedzin polityki partii również ze strony ludzi, którzy niegdyś z różnych powodów zostali odsunięci czy nawet uwięzieni. Na przykład wśród posłów do pierwszego październikowego parlamentu węgierskiego, wybranego w 1959 r., znaleźli się między innymi Peter Veres (przewodniczący Węgierskiego Związku Pisarzy, rozwiązanego w styczniu 1957 r. za rezolucję z grudnia 1956 r. diametralnie sprzeczną z polityką partii i rządu) i Bela Kovacs, były przywódca centrum w prozachodniej Partii Drobnych Rolników, jej sekretarz generalny, więziony w latach 1947--1956, minister w rządzie Imre Nagya. Inny były minister w rządzie I. Nagya, znany intelektualista i polityk, Ferenc Erdei, przejściowo uwięziony w listopadzie 1956 r., został sekretarzem generalnym Węgierskiej Akademii Nauk i sprawował tę funkcję do 1964 r., aby później zostać generalnym sekretarzem Patriotycznego Frontu Ludowego.

Również w późniejszych latach węgierska partia niejednokrotnie zademonstrowała w praktyce zdolność odzyskiwania ludzi, którzy z tych czy innych względów odeszli w którymś momencie. W poważnej mierze dotyczyło to wielu pisarzy i naukowców, którzy w latach 1956--1957 znaleźli się po drugiej stronie barykady. W przeciwieństwie do czasów Rakosiego polityka WSPR kierowała się założeniem: „zwalczać poglądy, a nie ludzi je wyznających".

Najbardziej charakterystyczny pod tym względem jest przykład znanego pisarza Tibora Deryego, skazanego w 1957 r. na 9 lat więzienia. Po amnestii w 1960 r. Déry znów znalazł się w węgierskiej czołówce literackiej, kilkakrotnie reprezentował Węgry na międzynarodowych kongresach pisarzy. Déry, podkreślając swą odrębną ocenę wydarzeń 1956 r., niejednokrotnie akcentował swą aprobatę polityki WSPR w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych.

Można by przytoczyć liczne przykłady ewolucji podobnej jak w przypadku Deryego. Symboliczny jest fakt, że autorem pierwszej węgierskiej biografii J. Kadara, entuzjastycznie przyjętej przez krytykę, jest László Gyurkó, który w 1957 r. był przejściowo aresztowany, a od 1971 r. był posłem do parlamentu i dyrektorem teatru. Zastępcą redaktora naczelnego głównego węgierskiego tygodnika kulturalnego (160 tysięcy nakładu na małe Węgry) jest Sandor Fekete, w 1958 r. skazany na 9 lat więzienia za autorstwo antypaństwowych tekstów politycznych pisanych pod pseudonimem Hungaricus i wydanych za granicą, amnestionowany w 1963 r.

Wszystko to oznaczało radykalne zerwanie z dawną polityką podejrzliwości i niewiary w ludzi, gdy ulubioną maksymą dogmatycznego przywódcy M. Rakosiego były słowa, że „z psa nie będzie słoniny".

Jak wiele troski przykładało i przykłada kierownictwo WSPR do stałego, cierpliwego i pryncypialnego zarazem dialogu z czołowymi intelektualistami węgierskimi, najlepiej świadczą liczne stwierdzenia zawarte w obszernym artykule napisanym przez I sekretarza KC WSPR — Janosa Kadara po śmierci pisarza Petera Veresa. P. Veres od 1919 r. uczestniczył w radykalnym ruchu chłopskim, po wojnie był przywódcą

Narodowej Partii Chłopskiej, w grudniu 1956 r., jak już wcześniej wspommałem, był przewodniczącym rozwiązanego wówczas Węgierskiego Związku Pisarzy. W późniejszym okresie jednak Veres, chociaż pozostał poza partią i w niektórych sprawach nadal wyrażał swe odrębne stanowisko, niejednokrotnie udzielał poparcia dla realizowanej przez partię głównej linii politycznej, odgrywał ważną rolę w węgierskim życiu publicznym, był posłem do parlamentu. W pełnym szacunku dla postaci Petera Veresa artykule Janos Kadar przypomniał równocześnie skomplikowany, ale cierpliwy i owocny w ostatecznym rezultacie dialog między Veresem a partią w słowach:

Między Peterem Veresem a partią komunistyczną w przeszłości zaznaczyły się poważne różnice poglądów i spięcia w trzech problemach wielkiej wagi. W dwóch z tych problemów Veres zajmował błędne stanowisko, w jednym racja była po jego stronie. Jednym ze źródeł sporów były te z głoszonych przez Petera Veresa w swoim czasie poglądów, na których ciążyła nostalgia drobnego rolnika, producenta drobnotowarowego. Drugim źródłem sporów — i tu Peter Veres miał od początku rację w stosunku do ówczesnego oficjalnego stanowiska — były wypaczenia, które wyrządziły ciężkie szkody pod koniec lat czterdziestych i na początku lat pięćdziesiątych. Trzeci wielki nasz spór dotyczył sprawy sposobów naprawienia wspomnianych wypaczeń.

Dla rozwoju węgierskiej powieści, eseju, publicystyki czy filmu w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych ogromne znaczenie miało zerwanie z różnorakimi tabu, wyraźne poszerzenie zakresu swobody twórczej, likwidacja sztucznych barier stawianych wobec literackiego czy filmowego odtwarzania tzw. spraw drażliwych. Czołowi politycy kulturalni WSPR niejednokrotnie podkreślali, że „nie ma takiego tematu czy problemu, który sam w sobie byłby szkodliwy", że wszystko zależy od sposobu jego przedstawienia. Znalazło to odbicie między innymi w wielu dziesiątkach powieści i filmów obrachunkowych. Żadna chyba literatura i kinematografia Europy Środkowo-Wschodniej nie dokonały równie żarliwego rozrachunku z okresem kultu jednostki, i w tak wielkiej ilości dzieł jak na Węgrzech — przypomnę tylko niektóre z głośniejszych utworów, takie jak *Miłość* Deryego (zekranizowana przez Károlya Makka), *Dwadzieścia godzin* Ferenca Sánty (zekranizowana przez Zoltana Fabriego), *Angi Vera* Endre Vészlego (ekranizacja Pala Gabora), *Gospodarz stadniny* Istvana Galla (zekranizowana przez Andrasa Kovacsa), filmy *Dziesięć tysięcy dni* Ferenca Kosy, *Kamień rzucony w górę* Sandora Sary, *Świadek* Petera Bacsó

Co sprawiło, że tematyka rozrachunku zajęła tak znaczące miejsce w poszukiwaniach węgierskiej literatury i filmu lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych? Pamiętamy, że Węgry były w latach pięćdziesiątych krajem o zdecydowanie najcięższych wypaczeniach, krajem, którego kierownictwo w największym stopniu odeszło od norm leninowskich. O wyjątkowej skali ówczesnych błędów najlepiej świadczą dane z wydanej również w Polsce w 1983 r. książki Janosa Berecza, obecnego redaktora naczelnego dziennika KC WSPR „Nepszabadsag" *Kontrrewolucja piórem i bronią*: tylko od 1952 do 1955 r. złożono na Węgrzech doniesienia i wszczęto śledztwo przeciwko 1 136 434 osobom (na 9,5 miliona mieszkańców ówczesnych Węgier), a przeciwko 45% spośród nich, tj. 516 708 wydano wyroki skazujące. Sfingowane procesy i inne brutalne naruszenia praworządności socjalistycznej, klimat fałszu i hipokryzji w tzw. okresie Rakosiego odcisnęły się niezwykle ciężkim piętnem na umysłach wszystkich, którzy żyli w tamtych czasach

Redaktor naczelny miesięcznika „Alföld" Kalman Kovács, pisząc o wyjątkowo poważnym znaczeniu tematyki obrachunkowej w całokształcie poszukiwań literatury węgierskiej, stwierdzał: *W minionym dziesięcioleciu nasza proza podniosła kilka wielkich centralnych problemów. Najważniejszym był obrachunek z kultem jednostki, przedstawienie następstw tragedii narodowej, jaka rozegrała się w 1956 roku... Nie muszę*

zapewniać o znaczeniu tego tematu, ponieważ rozrachunek taki był po prostu warunkiem istnienia naszego życia kulturalnego, naszych poglądów krytyczno-estetycznych, zdrowego sposobu myślenia naszego społeczeństwa. Literatura i film węgierski w znacznym stopniu zrealizowały postawiony przez Györgya Lukacsa przed twórcami postulat, iż *kompleksowe przedstawienie spraw związanych z kultem jednostki powinno być centralnym zadaniem współczesnej literatury*. Czy jednak wypowiedziały się w pełni do końca na temat niedawnej przeszłości? Krytyczną, pełną namiętnej pasji odpowiedź przynosi esej Sandora Csoóriego *Cena poczucia równowagi*.

Literatura i filmy węgierskie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych w bardzo silnym stopniu sięgnęły również do ostro, niesztampowo, nierzadko bardzo krytycznie ukazywanej problematyki współczesnej, aktualnych trudności i dylematów. Znalazło to odbicie między innymi w licznych utworach Károlya Szakonyiego, Sandora Csoóriego i Istvana Csurki, filmach *Misja* Kósy, *Zatrzymał się czas* Pala Gothara *Mury* i *Trudni ludzie* A. Kovacsa. Jak to dobitnie wyraził jeden z najbardziej znanych twórców socjalistycznych, przez wiele lat przewodniczący Węgierskiego Związku Pisarzy i członek Rady Prezydialnej Węgierskiej Republiki Ludowej, József Darvas:

Wciąż na nowo trzeba przyjmować tę prawdę, że literatura bezpośrednio poruszająca problemy społeczne nie może istnieć bez postawy krytycznej. Na szczęście dziś już raczej zaakceptowano pogląd, że leży to w interesie nie tylko literatury, ale również i polityki.

Najbardziej znaczącym węgierskim przedsięwzięciem w zakresie prozy podejmującej tematykę współczesną jest zakrojone na szeroką skalę wielotomowe przedsięwzięcie wydawnicze pt. *Odkrywanie Węgier* („Magyarorszag felfedezése"), zainaugurowane w połowie lat sześćdziesiątych z inicjatywy byłych członków ruchu pisarzy ludowych lat trzydziestych: Józsefa Darvasa i sekretarza generalnego Węgierskiej Akademii Nauk Ferenca Erdeiego. Inicjatywa ta miała na celu szczere, krytyczne przedstawienie położenia różnych warstw społeczeństwa w poszczególnych regionach Węgier i nawiązywała do socjografii pisarzy ludowych z końca lat trzydziestych. J. Darvas pisał: *W interesie naszego systemu, naszego społeczeństwa leży, abyśmy jak najwięcej wiedzieli o sobie, żeby nasze samopoznanie stało się jak najpełniejsze. Dlatego ośmieliłem się gdzieś napisać, że dzisiejsza socjografia literacka może być tylko po stronie rządu. Słowa te oznaczają, iż im bardziej złożone są przeprowadzone analizy społeczne, tym bardziej oddziaływają one w duchu ulepszenia systemu*.

Kilkanaście dotąd opublikowanych tomów *Odkrywania Węgier* w pełni potwierdziło słowa Darvasa, przyczyniając się do wydobycia na światło dzienne wielu takich zahamowań i przeszkód w rozwoju społecznym na prowincji, które przedtem nie trafiały w centrum zainteresowania opinii społecznej. Godny uwagi jest fakt, że autorami poszczególnych tomów są znani pisarze, tacy jak György Moldova, Bulcsu Bertha, Gyula Fekete, Ferenc Erdei, Ferenc Kunszabó i inni, najczęściej omawiający sytuację w tych regionach kraju, z których sami się wywodzą i których perspektywy rozwoju są im szczególnie bliskie. Pisarze ci, ukazując dawniejsze i dzisiejsze troski, wkomponowując ludzkie losy, tragedie i konflikty w szersze obrazy sytuacji w danym regionie nie wahają się przed podejmowaniem wielu spraw kontrowersyjnych i drażliwych, prowokując zacięte dyskusje.

Publikacje socjograficzne nierzadko posiadają wielką wartość dokumentalną jako autentyczny obraz politycznych, społecznych i obyczajowych przemian po wyzwoleniu, nastrojów i oczekiwań lat 1945-1948, okresu kultu jednostki, wydarzeń październikowych, konsolidacji politycznej po 1956 r. i nowych problemów powstałych przy realizacji reformy gospodarczej. Częstokroć wydarzenia historii powojennej są uzupełniane sięgającym końca XIX wieku tłem historycznym. Głównym

celem jest próba konfrontacji, co się zmieniło w losie mieszkańców opisywanych regionów, co się zmieniło w mentalności społecznej, a co czeka jeszcze na poprawę. Jedna z najgłośniejszych książek serii *Odkrywanie Węgier — Chwała ci, Komlo!* ukazywała przeszłość, teraźniejszość i perspektywy węgierskiego zagłębia górniczego Komlo i losy jego mieszkańców, począwszy od czasów irracjonalnej praktyki rozwoju górnictwa w początkach lat pięćdziesiątych i wewnętrznego rozpadu wspólnoty górniczej. Moldova bez osłonek ukazuje aktualne problemy występujące w społeczności Komlo, sprzeczności interesów lokalnych i ogólnospołecznych, wypaczeń demokracji socjalistycznej na szczeblu lokalnym, problemów zacofania kulturalnego i zmaterializowania „Pieniądz pokonuje wszystko, nawet naturę" — stwierdza z goryczą Bulcsu Bertha w tomie *Dziesięciolecia Balatońskie*, występując z namiętnym protestem w obronie środowiska naturalnego Balatonu, przeciwstawiając się lokalnemu kacykostwu i tendencjom do przeliczania wszystkiego wyłącznie na pieniądze. Poświęcony problemom populacyjnym tom Gyuli Fekete *Czy mamy żyć tylko dla siebie* spowodował zaciętą wielomiesięczną dyskusję, ściągając na autora zarzuty nadmiernego pesymizmu, ale przyczynił się do podjęcia nowych posunięć dla poprawy sytuacji demograficznej. Antala Vegha, autora jednego z najodważniejszych dzieł socjograficznych, tylko interwencja przewodniczącego Węgierskiego Związku Pisarzy, J. Darvasa, uchroniła od skutków gniewu urażonych władz lokalnych.

Węgierscy pisarze nie ograniczają się do wysuwania publicznych apeli o upowszechnianie wartości kulturalnych w społeczeństwie. Wielu z nich wzięło bezpośredni udział w najciekawszym chyba węgierskim przedsięwzięciu w zakresie upowszechniania kultury, zainicjowanym w 1968 r. przez Węgierski Związek Pisarzy, ogólnokrajowym Narodowym Ruchu Czytelniczym (Olvase nepert mozgalom). Działający już kilkanaście lat ruch czytelnictwa rozwinął wiele bogatych i różnorodnych akcji społecznych, od akcji „sto wsi — sto bibliotek" po kierowane przez młodych pisarzy, poetów i krytyków obozy czytelnicze. Organizowane na nich zajęcia i dyskusje, zwiedzanie wystaw kulturalnych i wspólne zabawy eliminują zapóźnienia kulturalne dzieci mieszkających w zapadłych wioskach, dalekich od centrów kultury. Narodowy Ruch Czytelniczy szybko mógł się poszczycić znaczącymi osiągnięciami, między innymi wzrostem w ciągu 5 lat wydatków na zakup książek na wsi z 3 forintów rocznie w 1968 r. do 17 forintów w 1973 r.

Nader ważny był fakt, że problemy wsi i tematyka wiejska nigdy nie była traktowana przez węgierskich twórców jako mniej wartościowa czy drugorzędna. Charakterystyczną cechą węgierskiego życia kulturalnego są wyjątkowo silne więzi łączące pisarzy z regionami, z których pochodzą. Warto przypomnieć w tym kontekście uwagi Konrada Eberhardta na temat węgierskiej kinematografii, które można odnieść również i do innych dziedzin węgierskiej kultury: *Równocześnie jest to kinematografia zupełnie pozbawiona inteligencko-szlacheckich kompleksów. (...) Reżyserzy węgierscy operują eleganckim, bądź jak kto woli, nawet wytwornym stylem, lecz nie nastręcza im trudności przeniesienie się z Budapesztu na wieś, z salonu z tradycjami do starej rudery bądź do wiejskiej chaty. Ferenc Kosa, autor jednego z najpiękniejszych filmów, jakie widziałem, „Dwadzieścia tysięcy słońc", opisuje dzieje swej chłopskiej rodziny tak, jakby była to historia królewskiego rodu; Pal Zsolnay mówi o ludziach ze wsi z tkliwością i wrażliwością, jaką u nas rezerwuje się dla „kordianowskich" bohaterów*.

Symboliczna wprost dla roli ciągłej więzi między pisarzami a regionami, z których się wywodzą była cała działalność Petera Veresa, który do końca życia utrzymywał niezwykle żywy kontakt z rodzinnym Balmazujvśros koło Debreczyna, w niemałym stopniu przyczynił się do ożywienia kulturalnego tej miejscowości, a w osobnej książce opisał polityczno-społeczne przekształcenia i zmiany obyczajowości, jakie tam

nastąpiły w ciągu ostatnich dziesięcioleci. Veres, który do końca życia niezwykle aktywnie uczestniczył w sporach na temat perspektyw rozwoju życia kulturalnego, społecznego i gospodarczego Węgier, szczególnie wiele uwagi przywiązywał do sprawy zwiększenia roli inteligencji prowincjonalnej, jej wpływu na sprawy publiczne. W publikowanym w 1966 r. na łamach dziennika KC WSPR „Nepszabadsag" artykule *Nowa inteligencja wiejska* Veres tak podkreślał znaczenie dialogu z inteligencją i przyciągania jej do autentycznego udziału w życiu publicznym:

Łatwo jest ogłosić deklarację, ale trudno tchnąć w nią życie. Rozkazywać — pozornie — jest łatwiej, przynajmniej prościej, ale na dłuższą metę bardziej niebezpiecznie. W społeczeństwie socjalistycznym niechęć, obojętność, choćby się nawet nie miała przerodzić (ale przeradza się) w nieprzyjazną indolencję i tak może prowadzić do wewnętrznego rozpadu całego życia publicznego. (Historia współczesna jest pełna takich przykładów.)

Na łamach „Nepszabadsag" w 1969 r. ukazał się również po raz pierwszy jeden z najgłośniejszych tekstów Györgya Lukacsa z końcowego okresu jego życia: *Rozmowa z Gyorgyem Lukacsem*. Lukacs dokonywał w niej analizy błędów Stalina, akcentując potrzebę konsekwentnego radykalnego rozrachunku z metodami okresu minionego, stwierdzając: *Niemożliwe jest w jakimkolwiek państwie socjalistycznym napisanie prawdziwej powieści o współczesnym człowieku, która nie zawierałaby próby rozrachunku z okresem stalinowskim*. Przechodząc do spraw aktualnych Lukacs zdecydowanie wypowiadał się na rzecz pełnej realizacji reformy gospodarczej, widząc w niej ogromną szansę nie tylko dla rozwoju gospodarczego, ale i dla dalszych reform politycznych, umocnienia demokracji. To tak silne zainteresowanie Lukacsa sprawami wychodzącymi poza zakres kultury, od reformy gospodarczej po sprawę umocnienia gwarancji instytucjonalnych demokracji nie było wśród węgierskich twórców niczym odosobnionym, lecz przeciwnie — wyrażało charakterystyczną dla nich postawę niezwykle silnego zaangażowania w aktualne sprawy swego kraju i narodu, chęć oddziaływania na przemiany w duchu reform. Tytułem przykładu wspomnijmy tu dwie szczególnie głośne i kontrowersyjne publikacje z drugiej połowy lat siedemdziesiątych: *Indyjskie orzeszki* Bulcsu Berthy i *Czy jesteśmy już bogaci* Andrasa Mczeiego. Oba teksty, napisane z niezwykłą werwą publicystyczną i z pasją piętnujące różne anomalie węgierskiego życia gospodarczego, wywołały kilkumiesięczną ogólnonarodową dyskusję i przyczyniły się do podjęcia konkretnych kroków na rzecz naprawy sytuacji w paru przynajmniej dziedzinach. *Jak z tego widać, warto było w odpowiedzialny sposób wtrącić się w publiczne sprawy* — stwierdzał z satysfakcją Bertha w wywiadzie udzielonym po zakończeniu burzliwej prasowej dyskusji.

Niewątpliwym walorem węgierskiej publicystyki i eseju, podobnie zresztą jak i innych dziedzin węgierskiej literatury oraz teatru i filmu jest fakt, że pokazały one całe bogactwo i doniosłość możliwości tkwiących w tematyce pierwszego tak dramatycznego dziesięciolecia powojennego, jak i w czasie teraźniejszym. I te właśnie „węgierskie nauki" najbardziej zasługują na naszą uwagę.

Jerzy Robert Nowak

GYULA ILLYÉS

Wprowadzenie do koncertu Kodalya

Wnet się uniesie paleczka dyrygenta
i zabrzmi — nie orkiestra,
a to, co jest dookoła — cmentarz,
to, co nas otacza (dawne a młode!) —
pobojowisko
pod Majteny, Mohaczem, Mohem,
za matkę twą, za ojca,
za ojczyznę błądzącą —
co pogrzebane było w błocie i w mogile,
co od krwi bohaterskiej czerwonym polem było,
zgliszcza Egeru, bastiony Dregely,
co chcecie usłyszeć
stamtąd się przebije —

z głębi orkiestry tej popłynie,
ale nie jęk,
nie jęk, jak myślicie,
a siła,
siła korzeni tkwiących w glebie,
siła żywiona tą przeszłością, co za ciebie
stanie do walki, przyszłość:
wieczne życie.
Tego, tego szukał
i znalazł,
w dłoni batuta:
żelazna witka, która cmentarz smaga,
gdy grzmią baterie — hetmańska buława;
on reżyserem,
on niepowstrzymany,
jamy grobów są jego werblami,
werblami,
on to wydobywa,
smutny, ale wiary pełen,
on z tym przybywa,
mistrz dźwięków i dusz, niosący odkupienie.

Ty, dyrygencie — wiesz na pewno —
nie tylko tę orkiestrę,
lecz i naród prowadzisz, Węgrów,
niechaj rozbłyśnie w świetle
twe czoło, twoją szafą dźwięków

groby i więzień lochy,
na skinienie twej dłoni piekło
cierpiących do nieba wznosi;
ty, który z jęku warzysz pieśń,
radość z tego, co boli,
i wyprowadzasz tryumf z klęsk —
myśmy zastępem twoim,
rodziną, śpiewającym chórem,
wytrwały dyrygencie nasz,
a ten, co nie śpiewa, też umie
ton czysty poznać i fałsz;

bo tyś z nas jedność uczynił
i ten, kto nie śpiewa, też czuje,
jak się Istnienie i Ład
swobodnie gdzieś rymuje.

Skromnie

Obrabowany, opuszczony
— co mógłbym więcej wam dać?, nie wiem —
sam zaciągnę nad sobą
ziemię.

Z nami i już bez nas

Wszystko opatrzyłem. Nie tylko dom omiotłem, znajdując przy tym
wytchnienie.
I oto już mogę spokojnie zostawić nas troskom nocy.
Swego rodzaju łodzią mogłoby być nawet to łóżko,
z wymuskanymi służebnymi — poduszką, prześcieradłem.
Błogosławiona chwila się zbliża: płynie z nami i zarazem bez nas ten
rok.

Pocieszające, że tyle pod nami, ile nad nami gwiazd.
My zaś — pnie dryfujące! Między „skąd" — „dokąd", choć już nie ze
sobą.
Można więc zestroić — można rozkołysać — walkę i cierpienie!
I zwycięstwo możliwe jest — bezosobowe:
z bezprzedmiotową już radością! Bo po tylu „dzikich"
zmagań obrotach — któż był naszym przeciwnikiem?
I w najokrutniejszej domenie, na zakrętach
miłości, w jej powodziach — kiedy też to było? gdzie? z kim? —
łagodnie
pocieszają się wzajem, u jednego brzegu
twarze i ciała, jak piana po pianie,
ba, więcej, na pianie piana, i oto
coś wiecznie stałego — jeśli to jasne — w tym prądzie.

przełożył *Bohdan Zadura*

GYULA ILLYÉS (1902-1984) — poeta, prozaik, dramatopisarz i eseista, tłumacz poezji francuskiej i angielskiej, jedna z najwybitniejszych postaci węgierskiego życia intelektualnego. Od roku 1969 był wiceprezesem międzynarodowego PEN-Clubu. W Polsce ukazały się dwa wybory jego wierszy (*Poezje*, 1967, *Poezje wybrane*, 1970), powieść *Obiad w Pałacu* (1978) i powieść-esej *W Łodzi Charona* (1980). Na następnej stronie drukujemy dedykowany Illyésowi wiersz TAMASA KISSA (ur. 1912), poety żyjącego w Debreczynie, autora kilkunastu tomów wierszy.

TAMÁS KISS

W naszej północnozimnej ojczyźnie

na ostatnią księgę wierszy Gy. I.

Skąd, z jakiej ukrytej
sztolni wypływa ten głos?
Jak on dźwięczy. Twardy,
w żelazie kuty wiersz.
Czasem trzaśnie
niby wiklinowa witka,
gdy gną ją na żywopłot
lub koszyk z niej wyplatają
wprawne starcze ręce.

A to nawet nie rąk,
nie stóp i nie pleców,
nie słabnącego serca
troskliwa praca,
lecz rozumu.
Spójrz na twarz, co się zapada,
za kratami, bez kości,
ogień jeszcze nie zagasł,
— nie da się go stłumić —
ogrzewa i rozświetla.

Może wystygłym wzrokiem,
oczyma lśniącymi jak lód,
spojrzy raz jeszcze na naszą
północnozimną ojczyznę,
zdolny znowu rozgorzeć,
zawrócić, nie łatwowiernie
życiu ulegający,
już smakujący przyszłość
syn teraźniejszości.

przełożył *Bohdan Zadura*

ÉRZSÉBET GALGÓCZI

Pielgrzymka do więzienia

— ...Kiedyś w Szrinagarze, stolicy Kaszmiru spędziliśmy dwa tygodnie. Cudownie piękną kotlinę, w której jest położony, otaczają ze wszystkich stron sięgające nieba strome wierzchołki łańcuchów Hindukuszu i Karakorum. Aż po granicę śniegu pokrywają je zielononiebieskie cedrowe lasy, rozcinane przez szemrzące strumienie, kaskady wodospadów i osuwające się w dolinę lawiny... Ale nie o tym chciałam mówić, każda piękna okolica jest najpiękniejsza, bo nie ma sobie równej, jest jedyna i niepowtarzalna, jak wielki człowiek lub klasyczne dzieło sztuki; kto śmiałby decydować, czy wspanialsza, bardziej przykuwająca uwagę jest Niagara, czy Grand Canyon, Bosfor czy Kilimandżaro...? Ale ja chciałam właściwie mówić o kupcach ze Wschodu...

Pani Emma leżała na tapczanie, z głową na wysoko spiętrzonych aksamitnych poduszkach i otuliwszy się do pasa włochatym, ręcznie tkanym szarym pledem, dawała wypocząć bolącym nogom. Tak było jej o wiele wygodniej, niż gdy od rana do wieczora ślęczała bezczynnie skulona w kuchni na stołku, czując, jak w łydkach dotkniętych atrofią ustaje krążenie krwi, a ziąb wkrada się podstępnie przez szparę w drzwiach i zabiera resztki ciepła. Z radia wyjętego ze schowka w kufrze cicho sączyła się preklasyczna muzyka. Orsolya odwinąwszy róg koronkowej serwety rysowała panią Emmę na skrawku papieru wielkości kartki pocztowej, by się zmieścił w następnej kopercie do Kőhidu. Takiego rysunku nadzorcy chyba nie skonfiskują! W pokoju unosiło się przyjemne ciepło. Orsolya umiała palić w kaflowym piecu, uchyliła tylko lekko drzwiczki, by nie puścić za dużo powietrza, bo ogień wnet by pożarł wszystkie polana, dość jednak, by zachować ciągłość płomienia.

— ...Zjawia się więc w hotelu taki kupiec. Po Żydach i Ormianach przychodzi zaraz kolej na miejscowych Kaszmirczyków, czyli Urdu. Nie znajdzie się takiego skąpca czy dusigrosza, który potrafiłby się im oprzeć. Bo oni nie przychodzą z zamiarem sprzedaży. O nie! oni nie chcą ubijać interesu! Zbyt wysoko cenią swoje towary i zbyt są o nie zazdrośni. Chcieliby je tylko pokazać. Pragnęliby wraz z gośćmi zachwycać się ich pięknem. Porównać własną wiedzę i umiejętności ze zdaniem fachowców i koneserów. Porozmawiać trochę o przedmiotach wśród przyjaciół!... Tymczasem jakiś sługa rozkłada na rozesłanej na ziemi macie całą kolekcję. Na jej widok człowiek nie tyle nabiera chęci kupna, co opanowywuje go nieprzezwyciężone uczucie zawiści! „Proszę

popatrzeć! Oto antyczna starożytna bransoleta z kości słoniowej! Nie na sprzedaż! Moja prababka nosiła ją w haremie Wielkiego Mogoła Szrinagaru. Proszę spojrzeć na to złote zapięcie. Na żywym ciele było spajane! Ten klejnot jest symbolem bogactwa, niewolnictwa, zdania na czyjąś łaskę! Proszę, My Lady, niech pani przymierzy! Wspaniałe! To prezent, madame! Coś takiego nie posiada ceny! Ewentualnie, gdyby państwo zechcieli uiścić koszty!..."

Pani Emma Simon westchnęła.

— Tu, u nas, jak by to powiedzieć, nie całkiem tak się rzeczy przedstawiają.

Kalmanowa Rév już na trzeci dzień dostrzegła, że jej córka komunistka podkrada opal dla wysiedlonej. Wywołała Orsolyę do stajni i stłumionym głosem, aby wielmożna pani przypadkiem nie usłyszała, nawymyślała córce. Dziewczyna też szeptem starała się ułagodzić matkę:

— Niech się mama tak bardzo nie boi i pomyśli o przyszłości. Czy mama sądzi, że to będzie trwało wiecznie?

Zdziwiona Révowa spytała:

— To znaczy... ty sobie wyobrażasz, że zmieni się ten ustrój? Że przyjdą tu Amerykanie...?

— Nie myślę o ustroju! — przerwała jej zirytowana Orsolya. — Kalmanek niedługo wróci z wojska... A może zniosą to głupie zarządzenie... Skoro już mama przyjęła tę nieszczęsną chorą, to dlaczego jej mama żałuje trochę ciepła? Jeszcze miesiąc, dwa, i będziemy mieli wiosnę... Niech mi mama wierzy, nie będziemy musieli do tego dopłacać! Zwrócą się mamie koszty opału. Przecież gdyby od niej coś kupić, grosze by to kosztowało... Wie mama, ile są warte same jej dywany..? Ja wiem, studiowałam historię sztuki.

Matka machnęła ręką, ale złość jej już przeszła.

— Dywanami podatku nie zapłacę!

W ten sposób w kilka dni później Kalmanowa rozpowiedziała wśród najbliższych znajomych, że kobieta z Budapesztu, która u niej mieszka, ma różne rzeczy na sprzedaż. I teraz od trzech dni schodziły się tu baby w chustkach na głowach, które już na podsieniu omiótłszy starannie ze śniegu wysokie buty, nieśmiało „zaglądały tylko na chwilę". Przychodziły we dwie lub w pojedynkę, niekiedy ciągnąc za sobą dzieciaka. Zawiedzione podziwiały wszystko, lecz bransoleta ze złotym zapięciem ze Szrinagaru, welurowy dywan perski z Tarpinian Avedis, rosenthalowska waza do zupy czy srebrna taca ze spiralnym ornamentem jakoś ani rusz nie przylegały do ich wyobrażeń o przedmiotach niezbędnych do życia. „Gdyby tak znalazły się jakieś solidne juchtowe buty dla mojego dorastającego syna...", „Może ma pani zimowe palto...", „Ciepłą, grubą chustę na ramiona...". A gdy pani Emma Simon pokazywała im ręcznie szyte męskie półbuty albo narzutę z wełny lamy, którą przecież można by przerobić na ciepłe zimowe okrycie, okazywało się, że nie stać je na taki zakup. One miały na myśli rzeczy, jakie się widuje w Szmacianym zaułku, szukały nie całkiem zdartych trzewików z demobilu, które da się jeszcze podzelować, potrzebne im były stare kolejarskie płaszcze, którym wystarczy tylko uciąć poły, aby jakiś wyrostek mógł w nich rozrzucać nawóz, przydałyby się też okulary w drucianej oprawie, w sam raz dla babki, która nawlec nitkę to jeszcze

potrafi, ale w książce do nabożeństwa nie widzi nawet wielkich liter...

— W Patrohach też tylko na meble trafił mi się nabywca — ze smutkiem zwierzała się pani Emma. — Sprowadzili właśnie do tamtejszego pegeeru agronoma i zakwaterowali go w pustej stajni po ogierach. Kupił ode mnie łóżko, stół, krzesła, a płacił mi żywnością, zbożem, ziemniakami... Zaiste, to nie świat kupców urdyjskich...

Życie nabierało sensu wraz z nadejściem poczty.

Profesor Gyetvay przysłał receptę i na karcie wizytowej z adresem napisał czytelnym, pięknie wyważonym pismem tylko cztery słowa: „Życzę zdrowia, do zobaczenia!". Od adwokata, doktora Kanizsaiego nie nadeszło nic. „Czy to możliwe, żeby jego, też wysiedlili?" — zastanawiała się pani Emma. Z posterunku milicji przysłali rojące się od błędów ortograficznych, pisane na maszynie zawiadomienie, w którym donoszono, że nie są właściwym organem w sprawie załatwiania widzeń w więzieniu i radzono, żeby się zwrócić do komendy powiatowej... a jeszcze lepiej, wprost do wydziału powiatowego władz bezpieczeństwa, bo może im podlega więziennictwo.

Pani Emma znów westchnęła.

— W Patrohach wszystko było prostsze. Tamtejsze władze wiedziały, do czego wysiedleni mają prawa, a do czego nie i jakie są ich obowiązki, a tu nawet nie rozumieją, co znaczy „wysiedlony"... Nie umiesz grać w remi? — zwróciła się do Orsolyi.

— Nie. Potrafię tylko w sznapsa, w oko i w „ulti".

— U dawnego premiera hrabiego Rakovszkyego każdego czwartku odbywały się partyjki brydża — zatopiła się w myślach rozmarzona staruszka. — I chociaż ani nie było w tamtej wsi światła, ani nie słuchaliśmy radia BBC, to jednak o wszystkim, co się dzieje, wiedzieliśmy w porę.

— No tak — uśmiechnęła się ironicznie Orsolya. — Rozbudowa sieci wywiadowczej na pewno nic nastręczała trudności byłym generałom i oficerom sztabowym. Nawet w takich Patrohach.

— Istotnie tak było. Niepotrzebny ten uśmieszek.

— W takim razie wysiedlenie równa się szkole partyjnej. Tyle, że o przeciwnej orientacji.

— Można i tak to określić.

— My natomiast o niczym tu nie wiemy — kpiła dalej Orsolya, ale w jej słowa wmieszał się lekki ton bólu.

— Bo tak jest. Potraficie tylko cierpliwie chodzić w jarzmie. — Emma Simon patrzyła z goryczą na Orsolyę. — Naród zapłacił wielką cenę zamieniając wolność na wyzwolenie.

— Nie należy chyba utożsamiać nas z całym narodem — zaprotestowała Orsolya.

— Czy pani nie widzi? — zdziwiła się Emma Simon. — Pozostały już tylko nieliczne warstwy społeczeństwa, które po czterdziestym piątym wyszły bez rozlewu krwi.

— Znam taką jedną rodzinę — zaczęła Orsolya. — Nazywają się Smukkowie i są stąd, z naszej wsi...

— Ja też znałam taką rodzinę — przerwała jej pani Emma — Speizerów. Ci biedni żydowscy kapitaliści mieli jakiś kram czy też warsztat przy ulicy Klauzala. Podczas wojny ciągle w pogotowiu,

czekali, aż po nich przyjdą i wywiozą. Nieustannie spakowani, w plecaku najpotrzebniejsze rzeczy: mydło, ręcznik, ciepła bielizna, kalosze, parasolka, sztuczny miód i tak dalej. I zabrali ich w końcu do getta, ale Speizerowa ocalała-i jeszcze pięć lat po wojnie włóczyła się z tym swoim plecakiem, nawet gdy szła po zakupy do sklepu kolonialnego, bo — czy to można coś wiedzieć? I pewnie, czy to można coś wiedzieć? Wszystkiego się można spodziewać. Ją też wysiedlili razem z nami. Nie musiała się nawet pakować... — Emma Simon włożyła munkasa do bursztynowej cygarniczki i zapaliła. — Ale ja nie miałam na myśli poszczególnych rodzin, a warstwy społeczne... Bo niech pani posłucha, córeczko... Chwalicie Rakosiego za jego taktykę salami, uważacie, że to genialne posunięcie polityczne partii komunistycznej. Idą więc kolejno pod nóż nyiloszowcy, horthyści, mieszczańscy demokraci, chłopi średnio- i małorolni, Kościoły, socdecy, komuniści, kułacy... I ciągle jeszcze starcza tej „salami". Kto więc może wiedzieć, która warstwa czy grupa społeczna będzie następnym plastrem...?

— Zapomniała pani o reformie rolnej, upaństwowieniu przemysłu, budowie kraju, zlikwidowaniu bezrobocia oraz analfabetyzmu i gruźlicy! o potężnych inwestycjach przemysłowych! — zawołała Orsolya z uniesieniem i dodała spokojniej: — Dlaczego pani tyle pali, pani Emmo? Czy to nie szkodzi na pani arteriosklerozę?

— Wie pani, gdyby mi ktoś zapewnił żywot wieczny, nigdy więcej nie wzięłabym papierosa do ust. A skoro już i tak człowiek jest śmiertelny, na jedno wychodzi, czy nie dożyję najbliższych dziesięciu tysięcy lat, czy też dziesięciu tysięcy i jeden. — Mimo to zdusiła papierosa i westchnęła. — Nie da się odwrócić klepsydry życia... I to właśnie jest niedobre.

Nazajutrz Orsolya włożywszy ubranie, które nosiła jeszcze w czasach studenckich, z receptą i owiniętą w gazetę srebrną tacką pojechała pociągiem do miasta. W aptece liczącej ponad dwieście lat, gdzie nad wejściem wił się wąż Eskulapa, a na rzeźbionych półkach stały ciężkie fajansowe tygle, stary farmaceuta, kręcąc ze zdumieniem głową, studiował zalecenia lekarskie:

— Nie rozumiem... Te dwa środki można sprowadzić tylko z zagranicy... Lekarz powinien o tym wiedzieć... albo... stosują to w leczeniu szpitalnym...

Orsolya dopytawszy się przechodniów o komis, weszła do maciupeńkiego pomieszczenia wielkości spiżarni. Stojący przy ladzie taksator w średnim wieku, o zaniedbanej powierzchowności, ze znudzoną miną oceniał rozkładane przed nim zniszczone przedmioty, używane części garderoby, niemowlęce buciki, z których dziecko już wyrosło, akordeon na miechy, zwykły zegarek na rękę, i dyktował siedzącej tuż za nim przy małym stoliku kobiecie: „Znisz. popł. płaszcz dam. z tkan. — trzydzieści forintów... Dam. skórz. półbuty, używ. — trzydzieści forintów". „Ależ proszę pana — odezwała się nieśmiało młoda kobieta w nylonach za sto forintów — to cielęca skóra, tylko raz miałam je na nogach, bo cisną. Sama dałam za nie dwieście pięćdziesiąt". „Trzydzieści" — powtórzył znudzony taksator i odrzucił półbuty, sięgając po następną rzecz. Upokorzona kobieta stała w milczeniu przy ladzie, po czym odezwała się drżącym głosem: „Pięćdziesiąt". Taksator spojrzał na nią i oświadczył wielkodusznie: „No dobrze. Dwadzieścia teraz i dwadzieścia, jak pójdą". „Niech będzie" — zgodziła się potulnie, załamana.

Wreszcie i Orsolya docisnęła się do lady, podczas gdy za nią ustawiła się długa kolejka. Wyjęła z gazety owalną tackę. Jakby cień zainteresowania błysnął w oczkach taksatora. Przeniósł spojrzenie z tacy na Orsolyę.

— Proszę dowód — mruknął i wyciągnął rękę.

Orsolya nie miała dowodu. Chodząc do szkoły średniej legitymowała się miesięcznym biletem kolejowym, w Budapeszcie — legitymacją studencką. Ale musiała ją oddać, kiedy wyrzucili ją z uczelni.

— Nie mam dowodu — powiedziała czując lekki ucisk w żołądku.

— W takim razie kartę meldunkową — zaproponował taksator.

— Od dwudziestu jeden lat mieszkam na wsi, tam się urodziłem i nikt mnie nigdy nie pytał o kartę meldunkową.

— Niech pani chwileczkę poczeka — powiedział i zerknął znacząco na kancelistkę, która natychmiast zniknęła na zapleczu.

Orsolya odsunęła się na bok i poczuła się całkiem już fatalnie. Srebrna tacka została na ladzie. Gdyby jej tam nie zostawiła, gdyby ją stamtąd zabrała, kiedy był na to jeszcze czas, wymknęłaby się teraz niepostrzeżenie ze sklepiku.

Protokolantka znów się zjawiła i rozsiadła na krześle. Wyraz znudzenia na jej twarzy ustąpił przyjemnemu podnieceniu. Przejechała grzebieniem po włosach, pociągnęła szminką wargi, przyjrzała się nawet swoim paznokciom. Głos taksatora też jakby się ożywił: — Uż. popł. mikado męskie — czterdzieści forintów...

Do sklepiku wkroczył dobrze ubrany młody cywil, w żółtych bucikach, odsunął oczekujących w kolejce, pochylił się do taksatora i zamienił z nim szeptem kilka zdań. Obaj patrzyli na Orsolyę. Po chwili przybysz podszedł do niej.

— Milicja — powiedział stłumionym głosem. — Proszę iść ze mną bez zwracania na siebie uwagi.

Orsolya zdjęła z lady srebrną tackę, drżącymi rękami owinęła ją ponownie w gazetę i wyszła tuż przed podążającym za nią cywilem.

Znaleźli się w tym samym pomalowanym na żółty habsburski kolor, klasycystycznym gmachu, gdzie już raz była u Tóniego Smukka, aby zidentyfikować szantażystę. Wtedy też biło jej serce, ale nie tak mocno, jak teraz. Tóni, który został milicjantem, był jej ziomkiem z tej samej wsi i członkiem MADISZu, starszym bratem kolegi z klasy. Wiedziała, że i teraz nie ma powodów do lęku, niemniej nie opuszczało jej napięcie: czyżby skamlały we mnie głosy uległych przodków, których jeszcze sto lat temu można było rozłożyć na ławie chłosty, których rządca mógł zdzielić kijem, do których pisarz gminny i sołtys mówili „wy", którym mógł dać w gębę byle żandarm? W przedwojennym gimnazjum wśród wielu dobrze ułożonych córek mieszczan i zamożnych rzemieślików mogła mieć jeszcze kompleksy niższości, ale ich nie zaznała jako najlepsza uczennica i zarazem najbardziej lubiana, gdyż nie była nigdy kujonem ani lizusem. Dlaczego więc teraz, w sześć lat po wyzwoleniu, w każdym gmachu publicznym, z wyjątkiem kościoła, opanowuje ją napięcie i trwoga?

W niewielkim pomieszczeniu biurowym jakiś mężczyzna kazał jej

usiąść i powiedział przymilnie: — Proszę mi powiedzieć, kim pani jest i jak do pani trafiła ta cenna taca?

Orsolya opowiedziała mu wszystko ze szczegółami od początku do końca, uważając przy tym, by nie drżał jej głos. Młody człowiek nie ukrywał, że wątpi w jej zeznania:

— Wysiedlona...? tu na zachodniej granicy państwa? O nikim takim nie słyszałem i nie wydaje mi się, żeby przysyłano do nas ze stolicy wrogów klasowych. Przeciwnie...

Orsolya i to mu wyjaśniła. Przyjrzał się dziewczynie uważniej.

— Mówicie więc, że tu u nas, w tej miejscowości chodziliście do liocum? — zapytał.

— Tak. Tu zdałam maturę. Przed dwoma laty.

— Zaczekajcie na korytarzu — powiedział i podniósł słuchawkę telefonu.

Na szerokim korytarzu stały ławki, jak w poczekalni, a przy wejściu tkwił w rozkroku uzbrojony wartownik. Z dala od siebie siedziało na ławkach trzech czy czterech ludzi. Orsolya nie miała nawet odwagi podnieść głowy, aby się rozejrzeć. Zapaliła papierosa i wyobraziła sobie najgorsze: zarekwirują jej tackę! Nie może do tego dopuścić! Nie może przecież stanąć przed matką, której podkrada drewno, z pustymi rękoma!

...Co by było, gdyby wezwała na pomoc Tóniego Smukka i wymieniła jego nazwisko? Zanim przeszedł do władz bezpieczeństwa, był tu przecież oficerem... Tak, tylko że mija już miesiąc od jej spotkania z Ritą, która obiecała... i od tamtej pory cisza, żadnej wiadomości, żadnego znaku. Chyba w tej rozpaczy przyszedł jej do głowy szalony pomysł — nazajutrz już się tego bardzo wstydziła — że powinna była wstąpić do partii, kiedy jeszcze Tóni jej to proponował, w końcu przecież rodziców członków partii nie wpisują na listę kułaków...? Zamiast tu siedzieć, podziwiałaby teraz jako szczęśliwa studentka arcydzieła w Muzeum Sztuk Pięknych i nie kuliłaby się ze strachu w poczekalni jakiejś komendantury na prowincji, wśród podejrzanych elementów, jako jedna z nich.

Odstawiającemu ważnika wartownikowi przy drzwiach wreszcie trafiło się zajęcie: wylegitymował i wpuścił do środka mężczyznę, w którym Orsolya ze zdumieniem rozpoznała Tamasa Dallosa, zastępcę dyrektora liceum żeńskiego. Starszy od niej o pięć lub sześć lat, niski, ale już z brzuszkiem i workami pod oczami pan dyrektor miał wyraźnie semickie rysy, garbaty nos, grubą dolną wargę, podbródek, gęste czarne brwi. Trafił do ich szkoły na jesieni czterdziestego ósmego, w okresie największej świetności kolegiów ludowych, i od razu na stanowisko zastępcy dyrektora. Był jedynym wtedy jeszcze członkiem partii w gronie pedagogicznym, które w przeważającej części składało się z wykształconych, sumiennych, religijnych, ale bardzo zasadniczych w sprawach moralnych starych panien, a także z dwóch bojaźliwych wylęknionych panów nauczycieli rumieniących się przy każdym niemal słowie. O złowieszczej sławie nowego dyrektora z drżeniem szeptali przyszli abiturienci: dawniej nazywał się jeszcze Manó Drach, był więźniem Oświęcimia, skąd cudem wyszedł cało; po powrocie do kraju natychmiast wstąpił do partii komunistycznej i bywał powoływany na

świadka w procesach przeciw nyiloszowcom; uchodził za krwiożerczego komunistę, który co tydzień posyła do władz bezpieczeństwa doniesienia o nauczycielach i uczniach; w niedzielne przedpołudnie natomiast szwenda się przed barokowym kościołem dominikanów i węszy, kto chodzi na mszę... Takie i jeszcze inne rzeczy gadano o nim. W klasie maturalnej uczył Orsolyę historii i nawet wytworzyły się między nimi nader serdeczne bezpośrednie kontakty, ponieważ jako jedyna w klasie czytywała bluźniercze słowa *Manifestu komunistycznego*: „Cała historia dotychczas istniejących społeczeństw to historia walki klasowej". W miarę upływu roku szkolnego coraz częściej lekcje sprowadzały się do pytań i odpowiedzi ich obojga lub ich dyskusji, podczas gdy klasa wyłączona z tych zajęć zbijała na drugim planie bąki.

Nauczyciel rozejrzał się wkoło krótkowzrocznymi oczami i odkrywszy wreszcie Orsolyę przycupniętą na ławce, podszedł do niej mówiąc z wyrzutem:

— Ty tutaj, Rév...? Tu przyszło nam się spotkać?

Wstała z ulgą, zadowolona, że przysłali właśnie Dallosa na potwierdzenie jej tożsamości. Nie lubiła się spotykać z dawnymi nauczycielami i koleżankami szkolnymi, bo wcześniej czy później dowiedziawszy się, jak się jej noga powinęła w pięknie zapowiadającej się karierze, nie potrafiły ukryć zadowolenia z jej nieszczęścia i nie omieszkały uderzyć: „No i sama powiedz, czy warto było pchać wózek tych komunistów?" Przez „komunistów" rozumiały oczywiście profesora Dallosa, nie znając innych na terenie szkoły.

Zmieszana Orsolya z zaklopotaniem rozłożyła ręce:

— Wyjaśnię to panu później, panie profesorze.

Machnął z goryczą dłonią i zniknął za drzwiami pokoju śledczego.

Po pięciu minutach byli już na ulicy, wraz ze srebrną tacką.

Zaprosił ją na kawę do starej cukierni o nazwie „General". Orsolya sączyła rzadko spotykany napój, delektując się jego smakiem, Dallos z ponurą miną mieszał twarde jak kamienie kostki cukru.

— Obawiam się — powiedział z goryczą — że i nas wprowadziłaś w błąd.

Napój utknął jej w gardle.

— Was...? — wymamrotała.

— Tak. Nas, partię.

— Ale w jaki sposób?

— Przemilczałaś, że twoi rodzice to kułacy.

— Nie przemilczałam. Nie byli kułakami. Dopiero później wpisali ich na listę kułaków... — Nie odważyła się dokończyć zdania: niesprawiedliwie.

— Nie napisałaś też w życiorysie, że twoi rodzice byli rzeźnikami i za Horthyego zatrudniali u siebie najemną siłę roboczą.

— Nie byli rzeźnikami, tylko mieli pozwolenie na ubój, a obca siła robocza...? Kto miał pracować? Brat i ja byliśmy jeszcze dziećmi. Pomagaliśmy rodzicom, jak mogliśmy, ale... — zamilkła utkwiwszy zdumione spojrzenie w nauczycielu. — Jak do pana trafił mój życiorys?

— Możesz to sobie dopowiedzieć. Kiedy wyszło na jaw, że jesteś kułaczką, uczelnia do nas zwróciła się o opinię.

— No i...? — obawiała się już najgorszego.

— Napisaliśmy, że... nas też okłamałaś.

— Jak to ja..? Okłamałam...? Przecież pan, panie profesorze... — tak ją dusiła ta niesprawiedliwość, że musiała zebrać wszystkie siły, by ukryć drżenie głosu — ...pan naprawdę znał moje myśli.

— Widać mnie również wprowadziłaś w błąd — wymamrotał.

Teraz już naprawdę umilkła: co to za człowiek? Zakłada, iż dziecko — bo kim innym jak nie dzieckiem była jeszcze przed dwoma, trzema laty: naiwnym, entuzjazmującym się, łatwowiernym dzieckiem — zakłada z góry, że to dziecko, ta dziewczynka dlatego pochłaniała literaturę marksistowską, budząc tym przemieszaną z lękiem pogardę u swych dawnych kochanych nauczycielek, aby się „wkręcić" do partii, dorwać do władzy? A czego ona właściwie chciała? Uczyć się! Przecież w tamtych czasach przyjmowano jeszcze na uczelnie takich, którzy w życiu nie słyszeli nazwisk Engelsa czy Lenina, nawet takich, co chodzili do spowiedzi i przystępowali do komunii, jeśli byli dziećmi robotników i chłopów... No właśnie, w tym rzecz: zmieniło się pojęcie „pochodzenia", liczyło się nie w ogóle pochodzenie chłopskie, ale pochodzenie z chłopstwa pracującego lub kułaków.

— A pana ojciec kim był, panie profesorze?

— Mój? — poderwał z wrogim oburzeniem głowę. — Męczennikiem!

— Nie pytam o rodzaj śmierci, ale o to, z czego się utrzymywał, kiedy jeszcze żył?

— Wiem, co masz na myśli — uśmiechnął się ironicznie. — Otóż wiedz, że mój ojciec był fabrykantem, właścicielem fabryki. Ale, po pierwsze: nigdy tego nie tailem przed partią. Po drugie: ustrój kapitalistyczny urobił sobie w nas, kapitalistach, wrogów, więc my automatycznie staliśmy się wrogami ustroju kapitalistycznego. Ergo: zostaliśmy komunistami... Mój biedny ojciec jeszcze nie, bo nie doczekał.

— I nadal to pana twierdzenie się sprawdza, wciąż jest prawdziwe: ustrój socjalistyczny robi sobie z nas, chłopów pracujących, wrogów i z tego względu chłopstwo pracujące zmienia się we wrogów ustroju. I wszyscy jego potomkowie! Dziecko kułaka jeszcze w łonie matki nienawidzi komunistów!

— Na Boga, nie krzycz tak! — wyszeptał z wściekłością nauczyciel i skręcowany rozejrzał się wkoło po wytwornej, tłumiącej dźwięki rozmów cukierni. — Kto krzyczy, ten nie ma racji!

— A ci wielcy zdrajcy klasowi...? Marks, Engels, Lenin — który z nich był pochodzenia robotniczego?... Nawet ojciec Rakosiego był wiejskim kramarzem!

Nerwowo, nie patrząc na to co robi, mieszał kawę.

— Ja ci wierzę, Rév, że chciałaś nas zrozumieć, ale... Pamiętasz, jakie prowadziliśmy zaciekłe dyskusje?

Bezsilnie potrząsnęła głową.

— Ależ tak! — ciągnął. — Właśnie w kwestii walki klasowej! Że panujących klas obszarników i burżuazji nie należy unicestwiać pojedynczo, bo wystarczy, jeśli się im zlikwiduje bazę materialną, odbierze ziemie i fabryki. Ale ty nie rozumiałaś, dlaczego nie można wykorzystać ich fachowej wiedzy i doświadczeń w nauce i produkcji.

— No to co z tego...? — zdziwiła się. — Przecież tak jest. Ja nie

traktuję życia w kategoriach walki klasowej, ale patrzę na ludzi poprzez ich losy. Być może gdybym została politykiem poczytano by mi to za wielki grzech, wielkie odstępstwo czy błąd, ale przecież... ja chcę być tylko artystką.

— Już wtedy mówiłem, że to zgniły mieszczański humanizm, który niezmiernie daleko odbiega od światopoglądu komunistów...! Niemniej cieszę się, że tym ostatnim zdaniem potwierdziłaś poglądy, które mamy na twój temat.

Orsolya zajrzała w błyszczące triumfalnie oczy młodego nauczyciela i nagle go znienawidziła. W gorących czarnych falach rodziło się nie znane jej dotąd uczucie, niemal się przeraziła samej siebie. Miała ochotę wydrzeć mu te dwie okiełznie połyskujące gałki oczne i niczym szklane kule potoczyć do kanału. Zacięła zęby i nim się zdążyła rozpłakać, zostawiła nauczyciela samego w cukierni. Więc tacy są komuniści? tacy? Takie jest ich prawdziwe oblicze?

I to tylko jakiś nauczyciel! Tak zwany inteligent humanista. Na co w takim razie może liczyć w wypadku Tónego Smukka, funkcjonariusza organu przemocy...? Było jej już wszystko jedno, w tak desperackim nastroju zjawiła się ponownie w komisie, że zdumiony jej widokiem taksator natychmiast dał znak, by podeszła do lady. Zważył ciężką tackę ze spiralnym ornamentem, a ponieważ zaoferowal jej tysiąc pięćset forintów, Orsolya zażądała dwóch tysięcy. Po krótkich stłumionych targach wyszła z tysiącem ośmiuset forintami w kieszeni. Starczy na zapłacenie przeszło trzymiesięcznych podatków. Ale wiedziała również i to, że więcej już nie podejmie się takiego zadania.

Kiedy się czeka, nie można zrobić niczego rozumnego. Podczas czekania można tylko czekać.

Jedna troska budzi nocą siedem następnych. Jeśli w nocy myślisz o jakimś kłopocie, to zbudzisz siedem następnych. Westchnienia w czterech ścianach domu bardziej go rozsadzały od wewnątrz, niż wiatr uderzający weń w poście. Wyprane w deszczówce, chrzęszczące krochmalem prześcieradła mięły się, zwijały pod wiercącymi się w udręce ciałami. Czekali na nadejście świtu.

Jeszcze w zeszłym roku, kiedy Orsolya mieszkała w Budapeszcie i co rano chodziła piechotą przez Most Małgorzaty na uczelnię, wybierała zwykle stronę południową, bo tam czuła, jak grzeje słońce.

Zmora rozsiadła się na piersiach Emmy Simon: śniło się jej, że była w jakimś azjatyckim mieście, gdzie w porannej godzinie świtu zbierano z ulic i ładowano na ciężarówkę zmarłych śmiercią głodową, po czym wieziono ich gdzieś w nieznane, jak melasę z brukwi. I samą siebie widziała tam na górze, na platformie. W półśnie odmówiła krótką modlitwę: Boże mój, babciu, mamo, Alizko, poczekajcie na mnie jeszcze trochę!... Zważcie na losy stuletniej Marty: wieczność i beze mnie trwać będzie wiecznie.

Kalmanowa Rév wraz z synem pełzła czarnym, nie mającym końca tunelem i nie widziała nad sobą nieba.

Kalman Rev marzył we śnie o tym, żeby z zacieru, którego pełna beczka stoi w szopie, nawarzyć gorzałki. Jeszcze w zeszłym roku syn i córka całą noc pędzili samogon, a o świcie, kiedy on też do nich przyszedł, oboje tak byli pijani zapachem, że ledwo zdołali przenieść

kociol na klepisko i ukryć go tam pod stertą zeschłych badyli. Może w tym roku Orsolya da radę sama przygotować palinkę... Ewentualnie zawoła się Ferkó z sąsiedztwa i w odwdzięce da mu kilka litrów... Z piwniczki tak szybko ubywa wina, jakby beczka była dziurawa. A przecież świat widziany przez dno butelki przedstawia się całkiem do rzeczy.

Już od rana zaczynało się czekanie na listonosza.

Emma Simon po otrzymaniu świstka papieru z miejscowego posterunku, napisała listy do komisariatu w powiecie, do komendy wojewódzkiej, do ministerstwa spraw wewnętrznych, wszystkie z prośbą o pozwolenie na widzenie z mężem. I oto mija już ósmy miesiąc od tamtej pory. Dotychczas przeszkodą w odwiedzinach co dwa miesiące była ogromna odległość, teraz, gdy tę odległość udało się jej pokonać, brak właściwego pozwolenia z pieczęcią... Znikąd nie otrzymała odpowiedzi.

— Więzienie, szubienice — głowiła się siedząc na tapczanie i dając odpocząć nogom pod pledem — są dla polityka tym, czym dla górnika silikoza, pylica krzemowa: zawadą w pracy. Ale mój mąż był naiwnym, niczego nie podejrzewającym uczonym! Niewinnym ptakiem opukującym drzewa, by uwolnić je od robactwa!

Znów zapaliła papierosa.

— Wszystkie konstytucje głoszą: „Nikogo nie wolno przymuszać do składania fałszywych zeznań wbrew samemu sobie!" Jedynym dowodem przestępstwa — w ich rozumieniu, a wbrew wszelkim prawom — jest przyznanie się oskarżonego do winy. A skłaniają do tego pod przymusem.

Długo patrzyła w sufit.

— Słuchałam w radiu, czytywałam w gazetach sprawozdania z procesu Rajka. Jakaś robotnica z przędzalni powiedziała mniej więcej tak: „Gdy się dowiedziałam, że Rajk i jego szajka są zdrajcami, byłam gotowa własnymi rękami — tymi rękami, którymi kąpię i ubieram w czystą koszulkę moje maleństwo — miałam ochotę ich udusić!...". To ohydne, prawda? Zupełnie jakby ożyło średniowiecze wraz z inkwizycją i jej obrzydliwą brutalnością.

Po chwili dźwignęła się z trudem i odwinąwszy róg koronkowej serwety zaczęła pisać list do doktora Gyetvayego.

W pewnej chwili podniosła wzrok na Orsolyę.

— Kiedyś w nocy zasłabłam i wezwaliśmy najbliżej mieszkającego lekarza, którego adres znaleźliśmy w książce telefonicznej. Był młody, taki zarozumiały pięknoś. Zbadał mi puls i oświadczył, że: „Choroby są kategoriami historycznymi i przeminą wraz z rozwojem socjalizmu".

Pisząc list poruszała ustami. Niekiedy do Orsolyi dobiegały jej ciche słowa: „Przecież pan profesor powinien wiedzieć, że tego lekarstwa nie można dostać na prowincji...".

Spojrzała na Orsolyę:

— Wielu lekarzy widzi tylko głupią bolącą nogę albo pęcherz żółciowy, a nie człowieka, którego to boli.

Po kilku następnych zdaniach znów poszukiwała wzrokiem spojrzenia dziewczyny:

— Profesor Gyetvay należy jeszcze do lekarzy z prawdziwego zdarzenia. Wie, że chory ma nie tylko nogi, ale i duszę.

Skończyła wreszcie pisanie, zakleiła kopertę i wyjrzała za okno, skąd z wolna nadciągał zmierzch. Zima dobiegała końca, dni były coraz dłuższe. Godziny także. Trudno było sobie wyobrazić, że kiedyś przyjdzie jutro i pora, gdy zjawia się listonosz.

— Każda godzina dłuży się, jak madziarski rok — westchnęła pani Emma. — Wie pani, w jakich stronach tak mówią?

— Nie, nie wiem — spojrzała na nią znad lektury Lenina Orsolya.

— Na Słowacji. Bo u panów węgierskich trzeba było dłużej pracować niż u Słowaków czy Żydów, to i rok był dłuższy.

Ale zima tego lata ciągnęła się już rzeczywiście nazbyt długo — dłużej nawet niż „węgierski rok". Orsolya czuła, jak do krwi przenika mróz, na żyłach, jak na obumarłych gałązkach drzew, osiada szron, paraliżuje, odbiera sens każdemu poruszeniu, każdemu ruchowi, uniemożliwia jakąkolwiek zmianę.

— Powinnam zapadać w sen zimowy, jak niedźwiedzie. To żadne życie, lecz koszmarny sen.

Śniło jej się, że jest wiewiórką, mieszka w maleńkiej dziupli, tak małej, jak ona sama. Dziupla była wyłożona miękkim futrem, ciepła i ciemna. Długo, bardzo długo trwała w półśnie, w tej małej dziupli nieświadoma szczęścia, a kiedy się obudziła i otworzyła oczy, zatęskniła za powietrzem i światłem dnia. Ale dziupla nie miała wyjścia. Kręciła się więc tylko wokół siebie w tym ciasnym dusznym pomieszczeniu, szukając choćby zarysu szczeliny, by się wydostać, aż wreszcie zachłystując się kroplami własnego potu, w śmiertelnym przerażeniu rozpoznała i pojęła prawdę, że jest zamurowana.

Łączyło je to oczekiwanie, zwracanie się ku przyszłości. A przeszłość...! O, przecież Orsolya nie miała przeszłości. Nie zazdrościła też przeszłości pani Emmie, uważała siebie za szczęśliwszą od pani Simon, którą cios losu dosięgnął dopiero pod koniec życia. Z pewnością jednak miała kilka lat w życiu, do których teraz mogła uciekać myślami.

— Na czym książka otwiera się sama, pani Emmo? — zapytała ją podczas tego ciągnącego się bez końca zmierzchu.

Staruszka podreptała do stojaka z kwiatami, zdjęła niewielkich rozmiarów tomik, ścisnęła lekko grzbiet i książka otworzyła się sama.

— W tym miejscu. Na Hölderlinie.

Żyliśmy niczym dwa zakochane łabędzie
Co w blasku cicho płyną unosząc się na fali...
Dziś pusty, wymarły zda się ten dom, odebrano mi światło,
Bo ciebie mi zabrano, a z tobą mój wzrok.

Błąkającym się cieniem jestem, żyję wprawdzie,
Lecz nie pojmuję, po co mi żyć jeszcze,
Pozbawionemu blasku, coraz dłużej.

Spochmurniała i odłożyła książkę na miejsce. — Po niemiecku brzmi to lepiej...

Przez okno niczym odblask dalekiego pożaru zajrzał zmierzch. A w nocy wiatr podobny do orkanu zaatakował równinę, uderzył z Alp, niczym tysiące i tysiące strzałów z pistoletów, wył, huczał, zawracał z

dzikim parskaniem, targal okiennicami, jak zdesperowany więzień kratą w celi, przy którymś kolejnym uderzeniu dom aż zadrżał w posadach.

Rano zaczął topnieć śnieg. Z początku cicho, później coraz głośniej krople uderzały o parapet.

— Przecież to już marzec! — uprzytomniła sobie Orsolya.

Wiatr złagodniał, zamienił się w ciepłe podmuchy, słońce sypało iskry. Révowa jakby w gorączce wydawała polecenia:

— Przynieś z piwnicy kadź! Podstaw ją pod rynnę! Wynieś jeszcze dużą balię! Wylej z beczki przeciwpożarowej brudną wodę! Podaj bańkę, garnki, kocioł do gotowania, nieckę, sagan, umyj skopek,wysyp z misy kukurydzę, z dzieży pszenicę, wyczyść z rdzy blaszany pojemnik!

Orsolya wsunąwszy na nogi zgrabne botki o płaskich nosach i okręciwszy wokół szyi szalik, w mgnieniu oka spełniała te „dziesięcioro przykazań". Trzeba co tchu łapać deszczówkę! Podstawiła pod rynnę wielką kadź, umieściła pod okapem w kokieteryjnym rzędzie przeróżne drewniane, żelazne, blaszane, emaliowane naczynia, opróżniła cembrowinę przy studni z zeszłorocznej brudnej wody, aby zrobić miejsce dla nowej. A gdy tylko skończyła, deszczówka z takim szumem leciała z rynny, jak podczas największej ulewy. Zostawiła na podorędziu jedno puste wiadro, by z szybko napełniającej się kadzi ustawicznie przelewać wodę do cembrowiny i blaszanego pojemnika. Jakaż to pyszna deszczówka do prania, wystarczy jej na całe tygodnie! A jaka woda do mycia! I do płukania włosów! Gdy już będzie na wyczerpaniu, matka pozwoli jej używać tylko w niedziele. Deszczówka — od święta!

Pani Emma w puszystym szlafroku, opierając się łokciami o balustradkę na podsieniu, przyglądała się przemokniętej do suchej nitki Orsolyi, gdy ta uwijała się pod wodą chlustającą na nią z okapu.

— Mój mąż zawsze powtarzał: na Węgrzech nafta jest wprawdzie droższa, ale woda cenniejsza.

Ona też poprosiła o deszczówkę do mycia i dłużej niż zwykle przeprowadzała poranną toaletę. Dłużej też dobierała suknię i wyszukiwała pantofle. Do śniadania zasiadła gotowa już do drogi.

— Pojadę do komendy powiatowej. Spróbuję. Może mi pozwolą na widzenie z mężem.

— Chętnie panią odprowadzę — poleciła się chciwie Orsolya. — Nie, dziękuję... — odmówiła z usprawiedliwiającym uśmiechem staruszka. — Znam to miasto.

I samiuteńka, zdana tylko na pomoc swej laski o rączce z kości słoniowej, podreptała na daleką stację, ostrożnie stawiając kroki w lodowatej brei.

Po południu już wszelkie puste beczki, dzieże, skopki, saganki, kotły i kociołki, wszystkie naczynia kuchenne Kalmanowej pełne były deszczówki, a jej ciągle jeszcze krajało się serce z powodu każdej kropli miękkiej, śliskiej jak jedwab, wyśmienitej wody do prania, która marnowała się uciekając bez sensu na ulicę do rowu. Chętnie wylałaby również ze stojącej w szopie beczki te sto litrów melasy, z której mąż zamierza pędzić palinkę na żniwa. Ale na to nie pozwalało Révowej głęboko zakorzenione poczucie oszczędności.

W tej sytuacji zdecydowała się już raczej na wielkie pranie, bo jeśli śnieg dalej będzie się w tym tempie rozpuszczać, to upłynie ze dwa dni,

nim całkiem zniknie z dachu, a na polach ukażą się czarne połacie ziemi.

Orsolya też niespokojna, uwijała się gorączkowo. Kiedy słońce chyliło się ku zachodowi i ustał ciepły wiatr, a z okapu już nie toczyły się gęste krople, lecz nabrawszy masywności coraz bardziej pęczniały w grube sople, na mocno naciągniętych sznurach na strychu suszyła się bielizna pościelowa. Rada była, że zostało jeszcze trochę prania na dzień następny. Miała dwadzieścia jeden lat i czuła całym ciałem nadejście marca. Skoro już nie udało się jej dokonać rewolucji to przynajmniej niech usunie z domu ten stęchły zapach zimy, podobny do zaduchu zastygłych butwiejących wód.

Pani Emma ledwo się przywlokła do domu wróciwszy wieczornym pociągiem. Miała już tylko tyle siły, by w płaszczu, w kapeluszu, wypuściwszy z palców uchwyt laski, opaść na kozetkę. Mruczał piec kaflowy, mrugało światło w elektrycznej lampie. Orsolya ściągnęła jej z nóg całkiem przemokłe pantofle, zdjęła pończochy i dotknąwszy lodowato zimnych stóp, aż drgnęła, co starsza pani od razu zauważyła. Uśmiechnęła się mimo bólu.

— Widzisz, moja droga... profesor Gyetvay już przed piętnastu laty odkrył zwężenie żył w moich nogach. Przedtem jeździłam konno, szusowałam na nartach, grałam w tenisa, wspinałam się po górach. Gdy dowiedziałam się o atrofii, zaczęłam bez opamiętania kupować pantofle, kierując się jakąś przesądną myślą, że skoro będę miała buty, to i nogi zachowam w zdrowiu, żeby móc w tych pantoflach chodzić.

Orsolya przebrała panią Emmę w ciepłą nocną bieliznę i przygotowała jej napar z rumianku. Pani Simon wpół siedząc, wpół leżąc na tapczanie, otuliła jeszcze chore nogi pledem. Orsolya krzątała się przy stole, a gdy wzięła pióro, aby coś zanotować, po postawieniu kilku liter dostrzegła, że od wyżymania ciężkich mokrych płacht nabrzmiały jej przeguby i drżą palce. Co będzie, kiedy przyjdzie do okopywania, zbierania pokosów, grabienia siana?...

— Już portier nie chciał mnie wpuścić do komendy — opowiadała starsza pani wydmuchując dym w górę pod sufit. — Ale po jakiejś chwili zrobiło mu się chyba mnie żal, bo zaczął wszędzie dzwonić, by się dowiedzieć, do kogo należą widzenia w więzieniu. Wreszcie przyjął mnie porucznik Istvan Gelei. Bardzo jeszcze młody, może nawet poniżej trzydziestki, jasnowłosy, przypominający trochę małe szczenię, choć już ułożone, bo to oficer. Kazał mi usiąść. — Ja się urodziłem w tych stronach — mówił — i wiem, że doktora Pála Simona otaczała tutaj prawdziwa legenda. Zdajemy sobie też sprawę, że choć na Węgrzech od dawna kształci się inżynierów górników, to katedrę wydobywania ropy naftowej można było utworzyć dopiero wtedy, gdy w osobie Pala Simona znaleziono odpowiedniego wykładowcę, pierwszego fachowca w tym kraju. — Pani Emma przełknęła łyk rumiankowego naparu i ciągnęła dalej. — Za jakie przestępstwa polityczne zamknięto go w więzieniu, ciągnął dalej porucznik, to do mnie nie należy, ale humanitaryzm naszego ustroju nauczył mnie tego, że żołnierz, który dostał się do niewoli, przestaje być wrogiem, a staje się jeńcem wojennym, podobnie człowiek zamknięty w więzieniu nie jest już dłużej przestępcą, a więźniem i należy się z nim obchodzić w sposób humanitarny...

Pani Emma wstchęła i zgasiła papierosa w kryształowej popielniczce.

— I to ma być oficer bezpieczeństwa!... Chyba bardziej jeszcze naiwny od ciebie...! Humanitaryzm...! Od kogo on słyszał o humanitaryzmie komunistów...? Kto mu o tym mówił...? Nawet w teorii nigdy nie głosili zasad humanitaryzmu, mówiło się jedynie o jego wprowadzeniu w dalekiej, nieokreślonej przyszłości, kiedy miał nastać tak zwany komunizm idealny. W praktyce od początku mieli wypisane na sztandarach zniszczenie wroga klasowego, rozgromienie ucisku. No, to teraz nie najważniejsze, faktem jest, że ten oficer o twarzy małego szczenięcia musiał się uczyć komunizmu z jakichś bliżej nieznanych apokryfów. Bo dalej tak ciągnął: — Jako człowiek całkowicie rozumiem, że chciałaby pani odwiedzić męża w więzieniu, szczególnie, że ma pani na to w zasadzie pozwolenie, ale jako oficer nic nie mogę dla pani zdziałać, nie mam prawa wydać pani zgody, ponieważ to leży jedynie w gestii ministra spraw wewnętrznych, najwyższego zwierzchnika instytucji karnych w kraju... — Pani Simon osadziła nowego papierosa w długiej fifce i zapaliła. — Wzięłam z sobą duży sygnet męża z lanego złota, bo pomyślałam sobie jeszcze przed podróżą, że może trzeba będzie lub da się kogoś przekupić, ale zaproponowanie tego oficerowi o szczenięcej twarzy i niewinnym spojrzeniu niebieskich oczu wydało mi się tak absurdalne i niedorzeczne, że nawet nie usiłowałam próbować. Poradził mi, bym złożyła monit o wydanie zezwolenia w ministerstwie spraw wewnętrznych, a on ze swej strony też mnie poprze i w tym celu zapisał sobie moje dane, po czym z wyrazami ubolewania mnie pożegnał...

Wypuściła znów kłąb dymu pod sufit i zapatrzyła się w ten obłok.

— Sygnet sprzedałam w komisie i dlatego spóźniłam się na popołudniowy pociąg. Udałam się do kościoła i tam przesiedziałam cały ten czas... Bóg świadkiem, że sprawiło mi przyjemność spotkanie z takim człowiekiem...

Po długim namyśle pani Emma znów ciągnęła dalej:

— Odwiedziłam już w życiu niezliczone miejsca słynące z cudów: grobowce, święte obrazy, studnie, krzyże, źródła, drzewa, skały, o których legenda głosi, że to, o co człowiek tam się zwraca, zostanie spełnione. Najbardziej lubię miejsca cieszące się łaskami Marii Panny. Byłam w Nazarecie przy Źródle Marii, w Rzymie u Santa Maria del Perpetuo Soccorso, czyli w kościele Najświętszej Marii Nieustającej Pomocy, we Francji w Lourdes, w Austrii w Mariazell, w Polsce w Częstochowie, no i oczywiście tu u nas, w Csiksomlyó, przy cudownym obrazie, którego jeszcze Tatarzy nie zdołali zniszczyć; byłam też w Zagorsku pod Moskwą u tak zwanej Czarnej Madonny, a również w Pócspetru, który wtedy słynął jeszcze nie z zabójstwa policjanta, ale z pielgrzymek do Matki Boskiej Bolesnej, choć znajduje się tam już tylko kopia, bo oryginał obrazu jeszcze w czasach cesarza Leopolda Pierwszego przeniesiony został do Wiednia i przechowywany jest w kościele Świętego Stefana, tam zresztą też byłam... I nigdy w tych świętych miejscach nie przychodziło mi na myśl, żeby prosić o coś dla siebie... Zawsze tylko matka, mąż, przyjaciółki. Dopiero dziś, gdy po załatwieniu sprawy w komisie weszłam do kościoła przy ulicy Kecske, by tam w bocznej kaplicy przed obrazem Marii Panny złożyć ślubowanie, po raz pierwszy w życiu prosiłam o coś dla siebie: obym jeszcze choć raz mogła zobaczyć mojego męża.

— Dlaczego tylko raz jeden, pani Emmo? — zdziwiła się Orsolya. — Dlaczego tylko raz?

— „Tak blisko już śmierć — i tak dobrze ją przechytrzyć". To, zdaje się, napisał Ady, którego ja skrycie, w tajemnicy przed rodzicami czytywałam. Tylko że... — usiłowała się uśmiechać mimo drżenia ust — tak długo można ją przechytrzać, jak długo ona na to pozwala. Istnieje taka opowieść jeszcze z czasów perskich lub dawniejszych. O ósmej rano w domu bogatego mieszczanina zjawia się śmierć i powiada mu: Przygotuj się, bo wieczorem o ósmej po ciebie przyjdę! — Ów człowiek próbuje śmierć przechytrzyć, dosiada swego najszybszego rumaka i opuszcza miasto. Galopuje jak dzień długi, zmienia wielokroć wierzchowca i wreszcie wieczorem, o ósmej, przybywa na spienionym zwierzęciu na rynek odległej osady. Z ulgą zsiada z konia i staje wprost przed śmiercią, która mu mówi: już tu na ciebie czekałam...

— Tak poważnie jest pani chora? — zapytała zaniepokojona Orsolya.

— Wiesz, dziecino, w każdej chwili może nastąpić zator jakiejś żyły. A jeśli dojdzie do tego w okolicach serca...

Po kilku dniach listonosz przyniósł list adresowany na nazwisko pani Emmy. Szarobiała koperta z nadrukiem zawierała dwie kartki pisane odręcznie. Na jednej z nich pani Emma przeczytała:

„Szanowna Pani, na własną odpowiedzialność zezwalam pani w drodze wyjątku na wyjazd do Kőhidu. Na przyszłość proszę w takich sprawach zwracać się wcześniej oraz, jeśli to możliwe, rzadziej, i tylko na piśmie. Nie wolno pani opuszczać miejsca pobytu bez uzyskania uprzednio pozwolenia. Po powrocie proszę zniszczyć ten list — por. Istvan Gelei Sopron, 5 marca 1952".

Na drugiej kartce znajdowało się pozwolenie:

„POZWOLENIE NA OPUSZCZENIE MIEJSCA POBYTU

Udzielam obywatelce Emmie Simon, żonie Pála Simona, z domu Maszarovics, przebywającej czasowo we wsi Toboz, pozwolenia na podróż z Kiralyszéku do Kőhidu w dniu 8 marca 1952 roku.

W zakładzie penitencjarnym w miejscowości Kőhid znajduje się dla wyżej wymienionej pozwolenie na odwiedziny męża w okresach dwumiesięcznych.

Obywatelka Emma Simon wyjedzie z Kiralyszéku autobusem o godzinie 12e i powróci po widzeniu się z mężem najbliższym autobusem, to jest o godzinie 19".

(—) por. Istvan Gelei
(pieczęć)

5 marca 1952".

Pani Emma przycisnęła do serca oba listy.

— Orsolya! Niech pani sobie zapamięta to nazwisko! Istvan Gelei! To się nazywa człowiek!

Przed wyjazdem pani Emma długo się myła w swoim dobrze ogrzanym pokoju. Z niewielkiej miski pryskały krople wody na jej perskie dywany. Umyła też swe siwe włosy w śliskiej, jedwabistej

deszczówce. — Jutro przed południem wstąpię do fryzjera i trochę je ułożę. — Obcięła starannie paznokcie u rąk i nóg, pozbierała okrawki i wrzuciła je do palącego się ognia. Orsolya patrzyła zdumiona: jej matka także wrzucała do paleniska włosy, które wypadły podczas czesania. O jakże prastarych wierzeniach świadczyły te nieuświadamiane już czynności: jeśliby włosy lub obcięte paznokcie dostały się w niepowołane ręce, ów ktoś mógłby rzucić zły urok na ich właściciela! Pani Emma tymczasem przygotowała swoją najpiękniejszą bieliznę i najwygodniejsze pantofle. Podróż będzie długa. Orsolya naprędce wyliczyła, że z powodu prymitywnych połączeń komunikacyjnych to dziesięciominutowe „widzenie" będzie wymagało osiemnastogodzinnej podróży. Z tego na samą jazdę przypadało mniej niż dwie godziny, a resztę czasu pochłaniało czekanie na przesiadki.

— Nie weźmie pani z sobą czegoś do czytania?

— Po co? I tak już całą głowę mam przepełnioną tym spotkaniem, o niczym innym nie potrafię myśleć... A później jeszcze bardziej będę o tym myślała. Od dwudziestu dwu miesięcy go nie widziałam! Tylko tym żyję!

Wybrała ciemnoszarą suknię z surowego jedwabiu.

— Lubi ją! Miałam ją na sobie, gdy wręczano mu dyplom doktora honoris causa na uniwersytecie w Pittsburgu.

— I do jedzenia nic pani nie weźmie?

— Owszem, możesz mi coś zapakować... Nauczyłam się od matki: zimą nie zapominaj o chlebie, latem o ubraniu! Przecież mamy jeszcze zimę! W każdej chwili może nawiać śniegu na drogi.

Z kufra wydostała ciężką metalową kasetę, do której kluczyk zawsze nosiła na złotym łańcuszku na szyi. Wyjęła długi, sięgający pasa, pleciony ze złota łańcuch z ciężkim złotym krzyżem, tej samej roboty szeroką na trzy palce bransoletę, dwa pierścionki. Po czym zamknęła skrzynię.

— Założę moje złoto. Niech widzi, że nie biedujĘ... Sama wiesz, rozmawiać tam nie wolno. Więc porozumiewamy się bez słów. W Ameryce nazywa się to metakomunikacją.

O świcie Orsolya pomogła jej się ubrać. I znów zaproponowała, że ją odprowadzi. Ale pani Emma z niespokojnym spojrzeniem i tym razem odmówiła.

— Dziękuję, nie... To moja podróż...

— Przygotowywała się jak do ślubu — myślała Orsolya patrząc z podsienia za oddalającą się starą damą wspierającą się na lasce — a idzie jak pielgrzym.

W wytwórni dywanów w Kiralyszéku pracowano na trzy zmiany i autobus, odjeżdżający z rynku za kwadrans pierwsza by zabrać w drodze powrotnej wyruszających na popołudniową zmianę robotników z okolicznych wiosek, był niemal pusty. W ten sposób pani Emma była jedyną wysiadającą w Kohidzie pasażerką, z tego też zapewne względu przyjrzeli jej się dokładnie kierowca, konduktorka, oraz troje pasażerów. Stanęła na skraju szosy, na wprost więzienia. Za grubymi murami tego dwupiętrowego budynku, za jednym z drobnych okienek odsiadywał dożywocie jej mąż. Zabudowań strzegł wysoki mur z cegły, zwieńczony pochylonym do wewnątrz drutem kolczastym. Ale ten grodzący mur przechodził w zwykłe kolczaste ogrodzenie, za którym widać było drzewa owocowe, jednorodzinne domki pokryte czerwonymi dachami, dymiące kominy — zupełnie jak mała wieś. Jakby tu też żyli jacyś ludzie prócz więźniów i ich strażników.

Po jednej stronie bramy budka wartownika, widać było nawet tors żołnierza i wystającą lufę karabinu maszynowego.

— Stój! — krzyknął na nią, gdy spróbowała zbliżyć się do wpuszczonych w kamienny mur żelaznych drzwi. Zatrzymała się.

Po krótkim oczekiwaniu drzwi otworzyły się od środka. Inny żołnierz w szarym mundurze wziął od niej pozwolenie na widzenie, po czym zamknął za nią drzwi wejściowe. Znalazła się w bardzo małym przedsionku, który po bokach, na odległość wyciągniętych ramion zamykała kolejna para okratowanych drzwi. Na jakiś znak z wewnątrz trzeci wartownik więzienny otworzył kluczem jedne z nich, zamknął je, gdy przeszła, po czym podprowadził do oszklonej budki. Siedzący w środku oficer o szerokich barach, bez dystynkcji, przez szparę w szybie odebrał od Emmy Simon pozwolenie na widzenie, dokładnie je przeczytał i zapytał:

— Przyniosła pani coś?

— Nie mam pozwolenia.

Dał znak wartownikowi, aby ją wpuścił.

— Wprowadzić!

Znów otworzyły się żelazne drzwi i znalazła się w szerokim, bardzo długim, lodowato zimnym korytarzu. Po obu stronach ciągnął się rząd metalowych drzwi, a na nich żelazne klapki umieszczone na wysokości oczu. Za którymiś z nich znajduje się mój mąż, myślała. Po korytarzu krążyło czterech uzbrojonych strażników, odgłos ich kroków dudnił na kamiennej posadzce. Jeden z nich poprowadził ją do końca korytarza — miał około trzydziestki, wąsy jak szczotka, a kosa bardziej by pasowała do jego ramienia niż karabin. Skręcili pod kątem prostym i wartownik otworzył drzwi, na których nie było już judasza. Mogło się tu znajdować jakieś pomieszczenie biurowe, całkiem zresztą teraz wyludnione. Pośrodku stał długi stół z ośmioma krzesłami, ściany aż do sufitu pokrywały zamknięte szafy na akta. Strażnik wskazał jej miejsce na jednym z krzeseł, sam natomiast stanął przy drzwiach. Uderzyła ją niezwykła czystość pomieszczenia, no tak, więziniowie tu sprzątają.

Z korytarza dały się słyszeć kroki, otworzyły się drzwi i wszedł Pal Simon, tuż za nim strażnik, który go konwojował. Inżynier był średniego wzrostu, krępy, ubrany w pasiak i więzienne juchtowe buty. Owalną, niemal jajowatą twarz miał gładko ogoloną, faliste siwe włosy oraz siwe wąsy pod mięsistym, trochę zgiętym nosem, błyszczały starannie wypielęgnowane. Zauważył żonę i jego niebieskie oczy ściemniały.

— Siadajcie! — strażnik wskazał mu krzesło po drugiej stronie stołu, na wprost żony, po czym też stanął obok drzwi. — Dziesięć minut widzenia.

Pal Simon usiadł składając przed sobą dłonie na stole. Stół był szeroki, ale gdyby wyciągnęli ramiona, mogliby dotknąć się palcami —

tylko że na to nie mieli pozwolenia. Patrzyli sobie w oczy i głos nie mógł im przejść przez gardła.

Pani Emma przyglądała się badawczo twarzy męża, po czym przesunęła wzrok na jego ręce. Palce miał po dawnemu delikatne, paznokcie czyste. Nie takie ręce ma ktoś, kto przy robocie posługuje się ubabranym w ropie żelastwem albo kilofem czy siekierą.

— Jak się czujesz, Pál? — zapytała urywanym, jakby nieswoim głosem.

— Dobrze. A ty, Emmo...? Dobre to twoje nowe miejsce?

— Dobre. Ważne, że blisko. Nie marzniesz?

— Mam dwa koce... Jak twoje nogi?

— Profesor Gyetvay przysyła mi lekarstwa... Pracujesz?

— Oczywiście. Każdy więzień pracuje.

— W jakim języku?

Strażnik przy drzwiach warknął:

— Nie politykować!

— Na stole — powiedział Pal Simon.

— Dostajesz książki? — spytała pani Emma.

— Po co? Wszystko mam w głowie. Mógłbym nawet wykładać.

— Mówiłem, nie politykować! — krzyknął już podniesionym głosem strażnik.

Pal Simon skinął mu głową:

— Przepraszam, panie sierżancie.

Pani Emma też zwróciła się z przeprosinami do wartownika:

— Chciałam tylko zapytać męża, czy w następnej paczce przysłać mu książki.

— Jak jest pozwolenie, to wolno — burknął sierżant.

Przez dłuższy czas wpatrywali się w siebie chciwie.

— Nie żyjesz w nędzy — powiedział wreszcie Pál Simon, a ona była szczęśliwa, że biżuteria wywarła pożądany efekt.

— Wiosna tuż-tuż — dodała z niepewnym uśmiechem.

— Już czwarta wiosna — powiedział. — Obawiam się, że nie ostatnia.

— Niestety, ja też tak myślę...

— A jak znajomi? — zapytał.

— Kanizsai — na prowincji.

Zrozumiał. Spojrzenie mu spochmurniało.

— Pisujecie do siebie?

— Nie przysłał adresu... Albo list nie doszedł do mnie z Patrohów.

Bezradni umilkli. Co da się powiedzieć w rozmowie międzymiastowej mając wyliczone sekundy? co da się pomieścić w wyliczonych sylabach telegramu? Jedyna rzecz, którą chciała mu przekazać, to: „Niepokoję się o ciebie, czekam, abyś stąd wyszedł!". Gdyby mogła z nim swobodnie porozmawiać... Ale tak...? W taki sposób...? To dużo i mało zarazem te dziesięć minut, które w dodatku kontroluje pachołek. Dusiła ją bezradność i panika.

— Masz się więc dobrze, Pál?

— Dobrze. Dni tutaj niewiele są dłuższe niż tam. — Jego drżące wargi wykrzywiły się w uśmiechu. — Wyobrażam sobie, że żyję w

innych czasach. W średniowieczu królowie trzymali alchemików pod zamknięciem.

— Proszę kończyć — odezwał się jeden z mundurowych, zapewne ten sierżant.

— Uważaj na siebie, Emmo! — dodał jeszcze łagodnie, z mrocznym spojrzeniem, i z wolna, opierając się o skraj stołu, wstał. — Nie lękaj się o mnie. Mam dach nad głową, mam chleb, mam pracę... Kiedyś jeszcze zobaczymy Bosfor!

— Dobrze byłoby być z tobą choć przez trzy dni... — pani Emma też wstała, odruchowo wyciągnęła ramiona, po czym je opuściła — Pala Simona wyprowadzono.

Wróciła pociągiem o północy, wraz z robotnikami — właściwie konduktor zniósł ją ze schodków. Czekała na nią Orsolya. O dziewiątej, kiedy rodzice już się pokładli, dziewczynę ogarnął ogromny niepokój, nie z powodu pani Emmy, tylko w ogóle, bez przyczyny. Nie mogła usiedzieć w czterech ścianach. Po długiej zimie, jeszcze nie przywykłą do temperatury powyżej zera, ciągnęło ją wieczorne, pachnące wilgocią powietrze. Tak się spieszyła, jakby za rogiem, na placu lub w jakimś pokoju ktoś na nią czekał. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że to ona będzie czekać na panią Emmę na stacji.

W kiepskim świetle na peronie nie widziała jeszcze jej twarzy, ale kiedy pani Simon ujęła ją pod rękę i całym ciężarem bezwładnego ciała o nią się wsparła, Orsolya zdała sobie sprawę, że pani Emmie ledwo starcza sił na stawianie kroków. Wlokąc się noga za nogą brnęły w ciemności przez błoto. Orsolya po raz pierwszy zauważyła, jak długa jest ta droga, którą przez lat osiem codziennie przemierzała tam i z powrotem chodząc do szkoły. Na ostatnich stu metrach musiała niemal nieść panią Emmę. Biło jej serce i drżały nogi, kiedy wprowadzała do pokoju tę, która wróciła z pielgrzymki. A właściwie nie tyle z pielgrzymki, co z kalwarii.

Wstydliwa pani Emma, która podczas porannej toalety zazwyczaj zaciągała firankę na oszklonych drzwiach, teraz bez trudu, z wdzięcznością i spokojem znosiła ubieranie jej w nocną koszulę i kładzenie do łóżka, niczym niemowlę. Wszystko ją bolało, była bliska katastrofy, jak okolica, po której przeszedł huragan: zerwane przewody, gruntownie zamulone ulice, wygasłe światła.

— Straszne jest takie widzenie! Zawsze później mam wrażenie, jakbym go nie zapytała o najważniejsze i najważniejszego mu nie powiedziała — skarżyła się niespokojna.

— A co jest najważniejsze, pani Emmo? — spytała Orsolya.

— Może to, jak zdołamy przetrwać to poniżające, wyjęte spod wszelkiego prawa położenie... więzienie, wysiedlenie... O siebie jestem spokojna: wiem, że jestem mu potrzebna. Ale co jego trzyma na duchu?... Co mu pomaga znosić więzienie? Dożywocie?... To potworne słowo: dożywocie!... Powszechnie szanowany, cieszący się autorytetem uczony zamienia się nagle w skazańca numer 1345...! W jednej celi ze złodziejami, włamywaczami, zbrodniarzami...! — pani Emma przerwała i zamyśliła się. — Dziś dowiedziałam się tylko tyle, że ma pracę, którą może wykonywać na stole, ale to nie tłumaczenia, bo nie potrzebuje do

tego książek... Czy to możliwe, by mu zlecali prace inżynieryjne?... I to ta praca pozwala mu wszystko znosić...?

W końcu wyczerpana pani Emma usnęła. Orsolya zgasiła światło, wyszła na palcach, otwierając i zamykając za sobą bezszelestnie drzwi.

Istotnie, co im daje tę siłę...?

To, że posiedli już świadectwo samych siebie...?

Czy człowiek zdaje sobie sprawę, jak ogromne posiada królestwo wewnętrzne, jak wielkie możliwości przeżywania, chłonięcia, czy wie to nawet wtedy kiedy brak mu jeszcze dowodów...? A dowodów mieć przecież nie może żadnych, prócz tego, że demaskuje jakiegoś szantażystę na podstawie jego własnych słów. Jednak na jakiej podstawie wierzy — nawet nie tyle on sam, co to coś w człowieku — dlaczego uparcie wierzy, że urodził się do spełnienia nadzwyczajnych czynów, że czekają go nadzwyczajne losy? Nie ten los, który mu przypadł? Nie pułapka na wydry, odgarnianie łopatą śniegu, wydzielone w kuchni miejsce do spania nadają prawdziwy sens jego życiu? Czuje w opuszkach palców, że owo boleśnie w połowie przerwane, niedouczone nic, ten tors, ten kadłub, który jest jego życiem, mógłby, potrafiłby uzupełnić, uczynić zeń jakąś jedność, całość, pełnię — może arcydzieło...

Jeśli wcześniej nie zmiażdżą mu palców, nie zamienią we wrak...

Panią Emmę obudził szczególny dźwięk dzwonka. Dochodził skądś z oddali, jakby z głębi jakiegoś tunelu, choć był to dzwonek w jej willi na Pasaret, a jednak brzmiał tak, jak dźwięk dzwonu śmierci w rodzinnej wsi, w Hargicie.

— To już...? — pomyślała pani Emma ze ściśniętym sercem i otworzyła drzwi. Stał w nich żołnierz w szarym mundurze, z chłopskim wąsem i patrzył na nią uchylonymi szparkami oczu tak, jak to czynił przez tysiąc lat broniąc się przed skwarem słońca, na prawym ramieniu miał karabin — choć kosa lepiej by do niego pasowała — a lewą ręką wskazywał na prostokątną kartkę papieru: „Wyprowadzka!". Pani Emma skinęła mu głową na zgodę i wpuściła do środka.

Zaczęła się pakować. Najpierw chciała uratować, przechować w bezpiecznym miejscu bezcenne rzeczy swojego męża, doktora Pála Simona, geologa, własnoręcznie przez niego rysowane mapy, notatki geologiczne sporządzane we wszystkich stronach świata — ale gdy tylko dotykała aluminiowych pojemników, wszystkie kolejno rozpadały się pod jej dłonią. Jedynie wielka sterta srebrzyście połyskującego proszku pozostała na półkach.

Żal się jej ich zrobiło, ale skądś wiedziała, że mąż już nigdy nie będzie potrzebował tych notatek, że na ich podstawie nie przygotuje już książki. Zabierze więc tylko to, co jej samej jest potrzebne.

Otworzyła szufladę komody, w której przechowywała gromadzoną od pięćdziesięciu lat korespondencję i zdjęcia, nasuwające wspomnienia lecz dawno wykorzystane bilety lotnicze, rachunki z hoteli, i przykucnęła obok taboretu, by wybrać najważniejsze. Każdy list, po który sięgała, zamieniał się w jej palcach w popiół. Fotografie płowiały i zwijały się, niczym palony celuloid. Zaczęła grzebać w szufladzie wśród zgromadzonych tam listów i po chwili dostrzegła, że grzebie w szarym popiele.

Wyprostowała się i jej spojrzenie padło na skrzynię, w niej postanowiła złożyć to, co z sobą zabierze. Rolowała cenne perskie dywany, a gdy to czyniła, w jej rękach zostawały spłowiałe szmaty.

Zdjęła rosenthalowski serwis do herbaty, aby go zapakować, a wtedy lekkie jak skorupka jajka, porcelanowe filiżanki zaczęły pękać i się szczerbić.

Odczepiła wenecki żyrandol, a kryształowe wisiorki bezszelestnie rozpadły się, zaścielając podłogę zgrzytającym szklanym pyłem.

Amerykańskie radio rozleciało się na pordzewiałe metalowe części.

Zaczęła wybierać pantofle, które ongiś kupowała w Wiedniu, Amsterdamie, Londynie, Rzymie, Ankarze, Chicago. Szrinagarze, kierowana przesądną myślą, że gdy butów starczy, zachowa też nogi, by w nich chodzić. Cała sterta utworzyła się z tych pantofli, a gdy po któryś sięgała, zamieniał się w strzępy pokryte pleśnią, jak gdyby trącała je wilgoć w jakiejś piwnicy.

Pani Emma zadowoliłaby się już teraz rzeczami niezbędnymi do życia, ale lekarstwa, chleb, termos, mydło, wszystko, czego dotknęła, zamieniało się w jej dłoniach w pył i proch.

Żołnierz w szarym mundurze z karabinem na plecach stanął pośrodku tej sterty gruzu i popiołu, i przyglądał się jej z jakimś szczególnie lekceważącym, aż niemal triumfalnym wyrazem, jakby chciał powiedzieć:

„No proszę, a nie mówiłem, jednak do tego doszło".

Weszło dwóch robotników transportowych, również w szarych mundurach, jeden z nabrzmiałymi bicepsami, o podbródku buldoga, drugi młody, chudy. Chwycili skrzynię, stół, fotele, łóżko, załadowali je na ciężarówkę, ale już na platformie samochodu wszystkie meble rozpadły się w trociny.

— To dlatego? dlatego? dlatego? — pytał ironicznie żołnierz w szarym mundurze, a jego podkute żelazem buciory zgrzytały na opiłkach szkła.

Pani Emma chodzi teraz niespokojnie po piwnicy, oddzielona od okien żelazną kratą, i rozmyśla o tym, jak można przeżyć całe lata w zimnym lochu, po którym hula jak chce przeciąg i porywa pył z map, listów, dywanów, zwiędłych kwiatów, miecie nim jak wiatr na biegunie śniegiem.

— To wiatr naszych czasów — pomyślała z niezmiernym smutkiem i pozwoliła, by pył pokrywał jej włosy, twarz, ręce, ubranie, jakby ktoś sypał go na nią garściami.

— Dlatego? Dlatego? Dlatego?

— Ogniem byłam, ale już nie ogrzewam, nie świecę nikomu. Powietrzem byłam, ale już nikt mną nie oddycha. Wodą byłam i nurtem nic znającym brzegów, który płynie do ujścia, wlewa się w deltę, ale mój jeleń daleko już odbiegł. Ziemią byłam i pozostanę tu na zawsze ziemią, popiołem, prochem.

— Chodźmy — ze środka celi powiedział cień w szarym mundurze i pani Emma dostrzegła, że na ramieniu ma nie karabin, a kosę.

A w lewej dłoni trzyma kartę papieru: to klepsydra. „Odejdę, by umrzeć, bo śmierć jest pewna, ale nic nie jest bardziej pewne od godziny śmierci... Odejdę, by umrzeć, bo w proch się zamienię, jako się urodziłam, tak i mój koniec...".

I pod spodem grubymi czarnymi literami napis:
Emma Simon, z domu Maszarovics
żona dra Pala Simona
żyła lat 69

przełożyła *Hanna Kuźniarska*

ERZSÉBÉT GALGÓCZY ur. 1920, powieściopisarka i nowelistka, autorka reportaży dokumentujących przeobrażenia wsi węgierskiej. W jej dorobku znajduje się również dramat i kilka sztuk telewizyjnych. Powieść *Vidravas* (I wyd. 1984), której fragmenty drukujemy, cieszyła się na Węgrzech ogromnym powodzeniem, szybko została wznowiona, a autorka otrzymała za nią nagrodę im. Kossutha, najwyższą nagrodę państwową.

ISTVÁN KOVÁCS

Wichrzy wiej

Wichrzy wiej — powtarza moja córeczka pierwsze zdanie swego życia i kiwa główką, aby dodać sobie powagi. Wiatr wieje — upiera się łopian. Przeciw prądowi wieje wiatr, a co płynie — rzeka, potok, strumień — jakby stało. Woda nieruchoma; fale — zawalające się namioty. Wyglądają jak pasmo dalekich gór, zmięta i odrzucona cisza Boga. Wichrzy wiej! Wytapetowana korą pozbawionych koron platanów opada z sił kopuła nieba. Barwa wiatru przypomina łuszczące się srebro. Błona sklepienia niebios rozrywa się na strzępy i puch ze skrzydeł aniołów unosi się i opada na nas jak muślinowe chusty. Zadrżał „prąd istnienia". Wichrzy wiej, rozrywa nagrobną płytę, drut kolczasty pothalamidowo niemowlęce stateczniki rakiety i człowiekowi włosy podnoszą się na głowie. Poszarpany wiatr — oto nasza wspólna żałoba. Plecy ma posiekane rzemieniem. Istnieniu odbiera barwę i oszalamiający prąd. Wplątuje się w zwyrodniałe majowe drzewka — obracające zwłoki czasu, kłujące szprychami niebo. Porywa diabelskie krzesełka mikołajków. Dmie. Dąć każe trąbom. Wieje wiatr — upiera się łopian. Przeciw prądowi wieje wiatr... I dziecko uczy się rozumieć słowo...

przełożył *Bohdan Zadura*

ISTVÁN KOVÁCS ur. 1945, poeta, eseista, tłumacz (również literatury polskiej). Mieszka w Budapeszcie, gdzie na uniwersytecie wykłada polską historię i literaturę. Autor trzech tomów wierszy i książki o życiu Józefa Bema.

SÁNDOR CSOÓRI

Zapach lodowego pyłu

Podmuch aut na styczniowej ulicy.
Jakby w moździerzu tłuczono pieprz,
w nozdrzach zapach lodowego pyłu.
I podrywają się ciężko moje myśli,
kołują nad miastem.

Ani jesień, ani wiosna, ni zima.
Ten czas napięty to sezon kastratów.
Skąpo dozowane rozkosze koło nas
spadają niby zabłąkane cegły.
Cieszymy się nawet z ich podmuchu.

Teraz winienem zamknąć się w ślepym pokoju,
wśród arcydzieł upartych wierszy i dawnych
wielkich śnieżyc. To tylko rzeczywistością
niechaj się stanie, co kocham! Niech mi Bóg użyczy
przepięknej białośnieżnej szaty!

Lisa i myśliwego wzroku niech użyczy,
wzroku dzikich gęsi na ich powietrznym szlaku.
Wszelkich oczu, które pomogą wyobraźni
przeżyć to nasze podstępne zepsucie i ten
zezwierzęcony ziemski czas.

W skórę i w usta styczniowy cierpki pył
wciska się jakby lodowata próżnia
wraz z pustynną potęgą. Wysiadły już od tego
nerki i wątroba, ale myśl została
i sama w śnieżycach morfinowych błądzi.

przełożył *Bohdan Zadura*

Migawka

Patrzysz wciąż w dół, na ziemię,
twarz skupiona.
To ja chodzę pod twoimi powiekami cicho,
ruszam w świat w samo południe,

ale tyle słońca w środku
i tyle łanów w błysku błyskawic faluje,
dzisiaj też na wieczór powrócę.

Ostatecznie

Nie ma komu powiedzieć, ale mówię:
ostatecznie byłem w czepku urodzony:
moja ręka, zmęczony obieżyświat
mogła spocząć ci na twarzy, na udach.

Romanca

Dmie bardzo silny wiatr,
trzeszczy ogrodzenie.
Drżę jakby szczutego zwierza strach zamieszkał we mnie.
Ostrożnie wyglądam przez okno: to księżyc, ten znany, stary
komornik-wątrobiarz
zaczaił się cicho przy gruszy.
Szukam silnej, obronnej ręki ojca,
już jej nie ma.
Tylko pieniek, którego używał stoi w wybujałym zielsku:
opuszczony szafot, pokryty
zastygłą warstwą trocin.
Odchodzę od okna, ściany wieją chłodem,
dmie bardzo silny wiatr,
trzeszczy ogrodzenie.

przełożył *Szczepan Woronowicz*

Szeleści w nocy mak

Szeleści w nocy mak:
obudziły się wyrzuty sumienia: przecież ja cię naprawdę
opuściłem.
I wciąż jest lato, od lat jest lato,
a ty sama żyjesz,
sama w tym klatkowcu.
Nikt ci nawet nie powie: popraw chustkę,
bo świat może jeszcze do ciebie przyjść.
Pijesz, gdy powinnaś płakać,
pijesz, gdy się zbliżają twoje imieniny,
pijesz, gdy patrzysz na splatające się ciemne uda w
zakazanym łożu,

a deszcze wiszą przed tobą, jak fastryga nieskończoności
Bez znaczenia już — co się stało i jak się stało:
skradzioną tobie moją wieczność
roztrwoniłem niedbale;
moja rodzina teraz to: kozik, żeby boczku ukroić i chleba,
królestwo drzew zielonych
ponad głową
i słodycz pewnej zaręczonej ze śmiercią kobiety —
Z nimi jestem,
gdy szuka mnie u ciebie zapach dzikiego bzu,
lub jakiś tajny policjant udający czyściciela okien,
z nimi jestem, zaś ty — już tylko wdową po mnie.

przełożył *Marian Grześczak*

SANDOR CSÓORI ur. 1930, poeta, eseista, dramaturg filmowy. Autor kilkunastu książek poetyckich i eseistycznych. Mieszka w Budapeszcie. Patrz nota str. 75-76.

GYÖRGY GÖMÖRI

Zdjęcie z lotu ptaka średnio rozwiniętego kraju

Czego wojny (w tych stronach to normalne)
jeszcze nie dokonały, zdołano
dokonać teraz: ogromne, ziejące
kratery, na pół ścięte góry,
stale dymiące usypiska śmieci,
stosy szmelcu fabryk z czasów króla Ćwieczka,
ultranowoczesne maszyny rdzewiejące na deszczu,
starannie zanieczyszczane powietrze
(w centymetrze sześciennym już kilogram pyłu
przypada na pracownika!)
i tłusta tafla jeziora, w którym
najlepsze, co cię czeka, to krwawa biegunka.
Tak wyglądamy, choć jeszcze nie wspomniałem
o buchających z rur wydechowych kłębach ołowiu,
o zdradzieckich detergentach
i wielokrotnie głosowanych atomowych
reaktorach (za ich bezpieczeństwo może dać głowę
ten, komu w aptece dadzą cokolwiek bez recepty).
Nie czekajmy na nowe trzęsienie ziemi:
jeśli nie przyroda, sam człowiek z pewnością
dołoży wszelkich starań i wysiłków,
ażeby stworzyć ten kraj, gdzie nie warto żyć.

przełożył *Bohdan Zadura*

GYÖRGY GÖMÖRI ur. 1934, poeta, tłumacz (również poezji polskiej) krytyk i historyk literatury. Mieszka w Cambridge, gdzie na tamtejszym uniwersytecie wykłada literaturę polską. Wydał trzy tomy wierszy i antologię przekładów poetyckich

ARPÁD FARKAS

Proch

Kto, kto widział ziemię? Może ktoś pamięta
ziemię? I nie bije pod stopami,
dymiąca gruda którą trzymam —
nie ona.
Miliardy i jeszcze miliardy
żywych prochów błyszczy,
wiruje, lśni i rodzi
się na dłoni.
Nie, to nie ziemia. Ziemia dyszy, gdzieś w głębi oddycha,
pod kamienia grotem, pod mieczem, krzykiem, co wolność przyzywa,
pod prochami
kości piszczelowych, czaszek, szczęk i łukiem żeber,
tam faluje, tam jej szukaj!
Wszystko tu jest prochem tylko sprzed miliarda lat
to tętno, uderzenie, puls.
I może tylko jedno:
jasną wstęgę rzucić
na noc
ukrytą
za siatką
to
promieni sieć.
Zdmuchuję więc z fortepianu —
i jeszcze jednym oddechem bliżej ziemi jestem już.
Wycieram z amfor, z kolb pobłyskujących i z mózgów,
proch zakrywa już nasz spokój,
piachem w oczy.

przełożył *Szczepan Woronowicz*

ARPÁD FARKAS ur. 1944, poeta (trzy tomy wierszy) i tłumacz poezji rumuńskiej. Mieszka w Sepsiszentgyörgy w Rumunii. Jeden z najbardziej znaczących reprezentantów literatury węgierskiej w Siedmiogrodzie

TADEUSZ OLSZAŃSKI

Nowy przekład *Chłopców z Placu Broni*

Należę do pokolenia, które wychowało się na „Chłopcach z Placu Broni". Jest tych pokoleń już kilka, bo wielce ceniony przekład Janiny Mortkowiczowej doczekał się u nas kilkunastu wydań w wielu milionach egzemplarzy. Ostatnio powieść została wydana w 1982 roku przez MAW. I właśnie przypadkowo kartkując to wydanie zauważyłem w nim istotne różnice w stosunku do węgierskiego oryginału. Już w pierwszym rozdziale jest sporo opuszczeń a także przeinaczeń. Co mogło być ich powodem? Otóż pierwsze wydanie słynnej powieści Molnara ukazało się w Polsce w 1922 roku. A więc Janina Mortkowiczowa tłumaczyła tę książkę zapewne w latach 1920-1921. Nie znała języka węgierskiego, przekładu dokonała z niemieckiego tłumaczenia. Istnieją dwa niemieckie przekłady. Jeden bodaj z 1907 roku i drugi z 1928. Oparła się więc Mortkowiczowa prawdopodobnie na przekładzie pierwszym. Nie udało mi się jeszcze do tego pierwszego przekładu dotrzeć. Ale widocznie nie był on zbyt wierny, skoro Niemcy już po dwudziestu latach dokonali drugiego tłumaczenia. Siłą rzeczy Mortkowiczowa przejęła błędy tego pierwszego niemieckiego przekładu.

Postanowiłem więc sam przetłumaczyć tę książkę na nowo, tym razem z oryginału. Tak się złożyło, że moja inicjatywa zbiegła się z od dawna już dojrzewającym zamiarem redaktorów „Naszej Księgarni". Stary przekład funkcjonował bowiem przeszło 60 lat. Czasy się zmieniły, inny jest język, inni są czytelnicy. Niezmienione pozostały tylko moralne wartości książki Molnara, wzruszenia i odczucia w czasie jej lektury. Czy mi się udało wiernie oddać nastrój tej książki? Przyznam, że z pewną tremą czekam na wydanie nowego przekładu. Ostateczny głos w tej sprawie będą bowiem mieli młodzi czytelnicy.

Tadeusz Olszański

FERENC MOLNÁR

Chłopcy z Placu Broni

(fragment)

W klasie zegar znów wybił godzinę pierwszą i chłopcy chwycili za książki. (...) Już chcieli wychodzić z klasy, kiedy nastąpiło coś nieoczekiwanego.

Profesor Rac zatrzymał się na stopniu katedry.

— Zaczekajcie — powiedział.

Natychmiast zapanowała cisza.

Pan profesor wyciągnął z kieszeni palta małą karteczkę. Włożył okulary i zaczął odczytywać następujące nazwiska:

— Weiss!

— Obecny! — odpowiedział z przestrachem w głosie Weiss.

Profesor czytał dalej:

— Rychter! Czele! Kolnay! Barabasz! Lesik! Nemeczek!

Wszyscy wyczytywani kolejno odpowiadali:

— Obecny! Obecny!

Profesor Rac schował kartkę do kieszeni i powiedział:

— Nie pójdziecie jeszcze do domu, tylko zgłosicie się do mnie w pokoju nauczycielskim. Mam do was małą sprawę.

Po czym, nie wyjaśniając dalej przyczyny tego dziwnego zaproszenia, wyszedł z klasy.

Zaraz też powstał w klasie wielki szum.

— Dlaczego nas wzywa?

— Dlaczego mamy zostać?

— Czego od nas chce?

Takie pytania zadawali sobie wszyscy zaproszeni przez profesora chłopcy.

A ponieważ tak się złożyło, że wszyscy wyczytani byli z Placu Broni, więc zgromadzili się wokół Boki.

— Ja też nie wiem o co może chodzić — powiedział przewodniczący. — Wejdźcie do środka, a ja zaczekam na was na korytarzu.

Następnie Boka zwrócił się do pozostałych podkomendnych:

— Wobec tego spotkamy się nie o drugiej, lecz o trzeciej godzinie. Ze względu na tę przeszkodę.

Wielki korytarz szkolny zaludnił się w mgnieniu oka. Z innych klas również wychodzili uczniowie. Na cichym przed chwilą korytarzu z wielkimi oknami zapanował gwar, tłok, wzajemne przepychanie się. Wszyscy bardzo się spieszyli.

— Zostajecie w kozie? — jakiś chłopiec zwrócił się do smutnej grupki sterczącej pod drzwiami nauczycielskiego pokoju.

— Nie — odpowiedział hardo Weiss.

Po zadaniu tego pytania chłopiec wybiegł ze szkoły. Patrzyli za nim z zazdrością. On mógł spokojnie iść sobie do domu...

Po kilku minutach oczekiwania otworzyły się drzwi pokoju nauczycielskiego i zza mlecznej szyby wyłoniła się wysoka, szczupła sylwetka pana profesora Raca.

— Wejdźcie — powiedział i ruszył pierwszy.

W pokoju nauczycielskim było pusto. Chłopcy w śmiertelnej ciszy stanęli wokół długiego zielonego stołu. Ostatni z wchodzących ostrożnie zamknął za sobą drzwi. Profesor Rac usiadł na głównym miejscu przy stole i spojrzał na chłopców:

— Czy jesteście wszyscy?

— Tak jest.

Z dołu, z podwórza, dobiegł radosny gwar śpieszących do domu uczniów. Nauczyciel zamknął okno i wówczas w ogromnym pomieszczeniu, z półkami pełnymi książek, zapanowała głucha, groźna cisza. Tę grobową ciszę przerwał wreszcie nauczyciel:

— Dowiedziałem się, że założyliście jakieś stowarzyszenie. Dlatego was tu wezwałem. Stowarzyszenie nazywa się Związkiem Kitowców. Ten, który mnie o tym poinformował, wręczył mi jednocześnie listę członków związku. Czy to prawda, że jesteście jego członkami?

Nikt nie odpowiadał. Wszyscy stali niemo obok siebie z nisko opuszczonymi głowami, co było najlepszym dowodem prawdziwości powyższego oskarżenia.

Nauczyciel mówił dalej:

— Zacznijmy po kolei. Przede wszystkim chcę wiedzieć, kto założył ten związek, kiedy ja jasno i wyraźnie oświadczyłem, że nie pozwalam na założenie żadnego, ale to żadnego stowarzyszenia?

Nadal panowała ogromna cisza.

W pewnej chwili jednak odezwał się jakiś zalękniony głos:

— To Weiss.

Profesor Rac surowo spojrzał na Weissa:

— Weiss! Czy ty nie potrafisz sam się zgłosić?

— Ależ tak, potrafię — odpowiedział cichutko Weiss.

— To dlaczego nie przyznałeś się od razu?

Na to pytanie biedny Weiss znów nie odpowiedział. Profesor Rac zapalił cygaro i wypuścił kłąb dymu w powietrze:

— No to pytajmy po kolei — powiedział. — Po pierwsze powiedz mi, o jakich tu kitowców chodzi, co to w ogóle znaczy?

Zamiast odpowiedzi Weiss wyjął z kieszeni olbrzymią bryłę kitu i położył ją na stole. Przez chwilę patrzył na oddany kit, a potem tak cicho, że ledwo go było słychać, oświadczył:

— To jest właśnie kit.

— A cóż to takiego? — zapytał nauczyciel.

— Kit to kit, to taka masa, którą przykleja się szyby do ram okiennych. Szklarz zakłada szyby i potem oblepia je kitem, a my to wydłubujemy paznokciem.

— I to ty wydrapałeś ten cały kit?

— Nie, panie profesorze. To jest związkowy kit.

Nauczyciel aż uniósł brwi ze zdziwienia:

— Co to ma znaczyć? — zapytał.

Weiss wreszcie nabrał nieco odwagi:

— To jest kit zebrany przez członków związku — powiedział — a zarząd mnie właśnie powierzył jego przechowywanie. Poprzednio Kolnay przechowywał kit, bo on jest naszym skarbnikiem, ale u niego kit wysechł, bo go nigdy nie żuł.

— Więc kit trzeba żuć?

— Tak, bo inaczej wysycha i wtedy nie można go ugniatać. Ja codziennie żułem kit.

— Dlaczego właśnie ty?

— Bo mamy w statucie, że prezes powinien przynajmniej raz dziennie żuć związkowy kit, żeby nie stwardniał...

Tu Weiss załamał się, wybuchnął płaczem i pochlipując dodał:

— A teraz właśnie ja jestem prezesem...

Nastrój był poważny. Nauczyciel surowo krzyknął:

— Gdzie zebraliście taki ogromny kawał kitu?

Zapanowała cisza. Nauczyciel spojrzał na Kolnaya:

— Kolnay! Gdzie to zebraliście?

Kolnay zaczął trajkotać tak gorliwie, jakby swoim szczerym wyznaniem chciał zagadać podłą sytuację, w której się wszyscy znaleźli:

— Bo proszę pana psora, to się nam uzbierało przez cały miesiąc. Naprzód to ja żułem, ale wtedy ten kit był mniejszy. Pierwszy kawałek przyniósł Weiss i od tego się zaczęło, wtedy założyliśmy nasz związek. Ojciec zabrał Weissa na przejażdżkę powozem i on wydrapał kit z okna powozu. Aż paznokcie sobie rozkrwawił. Potem ktoś wybił szybę w sali śpiewu, więc przyszedłem i całe popołudnie czekałem, aż przyjdzie szklarz, ale on przyszedł dopiero o piątej i ja go wtedy poprosiłem, żeby dał mi trochę kitu, ale on nic nie odpowiedział, po prostu nie mógł mówić, bo on miał całą paszczę kitu.

Nauczyciel surowo zmarszczył brwi:

— Jak ty się wyrażasz? Pies ma paszczę, nie człowiek!

— Przepraszam, całe usta miał pełne kitu. Bo żuł kit. Więc podszedłem i poprosiłem go, żeby pozwolił mi się przyglądać, jak będzie wprawiał szybę. Patrzyłem, jak przyciął szybę, wprawił ją i wreszcie poszedł. A kiedy już poszedł, to ja zaraz wydrapałem kit. I zabrałem. Ale nie dla siebie, lecz dla naszego związku... związ... związ... kuuu... — i również się rozpłakał.

— Nie płacz — powiedział profesor Rac.

Weiss, który w zdenerwowaniu miętosił rąbek swojej kurtki, nie omieszkał zauważyć:

— Zaraz ryczy...

Ale Kolnay dalej szlochał i to tak rozpaczliwie, że aż serce się krajało. Weiss syknął więc znowu:

— Nie ryczeć!

Ale wkrótce i on zaczął beczeć. Łzy wzruszyły widać profesora Raca. Mocno zaciągnął się cygarem. Wtedy elegancik Czele zdecydował zachować się tak, jak zwykli to czynić rzymscy bohaterowie i jak wczoraj na Placu Broni postąpił Boka — godnym krokiem wystąpił przed oblicze profesora i stanowczym głosem oświadczył:

— Panie profesorze, ja również zbierałem kit dla związku.

I śmiało spojrzał nauczycielowi w oczy. Profesor Rac zapytał:

— Skąd go braleś?

— Z domu — odpowiedział Czele — stłuklem szybkę w zbiorniczku do kąpieli w klatce dla ptaków. Mama kazała zaraz naprawić, a ja wydłubałem potem kit i woda wypłynęła na dywan, kiedy kanarek zaczął się kąpać. Ale po co taki kanarek ma się kąpać? Wróble na przykład w ogóle się nie kąpią, są brudne i wcale im to nie przeszkadza.

Profesor Rac pochylił się na swoim krześle i pogroził palcem Czelemu:

— Nie rezonuj, Czele, bo ci zaraz zepsuję ten twój dobry humor. Mów dalej, Kolnay!

Kolnay pochlipywał jeszcze. Wytarł nos i zapytał:

— A co mam dalej mówić?

— Skąd wzieliście resztę kitu?

— Czele właśnie przed chwilą powiedział... I związek dał mi raz sześćdziesiąt krajcarów na ten cel...

To już się panu profesorowi Racowi zupełnie nie podobało.

— A więc i za pieniądze kupowaliście kit?

— Nie — odparł Kolnay. — Tylko mój ojciec jest lekarzem i przed południem jeździ fiakrem do pacjentów, raz zabrał mnie ze sobą, a ja z okna powozu wydłubałem kit, bo był bardzo miękki, no to związek dał mi sześć dziesiątek, żebym sam się tym fiakrem przejechał, więc ja po południu wsiadłem i pojechałem aż na Urzędnicze Parcele, po drodze wydłubałem kit ze wszystkich czterech okien, a potem piechotą wróciłem do domu.

Profesor zastanowił się chwilę:

— Czy to było wtedy, kiedy spotkałem cię przy Akademii Sztabu Generalnego?

— Tak jest.

— I odezwałem się do ciebie... A ty mi nie odpowiedziałeś.

Kolnay pochylił głowę i ze smutkiem odparł:

— Nie mogłem, bo miałem pełną gębę kitu.

I Kolnay znów się załamał, znów zaczął płakać. Weiss nie znosił płaczu, natychmiast zdenerwował się, zaczął ponownie miętosić w ręku kurtkę i powiedział:

— Znów ryczy...

I sam w bek. Nauczyciel wstał i zaczął przechadzać się po pokoju. Kręcił głową:

— Ładna sprawa. A kto był prezesem?

Na to pytanie Weiss błyskawicznie uspokoił się. Przestał płakać i dumnie uniósłszy głowę do góry oświadczył:

— Ja!

— A kto był skarbnikiem?

— Kolnay.

— Oddaj pieniędze, które wam zostały.

— Proszę.

Kolnay sięgnął do kieszeni. A miał wcale nie mniej przepastne kieszenie niż Czonakosz. Zaczął w nich grzebać i po kolei wyjmować wszystko, co w nich trzymał. Przede wszystkim wydobył jednego forinta i czterdzieści trzy krajcary. Potem dwa znaczki pocztowe po pięć

krajcarów, kartkę pocztową, dwa znaczki skarbowe o wartości jednej korony każdy, osiem nowych stalówek i jedną kolorową kulkę. Nauczyciel sposępniał na widok pieniędzy i dokładnie je przeliczył.

— Skąd braliście pieniądze?

— Że składek członkowskich. Co tydzień każdy płacił dziesięć krajcarów składki.

— A po co były wam potrzebne pieniądze?

— Wpłacaliśmy składki dla zasady. Weiss zrezygnował bowiem jako prezes z pensji.

— Ile miał dostawać tej pensji?

— Pięć krajcarów tygodniowo. Ja przyniosłem znaczki, pocztówkę Barabasz, a znaczki skarbowe Rychter. Ojciec mu... to znaczy on je ojcu...

— Ukradł! Co? Rychter! — przerwał gwałtownie nauczyciel.

Rychter wystąpił i spuścił oczy.

— Ukradłeś? Przyznaj się!

Bez słowa skinął potwierdzająco głową.

— Cóż to za zepsucie obyczajów! Kim jest twój ojciec? — nauczyciel nie mógł pogodzić się z tym faktem i kręcił głową.

— Mój ojciec, doktor Ernest Rychter, jest adwokatem. Ale nasz związek odkradł z powrotem ten znaczek.

— Jak to odkradł?

— No bo ja naprzód ukradłem ojcu ten znaczek, ale później bałem się, że ojciec zauważy, więc związek dał mi jedną koronę, żebym odkupił za to znaczek i podrzucił z powrotem ojcu na biurko. Lecz właśnie wtedy ojciec mnie przyłapał na gorącym uczynku, to znaczy, nie wtedy, kiedy zabierałem znaczek, ale wtedy, kiedy go chciałem oddać i stary zdrowo mi przyłoił...

Na surowe spojrzenie profesora Rychter natychmiast poprawił się:

— Dostałem za to od ojca lanie, a potem jeszcze dodatkowo przyłożył mi po buzi za to, że ukradłem ten znaczek, który chciałem położyć mu na biurku. Ojciec się strasznie gniewał i pytał, komu ja ten znaczek ukradłem, a ja nie chciałem przyznać się, bo znów dostałbym po buzi, więc powiedziałem, że to Kolnay dał mi ten znaczek i wtedy tatuś powiedział: „Natychmiast oddaj Kolnayowi, bo on na pewno gdzieś go ukradł", więc ja zaniosłem z powrotem znaczek Kolnayowi i dlatego teraz nasz związek ma dwa znaczki.

Profesor Rac zastanowił się nad tym, co usłyszał:

— A po co kupowaliście nowy znaczek, skoro można było oddać stary?

— Nie szło — odpowiedział za Rychtera Kolnay — bo na odwrocie przystawiliśmy pieczątkę naszego związku.

— To i pieczątkę mieliście? Gdzie jest ta pieczątka?

— Barabasz jest naszym kanclerzem.

Przyszła więc kolej na Barabasza. Teraz on wystąpił do przodu. Spojrzał morderczo na Kolnaya, z którym zawsze miał kłopoty. Pamiętał jeszcze o niedawnym zdarzeniu z czapką na Placu Broni przed głosowaniem... Ale co robić, wyjął z kieszeni sporządzoną z gumy pieczątkę wraz z poduszką do stemplowania i pięknie, grzecznie postawił ją na nauczycielskim stole. Nauczyciel obejrzał pieczątkę.

Napis brzmiał: „Związek Kitowców, Budapeszt, 1889." Pan profesor Rac stłumił uśmiech i znów pokiwał głową. Ośmieliło to Barabasza do tego stopnia, że sięgnął w kierunku stołu i chciał zabrać z powrotem pieczątkę. Ale profesor położył na niej dłoń.

— Czego chcesz?

— Panie profesorze — wydusił z siebie Barabasz — ja złożyłem przysięgę, że raczej oddam życie, niż pozwolę odebrać sobie pieczęć!

Nauczyciel schował pieczątkę do kieszeni.

— Cicho! — powiedział.

Ale Barabasz nie chciał się pogodzić z tym faktem.

— Jak tak, to proszę również zabrać Czelemu chorągiew!

— To i chorągiew macie? Proszę ją oddać — powiedział nauczyciel i zwrócił się w stronę Czelego. Czele sięgnął do kieszeni i wyjął z niej malutką chorągiewkę umocowaną na kawałku drutu. Tę chorągiew, podobnie jak sztandar chłopców z Placu Broni, wykonała siostra Czelego. Chorągiewka była czerwono-biało-zielona i było na niej napisane: „Związek Kitowców, Budapeszt, 1889. Przysięgamy, nigdy już niewolnikami nie być nam!"*

— Hmm — chrząknął nauczyciel — kto jest tym ptaszkiem, który przysięgamy pisze przez „sz"? Kto to napisał?

Nikt nie odpowiadał. Nauczyciel grzmiącym głosem powtórzył:

— Kto to napisał?

Nagle Czele wpadł na pewien pomysł. Po co dalej sypać kolegów? Przysięgamy przez „sz" napisał Barabasz, ale niby dlaczego miałby za to cierpieć? Więc Czele odezwał się z boku:

— To moja młodsza siostra tak napisała, panie profesorze.

I przełknął po tym kłamstwie ślinę. Nie było to szlachetne, ale uratował jednak przyjaciela... Nauczyciel nic nie powiedział. A chłopcy zaczęli teraz mówić jeden przez drugiego.

— Panie profesorze, Barabasz nie powinien był zdradzać chorągwi, to naprawdę nieładnie z jego strony — powiedział ze złością Kolnay.

Barabasz usprawiedliwiał się:

— On zawsze mnie się czepia! Jak nie ma pieczęci, to nie ma i naszego związku! Koniec!

— Cicho! — przerwał dyskusję profesor Rac. — Już ja wam pokażę. Związek ulega natychmiastowemu rozwiązaniu i żebym więcej nie słyszał, że będziecie coś takiego robić. Z zachowania dostaniecie wszyscy stopień odpowiedni, Weiss mniej odpowiedni, bo on był prezesem związku.

— Przepraszam! — skromnie zaznaczył Weiss. — Akurat ja byłem w tym momencie prezesem, ale właśnie dzisiaj miało odbyć się zebranie, na którym mieliśmy wyznaczyć nowego prezesa na ten miesiąc.

— I mieliśmy mianować Kolnaya — powiedział z szyderczym uśmiechem Barabasz.

* Są to słowa kończące każdą zwrotkę *Pieśni Narodowej* największego węgierskiego poety romantycznego Sandora Petofiego, wygłoszonej przez niego w dniu wybuchu rewolucji Wiosny Ludów na Węgrzech 15 marca 1848 roku. Słowa te, które zna każde węgierskie dziecko, miały w latach panowania Austriaków na Węgrzech, a także później, w okresie współnej monarchii a więc w czasie, kiedy toczy się akcja *Chłopców z Placu Broni*, zdecydowanie antyaustriacki charakter. Pełny tekst tej przetłumaczonej przez Juliana Wołoszynowskiego frazy brzmi następująco: *Przysięgamy! Ty nad nami Boże sam. Nigdy już niewolnikami nie być nam!* (przyp. tłum.)

— Nic mnie to nie obchodzi — stwierdził nauczyciel. — Jutro wszyscy zostaniecie w szkole do drugiej. Już ja was nauczę! A teraz możecie iść do domów.

— Do widzenia panie profesorze! — rozległo się chóralne i wszyscy ruszyli z miejsc, w których sztywno tkwili. Weiss wykorzystał chwilowe zamieszanie, żeby sięgnąć po kit. Ale nauczyciel dostrzegł jego manewr:

— Zostaw to!

Weiss zrobił niewinną minę:

— To nie dostaniemy z powrotem naszego kitu?

— Nie! I kto z was ma jeszcze kit, ten niech go natychmiast odda. Jeśli się dowiem, że u któregoś z was został kit, to zastosuję najsurowszą karę!

Na te słowa wystąpił do przodu Lesik, który dotąd milczał jak głaz. Wyjął z ust kawałek kitu i z bólem serca dokleił go brudnymi rękoma do związkowej bryły.

— Nie ma już więcej?

Zamiast odpowiedzi Lesik szeroko rozdziawił usta. Pokazał, że naprawdę więcej już nie ma. Nauczyciel sięgnął po kapelusz:

— Niech no tylko jeszcze raz usłyszę, że założyliście jakiś związek! Marsz do domu!

Chłopcy w milczeniu wymykali się chyłkiem z nauczycielskiego pokoju i tylko jeden z nich odezwał się cicho:

— Do widzenia panie profesorze!

Był to Lesik, który poprzednio nie mógł się pożegnać z nauczycielem, bo miał pełne usta kitu.

Nauczyciel wyszedł, rozwiązany przed chwilą Związek Kitowców pozostał samotnie. Chłopcy spojrzeli na siebie ze smutkiem. Kolnay opowiedział całą historię przesłuchania ich przez profesora Raca czekającemu na korytarzu Boce. Ten odetchnął z ulgą.

— Bardzo się przestraszyłem — powiedział — bo już myślałem, że ktoś zdradził nasz Plac Broni...

W trakcie tej rozmowy Nemeczek podszedł do stojącej grupki chłopców i szeptem powiedział:

— Popatrzcie... stałem przy oknie, kiedy was przesłuchiwano... szyba była dopiero co wprawiona... i...

Pokazał kawałek świeżego kitu, który przed chwilą wydrapał z okna. Pozostali patrzyli z podziwem. Weissowi zabłysły oczy.

— Jeśli znów mamy kit, to znów istnieje związek! Przeprowadzimy zebranie naszego związku na placu...

— Na Placu Broni! Na placu! — krzyknęli pozostali i ruszyli pędem do domów. Schody rozbrzmiały okrzykiem, który był zawołaniem chłopców z Placu Broni:

— Hola ho! Hola ho!

przełożył *Tadeusz Olszański*

JOLANTA KOWALCZYKÓWNA

LEKCJA FERENCA MOLNÁRA TRWA

W tomie wspomnień *Pod znakiem kloska* Hanna Mortkowicz-Olczakowa pisze: *W roku 1907 moi rodzice spędzali wakacje w miejscowości Tatra Seplak (dziś Wyżnie Hagi), na węgierskiej, obecnie słowackiej, stronie Tatr. Zaprzyjaźnili się tam z rodziną profesora Alexander z Budapesztu. Od nowych znajomych dowiedzieli się, że ich przyjaciel, znany już, młody pisarz węgierski Ferenc Molnar napisał dobrą książkę dla młodzieży. Matka moja pilnowała odtąd, kiedy ta książka ukaże się w przekładzie niemieckim i przetłumaczyła ją natychmiast. Po węgiersku, ma się rozumieć, nie umiała, ale tego rodzaju przekłady pośrednie były wówczas ogólnie praktykowane.* I dalej jeszcze: *Zdobyła ona* (książka — J. K.) *na gruncie polskim ogromny sukces i jest od pięćdziesięciu lat ulubioną lekturą polskich dzieci. Może przyczynił się do tego obok samej treści i bardzo dobrego przekładu atrakcyjny tytuł, także wymyślony przez tłumaczkę, a szczęśliwszy od oryginalnego: Chłopcy z ulicy Pawła*[1].

Kim był autor książki, Ferenc Molnar (Budapeszt 12 I 1878 — Nowy Jork 2 IV 1952)? Zwięzły biogram w *Małym słowniku pisarzy świata* (Warszawa 1968) informuje, iż był to *dramaturg i prozaik węgierski. Od 1920 mieszkał w USA. Jego dramaty obyczajowe, ukazujące życie węgierskiego mieszczaństwa, w okresie międzywojennym grane były na scenach wielu krajów*[2]. *Odznaczają się zwartą konstrukcją, interesującą akcją, umiejętną charakterystyką postaci i doskonałą techniką sceniczną. Najbardziej znane: „Az ordoge" 1907 (Diabeł), „Liliom" 1910, „Olympia" 1928, „Egy, ketto, harom" 1929 (Raz, dwa, trzy). Prócz opowiadań i humoresek M. jest też autorem popularnej powieści dla młodzieży „A Pal utcai fiuk" 1907 (Chłopcy z Placu Broni).* Zauważmy, iż ostatnie zdanie, lakonicznie informujące o najpopularniejszym przecież utworze Molnara sytuuje powieść dla młodzieży na najpośledniejszej pozycji w jego twórczości. Nieco więcej wiadomości przynoszą *Słownik pisarzy węgierskich* oraz różne obcojęzyczne encyklopedie. Podają one, obok danych biograficznych, sporą ilość tytułów dzieł Molnara: *Wspomnienia korespondenta wojennego 1916*, zbiory nowel: *Tajemnica lasu w Aruvin, Złodzieje węgla*, dramaty: *Cud wśród gór, Czerwony młyn, Dobru wróżka, Harmonia, Ktoś, Łabędź, Szklany pantofelek, Zabawa w pałacu*, powieści: *Ich troje* (polskie tłum. w 1935), *Kopalnia, Towarzysz podróży na wygnaniu* i inne. W *Nowym słowniku literatury dla dzieci i młodzieży* (Warszawa 1984) czytamy, iż przyszły pisarz po ukończeniu szkoły

[1] H. Mortkowicz-Olczakowa: *Pod znakiem kloska*. Warszawa 1962, s. 161-162. A oto tytuły przekładów niem: *Die Jungens der Paulstrasse* (1910), franc.: *Les Gosses de la rue de Pal* (1907), ewentualnie: *Les gars de la rue Paul*, ang.: *The Pal-street Boys* (tłum. ameryk. pt. *The Paul Street Boys* w 1927), tłum. jugosłow. pt. *Junaci Pavlove ulice*.

[2] W Polsce m.in. w teatrze lubelskim w maju 1912 wystawiono komedię *Oficer gwardii*, por.: S. Kruk: *Życie teatralne w Lublinie (1782-1918)*. Lublin 1982 s. 263; w łódzkim Teatrze Miejskim — we wrześniu 1936 — komedię *Wielka miłość*, por.: St. Kaszyński: *Teatr przy ulicy Cegielnianej*. Łódź 1980 s. 211.

średniej w Budapeszcie studiował prawo międzynarodowe w Genewie, a jeszcze w okresie studiów — od 1896 — podjął praktykę dziennikarską. Następnie zajął się pracą przekładową, wreszcie sam począł pisać. W antologii *Opowiadania pisarzy węgierskich XX wieku* znajduje się jego tekst, oparty na własnych wspomnieniach szkolnych pt. *Kei krajcaret juge (Figi za dwa grajcary)*.

W okresie pracy nad *Chłopcami z Placu Broni* Janina Mortkowiczowa przełożyła również *Serce ubogich* E. Demoldera, *Historię młodego życia* A. Ernsta, *Moich chłopców* G. Geijerstama, *Nad dalekim cichym fjordem* A. Gjems-Selmer, *Cudowną podróż* S. Lagerlof. Wszystkie one ukazały się w Wydawnictwie Mortkowicza, ale prócz *Cudownej podróży* niestety żadna z nich nie jest dziś znana naszym dzieciom.

Pierwsze polskie wydanie *Chłopców*... wyszło w 1913, w oficynie księgarskiej firmowanej jeszcze wówczas przez Gabriela Centnerszwera i Spółkę. Na karcie tytułowej uwidoczniony był jedynie autor Franciszek Molnar, nazwisko tłumaczki pominięto. Powieść nie była ilustrowana. Edycja ta, znajdująca się w zbiorach warszawskiego Muzeum Książki Dziecięcej, jest zniszczona, nie zachowały się także oryginalne okładki. Wiadomo, wedle informacji cytowanej już Mortkowicz-Olczakowej, że w 20-leciu międzywojennym pojawiło się jakoby dziesięć wydań książki: w 1922 — drugie, w 1925 — trzecie, sygnowane już przez Jakuba Mortkowicza, w 1929 — czwarte, z charakterystycznym kłosem na karcie tytułowej i nazwiskiem tłumaczki na odwrocie, jak również adnotacją, iż jest to pozycja polecana do bibliotek szkolnych przez Komisję do Oceny Książek działającą przy ówczesnym Ministerstwie WRiOP. Rok 1935 przyniósł wydanie piąte (postdatowane na rok 1936) a 1937 — szóste. W 1939 ukazują się jeszcze wydanie ósme i dziesiąte (!), to ostatnie w twardej, beżowej okładce, z adnotacją: „przejrzane i poprawione".

Po wojnie, już w roku 1945, powieść zostaje wznowiona również w przekładzie Mortkowiczowej, jako wydanie piąte (!) i szóste (1946) w krakowskiej firmie Tadeusza Gieszczykiewicza. Kolejne siódme wznowienie to edycja Mortkowiczowska, po czym, w 1955, ukazuje się wydanie drugie (!), ale już w „Naszej Księgarni", z ilustracjami Leonii Janeckiej, i następne (także drugie!), wydanie masowe w roku 1956. Ostatnia dotąd edycja, dziewiętnasta tej bardzo poczytnej powieści w przekładzie Mortkowiczowej i z ilustracjami Janeckiej opublikowana została w roku 1983 pod auspicjami „Naszej Księgarni". Należy jeszcze przypomnieć, że rzecz była kilkakrotnie filmowana, a w 1958 przygotowano jej adaptację sceniczną w opracowaniu Kazimiery Jeżewskiej[1]. Od lat *Chłopcy z Placu Broni* stanowią lekturę szkolną, a najnowszy *Program nauczania ośmioklasowej szkoły podstawowej w roku szkolnym 1986/87* zaleca tę pozycję jako lekturę uzupełniającą dla klasy piątej[2].

Materiał porównawczy wydań, przed- i powojennych, prezentuje się dość interesująco. Jest sporo różnic w tekstach. Niektóre z nich sprowadzają się do odmian w pisowni imion i nazwisk, które w edycjach przedwojennych brzmią: Jan Boka, Czonakos, Czengej, Franek Ats, Pasztorowie, Dezydery Gereb, Andrzej, Leszyk, Szebenicz, ulica Rakoczego, podczas gdy po 1945 użyto form: Janosz Boka, Czonakosz, Czengey, Feri Acz, Pastorowie, Dezo Gereb, Andrasz, Lesik, Sebenicz, ulica Rakoszańska. Pongo i halerze zmieniono na forinta i grajcary, grosze — także na grajcary, węgierską równinę na węgierską puszt, kręgle na palanta, zabawy w napady Indian na zabawy w Indian, odwach na areszt, posłów na parlamentariuszy, przewodnika poselstwa na przewodniczącego, fechtowanie szpadami w szermierkę na dzidy, chatę Słowaka na budkę Słowaka, fabrykę tytoniu zastąpiono fabryką wyrobów tytoniowych, frakowe ubranie pana Czetnekiego — brązowym garniturem, powozik — fiakrem, panicza — kawalerem. Zmieniono również szarże wojskowe: generał stał się kapitanem, pułkownik — porucznikiem, ordynans (względnie żołnierz) — szeregowcem, pułki — batalionami. Nemeczek ongiś awansował na pułkownika, obecnie — na kapitana. Przekształcono także pewne zwroty lub określenia, np. „melduję pokornie" zmieniono na „melduję posłusznie", „panie generale do usług" na „melduję się na rozkazy", „ty mały kłamco!" na „ty mały kręteczu!", „ojcze" na „tatusiu", „rozczerwienioną twarz" na „rozpłomienioną twarz". Zawołanie bojowe chłopców brzmiało: „Hallo ho!", obecnie — „Hola ho!"; zawołanie „czerwonoskórych": „Hallo ho!", teraz — „Hej, hop!".

Są to jednak zmiany drobne, ale bywają i poważniejsze. Przede wszystkim teraz powieść osadzono w czasie. Obecnie na pieczątce, jak też i na chorągwi Związku Zbieraczy Kitu, widnieje rok 1889. W wydaniach przedwojennych rok pominięto. Inny przykład: rozdział I kończy się radosnym epizodem Czonakosza i Nemeczka. Obaj chłopcy zażywają dla żartu po szczypcie tabaki i idą ulicą kichając i śmiejąc się wesoło. Epizod ten, pozornie bez znaczenia, stał się jednak w wydaniu powojennym bardzo istotny, ponieważ swoją atmosferą jak gdyby uwypukla, na zasadzie kontrastu, dramatyczny tok dalszych wypadków — kompozycyjnie jest zatem potrzebny.

Stwierdzając najogólniej — powojenną wersję przekładu należy uznać za bardzo udaną i to z różnych względów: po pierwsze — poprzez wprowadzenie pisowni i terminów węgierskich (Jano, Andrasz, puszta) przydano tekstowi słusznie tzw. kolorytu lokalnego; po drugie — tam gdzie to było możliwe — stał się on bardziej aktualny w płaszczyźnie leksykalnej, np. „frakowe ubranie" zastąpiono „brązowym garniturem", „odwach" — „aresztem", a „polę kurtki" — „brzegiem kurtki"; po trzecie — i jest to sprawa najistotniejsza — poprzez owe zmiany i dodatki tekst powieści uzyskał silne zabarwienie uczuciowe. Spostrzeżenie to dotyczy zarówno drobnych wariantów stylistycznych, jak i obszerniejszych fragmentów narracyjnych. Wymowne są w tej mierze następujące sformułowania: Matka Nemeczka „...szukała wszędzie chorego synka..." podczas gdy przedtem: „... szukała syna po okolicy..."; „Jak się miewa mały chłopiec?", przedtem: „Jak się miewa chłopiec?"; „...cały oddział ruszył za biedną kobietą dźwigającą syna i tulącą go do siebie...", przedtem: „...poszli gromadą za biedną kobietą, dźwigającą syna". A oto fragment relacji chorego Nemeczka, zasadniczo zmieniający treść i charakteryzujący postawę chłopca: *Wtenczas zerwałem się z łóżka. Z początku upadłem na podłogę, bo jestem taki słaby. Ale podniosłem się, wyjąłem ubranie z szafy... i buty... i ubrałem się prędko. Matka nie wracała. Wybiegłem na ulicę. I przyszedłem do was, żeby walczyć z wami.* Nowa jego redakcja brzmi: *Wtenczas zerwałem się z łóżka. Z początku upadłem na podłogę, bo jestem taki słaby. Ale podniosłem się, wyjąłem ubranie z szafy... i buty... i ubrałem się prędko. Byłem już ubrany, gdy usłyszałem kroki. Mama wracała. Szybko wskoczyłem do łóżka w ubraniu i naciągnąłem na siebie kołdrę aż po uszy, żeby mama nie zobaczyła ubrania. Ale powiedziała tylko: „Przyszłam zapytać, czy czego nie potrzebujesz". A ja odpowiedziałem, że nic, więc wyszła i wtedy wybiegłem na ulicę. I przyszedłem do was, żeby walczyć z wami.*

Podobnie jest ze sceną temperowania ołówka. Nemeczek dawniej: *Temperował tak zawzięcie, jak gdyby tym wyrazić chciał cały swój ból,*

[1] K. Jeżewska: *Chłopcy z Placu Broni. Sztuka w 8 obrazach.* Wg Ferenca Molnára. Oprac. scen. i uwagi inscen. ... Uwagi o reżyserii: Z. Kopalko. Dekoracje i uwagi scenogr.: M. Kochanowicz. Muz.: J. Dargiel. Warszawa 1958 CPARA. Biblioteka Repertuarowa.

[2] „Polonistyka" nr 2 1985 s. 130.

[3] F. Molnar: *Chłopcy z Placu Broni.* Wyd. 8. Warszawa 1966 s. 121; F. Molnár: *Chłopcy z Placu Broni. Powieść z życia uczniów węgierskich.* Wyd. 8. Warszawa 1939 s. 152. Wszystkie cytaty z powieści pochodzą równolegle z obu tych wydań.

całą gorycz dręczonego serca; w nowej wersji *Biedny, zaplakany szeregowiec zaczął go* (ołówek — J. K.) *ostrzyć pochlipując od czasu do czasu i pociągając nosem, jak to bywa po wielkim płaczu. Cały smutek, jakim przepełnione było jego małe serduszko, przelał w ostrzony ołówek.*

Należy tu także pamiętać o dwu zwłaszcza fragmentach, których brak w edycjach przedwojennych. Przytoczę je oba. Rzecz dzieje się na krótko przed śmiercią Nemeczka: *Tymczasem mały Nemeczek jak gdyby powesełał. Przywołał Bokę do siebie.*

— *Usiądź tutaj na łóżku. Nie bój się — zapraszał go.*

— *Czegoż miałbym się bać! — zaprzeczył żywo Boka i usiadł w nogach łóżka.*

— *Może się boisz, że przy tobie umrę? Nie bój się, jak będę czuł, że umieram, to ci przedtem powiem. Słuchaj — szeptał dalej...*

Fragment drugi dotyczy przyjścia członków Związku Zbieraczy Kitu z adresem honorowym do chorego chłopca:

— *Nie mogliście przyjść wcześniej? — rzekł Boka.*

— *Dlaczego?*

— *Teraz śpi.*

Członkowie delegacji popatrzyli na siebie.

— *Nie przyszliśmy wcześniej, bo kłóciliśmy się, kto ma być przewodniczącym delegacji. Pół godziny trwało, zanim wybraliśmy Weissa.*

Dodajmy, że owe pół godziny zadecydowało o tym, że Nemeczek nigdy już nie dowiedział się, iż został zrehabilitowany przez Związek, a raczej przez tych głuptasów, którzy do niego należeli. Opuszczonych fragmentów tego typu jest więcej, a edycje powojenne poszerzono jeszcze o jeden rozdział, będący wypiskiem z Wielkiej Księgi Związku Zbieraczy Kitu pt. *Uchwała*. Mimo wprowadzenia owych zmian należy zauważyć, iż nie naruszają one spoistości fabuły, nie czynią jej „rozgadaną". Nie wnoszą też do powieści atmosfery sentymentalnej, ani tym bardziej ckliwej, nie patetyzują ukazanych sytuacji, jedynie — w sposób oszczędny — ulirycznią ją. Tłumaczenie stało się bardziej wierne oryginałowi.

Co na kartach powieści oferuje Molnar młodym czytelnikom? Opowiada ona — jak wiadomo — o grupie budapeszteńskich chłopców, którzy toczą walkę o ukochany plac zabaw z uczniami innej szkoły, zwanymi Związkiem Czerwonoskórych. Nie chodzi tu wszakże tylko o historię jeszcze jednej „zabawy w wojnę" między dwoma chłopięcymi obozami, ale o sens daleko głębszy.

Rzecz dzieje się w roku 1889, a więc w okresie, gdy Węgry wchodziły w skład monarchii austro-węgierskiej. Tendencje narodowowyzwoleńcze były zatem wśród Węgrów oczywiste i naturalne. Powieść Molnara należy tedy odczytać zarówno jako wielką metaforę, jak i wielką lekcję patriotyzmu udzieloną dorosłym przez dzieci. Ów niewielki skrawek przestrzeni między ulicą św. Pawła a ulicą św. Marii był dla chłopców, wychowanych w ciasnocie miejskich ulic, nie tylko ukochanym miejscem zabaw, ale też i „ojczyzną najbliższą"; kiedy tej „ojczyźnie" zagroziło „wrogie plemię", postanowili jej bronić. Dlatego też walka o plac przekształca się z zabawy w wielką grę taktyczną, przy tym grę prowadzoną według bardzo szlachetnych reguł. Strony przeciwne omawiają warunki walki, wysyłają parlamentariuszy, oddają wojskowe honory, zdobywają się na wzajemny szacunek, o ile wróg rzeczywiście na ten szacunek zasługuje. Mali bohaterowie Molnara umieją bić się i wygrywać; umieją też — podkreślmy to — z godnością przegrywać; pod tym względem zarówno Janosz Boka i Feri Acz, jak również dowodzone przez nich gromadki zasługują na uznanie. Przypomnijmy tu zarówno postawę małego Nemeczka, skąpanego w wodzie na rozkaz Acza jak i wizytę delegacji wysłanej do chorego chłopca. Matka Nemeczka powiada płacząc: *Wszyscy... wszyscy jesteście tacy dobrzy... tak kochacie mego biednego synka. Poczekajcie, dostaniecie po filiżance czekolady. Posłowie spoglądali na siebie. Czekolada była bardzo nęcąca. A jednak*

Pastor powiedział podnosząc z godnością głowę: — Dziękujemy bardzo, ale nie zasłużyliśmy wcale na czekoladę. Marsz! I poszli.

Ideę rycerskiej walki z przeciwnikiem podkreśla Wanda Krzemińska pisząc, iż powieść Molnara stanowi „oryginalną transpozycję reguł rycerskiej walki na użytek młodego czytelnika. A zarazem jest subtelnym studium żarliwości dziecięcej, żarliwości głęboko ideowej, bo nie płynącej z żadnego wyrachowania". I dodaje: *Wydaje się, że Chłopcy z Placu Broni to jedno z ostatnich ogniw kształtującego się w XIX wieku ideału wojennego męstwa, wojennej rycerskiej romantyki, która stanowi o walorach tylu utworów wysokiej artystycznej miary i która wychowała wiele generacji młodych bojowników o wolność*[6].

Molnar prezentuje również w *Chłopcach*... tak modny potem w powieściach międzywojnia motyw związku. Widzimy tu i Związek Chłopców z Placu Broni i Związek Czerwonoskórych, mające swych wodzów, umundurowanie, barwy i zawołanie wojenne, jak też Związek Zbieraczy Kitu, który ma także swojego „prezesa". Z owym motywem związku łączy się sprawa inna i chyba ważniejsza; ujawnia się tu mianowicie autor jako świetny znawca psychiki dziecięcej. Węgierscy chłopcy, podobnie jak ich rówieśnicy w innych krajach, przejawiają typowe dla swego wieku dążności czy raczej skłonności do formowania tajnych stowarzyszeń, przestrzegania tajemnic i chronienia ich przed starszymi, smakowania w tym, co zakazane, rządzenia się własnymi, przez siebie ustalonymi prawami. Jest to — z jednej strony — izolacja przed światem dorosłych, lecz z drugiej — mimowolne, choć wierne naśladownictwo tego świata. Zaaranżowana przez pisarza zabawa-walka małych bohaterów staje się jednocześnie dla nich samych niby papierkiem lakmusowym, sprawdzają się w niej bowiem charaktery chłopców: hartują, dojrzewają...

Jaka jest treść aksjologiczna tego „dobra", które rekomenduje czytelnikowi Ferenc Molnar? — pyta w zakończeniu swej recenzji Joanna Papuzińska. I odpowiada: *Jest nim gotowość do poniesienia ofiary w imię swoich pryncypiów moralnych, zdolność do obrony własnych i zbiorowych wartości w obliczu przemocy, mimo przemocy*[7]. Jest to bowiem książka głęboko ludzka. Odwaga, honor, uczciwość, męstwo, obowiązek, lojalność, wierność, skrucha to nie puste słowa, nie symbole nawet, ale prawdy oczywiste, wyznawane i realizowane na co dzień. Warto tu przypomnieć charakterystyczną scenę, gdy przed domem chorego Nemczka spotyka się dwu chłopców: *Dwaj wodzowie stanęli ze sobą oko w oko przed bramą smutnego domu. Jednego przywiodło tutaj serce, drugiego wyrzuty sumienia. Nie zamienili ze sobą ani słowa i krążyli dalej w milczeniu po pustej uliczce.*

W zakończeniu powieści Boka *uciekа od tego niewiernego skrawka ziemi, którego oni bronili z takim męstwem i z taką miłością, a który ich teraz tak haniebnie zdradza, aby po wieczne czasy dźwigać na swym grzbiecie wielką czynszową kamienicę*, a wychodząc *odwrócił się i spojrzał jeszcze raz tak jak ktoś, kto na zawsze opuszcza ojczyznę.*

Dawno już nie ma w Budapeszcie Placu Broni, na jego bowiem terenie w tym samym roku, a nawet miesiącu, gdy mali bohaterowie stoczyli tu ostatnią dramatyczną walkę, przyplaconą życiem małego Nemeczka, najdzielniejszego i najbardziej rycerskiego z Molnarowskich chłopców, stanęła „ogromna szara kamienica".

W interesującym reportażu pt. *Śladami Nemeczka* Leszek Mazan pisze: *W miejscu, gdzie bracia Pasztorowie wrzucali do stawu bohaterskiego zwiadowcę z Placu Broni oraz na wzgórku, gdzie mieściła się ich zbrojownia — stoją teraz budyneczki kotłowni i ogrodowego łamusa. Opiekuje się nimi siwy, niski człowiek, pamiętający jeszcze czasy, gdy*

[6] W. Krzemińska: *Idee i bohaterowie*. Wrocław 1969 s. 125.

[7] J. Papuzińska: *Dobro zdrożało*. „Nowe Książki" 1984 nr 4 s. 95

ogród botaniczny był wielki i rozległy. Rysuje nam na ziemi plan owego ogrodu, ze stawem, wyspą, mostkiem, ruinami. Cóż, było — nie ma. Ocalała tylko stara, piękna palmiarnia: ta sama, w której ukryli się uciekający przed pogonią Czonakosz, Nemeczek i Boka. Jest nawet ten sam basen, do którego schował się Nemeczek, przykrywając głowę pióropuszem paproci[4]. Następnie czytamy tamże, iż do wspomnianej kamienicy *prowadzą dwie bramy: pierwsza — otwarta i używana — od ul. Franciszka Józefa (...) i druga — od ul. świętego Pawła, zamknięta na głucho, pozbawiona klamki i oplątana pajęczyną. Nad tą bramą widnieje tabliczka. Pal utca 7 i właśnie dokładnie w tym miejscu znajdowało się wejście na Plac Broni, ale na Pal utca próżno by szukać najmniejszej choćby tabliczki informującej, że to właśnie tu... Tylko kilkadziesiąt metrów dalej, na domu przy ulicy Franciszka Józefa 83, umieszczona jest skromna tablica informująca, że właśnie tutaj mieszkał w swych latach dziecięcych Ferenc Molnar, dramaturg i komediopisarz, autor „A Pal utcai fiuk" — „Chłopców z ulicy świętego Pawła"*.

Warto by sobie jeszcze zadać pytanie, czy jest to powieść osnuta na motywach autobiograficznych? Molnar pisze przecież: *Czy można było sobie wymarzyć lepsze miejsce do zabawy? Z nas nikt na pewno nie mógł sobie wyobrazić, aby gdziekolwiek na świecie można było lepiej bawić się w Indian, jak na Placu. To nam zastępowało amerykańskie prerie. Skład zaś drzewa od tyłu był wszystkim tym, co nam w danej chwili było potrzebne — miastem, lasem lub skalistą, górską okolicą* (podkr. moje — J. K.).

Od ukazania się pierwszego wydania węgierskiego minie wkrótce 80 lat. Zacytujmy raz jeszcze Papuzińską: *Książka ta nie tylko z biegiem czasu przyćmiła resztę niezbyt już dzisiaj znanej twórczości autora, ale przetłumaczona na kilkadziesiąt języków obcych, stała się dla szerokich rzesz niewyrobionej publiczności czytającej wizytówką całej literatury węgierskiej, a nieraz nawet jedyną znaną pozycją piśmiennictwa tego kraju*[5]. Dodajmy jeszcze, że w grupie klasyki obcej zajmuje nadal godne miejsce obok *Alicji..., Pinokia, Dziadka do orzechów, Pierścienia i róży, Księcia i żebraka*. Dlatego trudno zgodzić się z osądem francuskiej badaczki Isabelle Jan, która przyznając tej powieści głębię i oryginalność i zestawiając ją z *Królem Maciusiem I* Janusza Korczaka pisze, iż zabawa chłopców z ulicy Pawła rzeczywiście prowadzi do zmilitaryzowania się i zakłócenia stosunków zaufania i koleżeństwa, a kończy wywołaniem stanu wojny i bitwy, ale jest to wojna jednak niepoważna i bez konsekwencji. Zestawiając dzieła Molnara, Korczaka, a także Twaina autorka pracy pt. *La litterature enfantine* stwierdza, iż są to powieści klasowe („des romans de classe"), rodzaj nie cieszący się obecnie uznaniem, choć dość poczytny w XIX wieku[6].

Sądowi temu zapewne przeczy ogromna także w Polsce liczba wznowień powieści i jej autentyczna poczytność, mimo iż od lat wchodzi ona do kanonu lektur szkolnych, po które zazwyczaj młodzież sięga niezbyt chętnie.

Jolanta Kowalczykówna

[4] L. Mazan: *Śladami Nemeczka*. „Przekrój" 1975 nr 1590 s. 6.

[5] J. Papuzińska: op. cit., s. 94.

[6] Por. I. Jan. *La litterature enfantine*. 2-ème éd. rev. Paris 1969 s. 102-103.

SÁNDOR GÁL

marcowa ciemność

lampka wina i ogień
widać
czernieje
czasu zgorzel
podnieść się chodzić
na nowo się urodzić
o, mały kraju
martwe grudy
wspomnienie koni włamała się północ
przesądy gusła i grzech o wielkich piersiach
czy dobroć?
Któżby śmiał teraz
czynić rozróżnienia?
oślepł księżyc
pomiędzy chmurami się ukrył mgłą siąpi
zawilgaca moje okno
wyją bezpańskie psy a wysoko
na skraju widzialnego świata pohukuje sowa
spod śniegu dobiega mnie głos mych kochanek
wiatr na ciernistą drogę wola
pamiętaj, pamiętaj mówi kamień
nie zwieszaj głowy na progu starości
nie w marmurze
i nie w piaskowcu
na skraju
na obrzeżach
jest jeszcze
coś do zrobienia
wino i ogień płonie
zjawiają się rumaki
bez wędzideł bez siodeł
być wolnym rosnąć
w spokoju brzegów
w rzek wielkim gniewie
w drzewie
i w kwiecie
w sasanki fiolecie
w niezabudki błękicie
i nic ucieczką żyć lecz życiem
w tysiącu zmierzchów i tyluż porankach

pomiędzy skałami potęg
do morza i z powrotem
na tej prowincji obrzeżu
sens nadać ziemi i drzewom
i serca biciu
nadzieję gałązkom wierzby
brzegów łagodnym skłonom
gdzie ptaki się zagnieżdżą
wiatr wyhoduje fiołki wespół z wiosną
czekałeś na to?
mur z kamienia
wzniesiono wokół ciebie żelbetową twierdzę
wolność to przestrzeń pokoju
konie wiatr oto
nicość na nicości pędzi
pustynnieje horyzont zmienia się w bezludzie
i już nie może być odwrotu
coś jak krzyk słychać szmer kornika
grzechot żmii i rośnie
stuleci cisza
apel poległych zastępów
przy domu dom
obok siebie
ulice trzcinowych strzech
zmarzłe błotniste koleiny
samotność wronioczarna
gdzie podział się
śpiew oszroniony-ogorzały
pozdejmowano z dzwonnic dzwony
uprowadzono konie
rycerzy
nurt lodowy
na zalewiskach drzewa ścina
podwójna głusza
na oślep wierzga kopie
pieni się
jak krew
w arteriach serca
lampka wina płonie ogień
marcowa ciemność

przełożył *Bohdan Zadura*

SÁNDOR GÁL ur. 1937, poeta, prozaik, autor kilkunastu tomów poezji i prozy. Jeden z najwybitniejszych przedstawicieli literatury węgierskiej w Czechosłowacji. Mieszka w Kocakemet.

FERENC BUDA

'83

Mam nad głową
dach, więc czuwać mogę.
Pod dachem, wśród czterech ścian,
opieram łokcie na kuchennym stole
Jest jesień, choć mogłoby być
cokolwiek. Mży,
pada, wciąż pada na mnie czas,
tak jak śnieg,
tak jak deszcz.
Dachy, grube mury
i butwiejący,
kruszący się czas:
chroniczne teraz.
Odsuwasz się, historio,
od moich ust.
Leci tynk —
mija chwila,
chwila mija.
Osaczają papiery, rzeczy,
manatki, rupiecie,
ręce po łokcie w rękawiczkach —
plastikowe manipulatory.
Znam je, przywykłem już do nich,
już nie budzą mych mdłości.
Dach okrywa, chronią ściany.
Na jałowych haldach duszy nawet
rośnie trawa.
Historia, historia —
chrzęst gąsienic, stukot butów,
odcinki gumowych opon,
plama krwi na bruku,
odcięte kopyto konia.
I ruiny,
w krąg ruiny.
Przeszłość jest domysłem,
o przyszłości nic nie wiem,
teraźniejszość ginie w ziemi.
Historia!
Sztylety słomy, wysypane ziarno.
Na drogach śmierci rozwiewane.

rozjechane zwłoki psa.
W naszym pędzie zamiera
sens.
Bezdomnych,
na bezdomnej planecie,
co jeszcze czeka,
jakie jeszcze gwiazdy?
Dach okrywa, chronią ściany,
drgnęło na półce zdjęcie
Petőfiego.
Wiruje radar,
wymacuje,
obraca się,
szuka, szuka.
Od stu lat tutaj wszystko tymczasowe.
Opieram łokcie na kuchennym stole.
Mogę tak czekać nawet całą noc —
brak rozwiązania,
jest węzeł.
Nie w moich rękach:
w moich plecach nóż.
W ciemnym kącie, wśród kurzu
pająk przędzie.
W sieć się zamienia wątła przędza.
Chlorowana woda bez przerwy
jękliwie dzwoni w rurach.
Do kogo? Z czym?
W tym dźwięku zasypiam
i ten dźwięk mnie budzi.
Już zaczął się grudzień.
O świcie upadł śnieg,
chłodny,
biały.
Dla oczu
jak leczniczy okład.
Pod lekką okrywą
blizny, rany,
umilkłe i te, które wyciszono, słowa.
Zlowieszcza muzyka rozcina powietrzną przestrzeń
kraju ciszy:
urywany, świszczący oddech
karetki pogotowia.

przełożył *Bohdan Zadura*

FERENC BUDA ur. 1936, poeta i tłumacz poezji tureckiej. Redaktor miesięcznika literackiego „Forrás". Autor trzech tomów wierszy i zbioru przekładów. Mieszka w Kecskemet.

SÁNDOR CSOORI

ASOCJACJE

Codziennie słyszę gorzkie żale: wszystko na próżno, niestety nie umiemy żyć, panuje taki chaos, tyle jest brudu, że musimy zdechnąć. Społeczeństwo? Praca? Cywilizacja? Zasadzki, obawy, zdrady. A do tego jeszcze nasze życie prywatne! Związki, układy! Walka toczy się bezustannie. Toczy się jawnie, zdzierając, zrywając bruk ambicji, toczy się zepchnięta do podziemia, nieobliczalna, wspierana przez mitologiczne cienie.

Jeśli toczyłaby się tylko pomiędzy wrogami, moglibyśmy znaleźć dla niej jakieś usprawiedliwienie, ale trwa także pomiędzy ludźmi, którzy darzą się nawzajem szacunkiem, pomiędzy kochankami, przyjaciółmi. Najlepiej świadczą o tym zwisające nici i nagie neurony rozrywanych związków międzyludzkich.

Czemu służą te miniaturowe wojny i te maleńkie katastrofy siejące spustoszenie z iście mrówczą cierpliwością?

Czyżby walka wypływała z samej natury bytu? Powiadają, że tygrys nie jest ani dobry, ani zły, a jednak pożera gazelę. Tak, ale człowiek to co innego. Świadomie może czynić dobrze lub źle. Oprócz jego instynktów — a może właśnie im służąc — jego świadomość funkcjonuje w sposób kontrolowany.

Instynkt i świadomość?

Zamiast drapieżnego instynktu drapieżna świadomość?

Na czym w istocie polega różnica?

Zwierzę chce pozostać przy życiu, chce się rozmnażać i w imię tego uczyni wszystko.

Człowiek oprócz tego chce jeszcze czegoś innego. Jednostka najchętniej robiłaby to, co osiągnął cały gatunek ludzki w swoich najpiękniejszych chwilach. Człowiek podróżowałby, zdobywałby kontynenty, kierowałby historią, wystrzeliwałby rakiety i urządziłby świat według własnego gustu: niezwykły gabinet sypialnię, pędzący przedział kolejowy. Tylko że piąta, dziesiąta, tysięczna jednostka też chciałaby wszystko to urządzić według własnego gustu. Dlatego też zamknięty świat osobowości rzadko znajduje plodną i pełną harmonię. A jeśli nawet niekiedy odnajdzie ją na krótko — w przyjaźni, miłości, walce — harmonia ta stopniowo zanika, gdyż druga strona pragnie czegoś mniej albo więcej, lub też chce osiągnąć to samo w inny sposób.

O rewolucji światowej inaczej myślał Trocki, a inaczej Lenin. O walce o wolność inaczej Kossuth, a inaczej Petőfi. Każdy z nich był maniakiem własnej koncepcji: opętańcem, kochankiem jakiegoś wyższego celu.

Napięcie pomiędzy tymi, którzy czegoś chcą — bez względu na to, czy sprowadza się do minimalnych czy generalnych różnic poglądów — wcześniej czy później prowadzi do wybuchu. I jeśli może się ono stać faktem znanym wszem i wobec, można się do niego dostosować — zaakceptować lub odrzucić, pracować lub umrzeć w jego imię. Ale historia tworzy sytuacje klarowne tylko wówczas kiedy przeciwnicy już

do siebie strzelają. Przynależności do tego lub tamtego obozu nigdy nie możemy poświadczyć argumentami, lecz czynami. Siła naszych decyzji może być mierzona nie siłą „prawdy", lecz tym, w jakiej części uda się nam je urzeczywistnić.

Dokonanie wyboru, podjęcie decyzji w historii — ponieważ ludzi przyciągają i odpychają większe pola sił — jest niekiedy łatwiejsze niż w świecie jednostek, w którym patrzą sobie prosto w oczy dwa takie same egoizmy.

Walka — jeśli toczona jest w imię spraw ogółu — może być bardziej uzasadniona niż zmagania w imię jednostkowego egoizmu. Te ostatnie — tak jak określił je Lőrinc Szabo — są zawsze pojedynkiem odbywanym w tajemnicy. A ponieważ toczą się w tajemnicy, wiążą o wiele więcej energii niż otwarta walka. Już od dawna wydaje mi się, że stosunki międzyludzkie zużywają więcej prądu niż sprawy publiczne, więcej niż problemy przynależności i zaangażowania społecznego. Mam bardzo wielu znajomych, którzy mogą spożytkować tylko część swoich sił, gdyż ich kontakty są chaotyczne i nie uporządkowane.

Dawniej wiele moralności — religijna, społeczna, klasowa — pomagało jednostce w tym, aby swoje kryzysy rozwiązywała lub po prostu grzebała je według uprzednio ustanowionych regul. Jeśli rozpatrywać tylko stosunki między kobietami i mężczyznami, zmiana w tym zakresie jest dziś wyraźnie widoczna. Jednostce pomaga coraz mniej sił zewnętrznych: coraz mniej regul, zwyczajów i praw. Prawa muszą być przez każdego przystosowane do niego samego, albo przez niego tworzone i to tak, aby te indywidualne rozwiązania nie mnożyły społecznego chaosu.

Tak więc świat poszukujący ideału wspólnoty, oczekuje od jednostki postawy akurat odwrotnej niż ta, o której słyszała ona od popularyzujących ją oratorów: nie umiejętności przystosowania się, lecz samodzielności, nie szczytnej wierności komuś i wspólnocie oraz nędznym nam samym, lecz samowiedzy zyskiwanej wytrwałą pracą.

W moim odczuciu najbardziej społecznym typem człowieka jest Syzyf, który mimo że bogowie go opuścili, nie pozostawia świata samemu sobie, gdyż na zawsze pozostaje z nim jego zadanie. Syzyf nie jest zdolny do niewierności, nie jest zdolny do zdrady, co świadczy o jego ponadludzkiej sile. Symbolem jego stosunku do świata nie jest wtaczany i spadający kamień, lecz jego jasno widzący umysł, dzięki któremu uznał i zaakceptował swój los jako jedyną możliwość.

Jedyną możliwość? Czy jest coś takiego także w życiu codziennym, nie tylko w mitach? Jednostka ma niezliczoną ilość możliwości, ale naprawdę jest w stanie spełnić tylko jedną, służyć tylko jednej. Niestety w większości przypadków nasze możliwości poznajemy dopiero wtedy, kiedy je przeoczymy lub utracimy. Nierozwiązalna sprzeczność, ale panować możemy tylko nad tym, co już rozumiemy — to jest nad naszą przeszłością. Ci, którzy pragną pełniejszego życia, przeżywają katastrofy lub są pokonywani przez swoje dramaty z powodu tej właśnie sprzeczności. Tak naprawdę o przyszłości powinniśmy mieć taką samą wiedzę jak o przeszłości, nasze jutrzejsze pomyłki powinniśmy znać tak samo dobrze jak wczorajsze

Jest to oczywiście absurd. Cóż więc nam pozostało?

Żyć w stałym napięciu? Czekać na tę lub inną możliwość?

Pomiędzy dwoma rodzajami oczekiwań człowiek zawsze patrzy w przepaść. A co się stanie — można by zapytać — jeśli za jedyną możliwość uznalibyśmy najpierw przepaść? Myślę, że jest to najbardziej niepokojący stan będący jednocześnie azylem — zbliżanie się do nas samych począwszy od końca drogi nie jest niczym innym jak bezwzględną rzeczowością; beznamiętnym wystawieniem się na próbę. Wiedzieć, że będę się równał swoim niepowodzeniom: może to zrodzić nie tylko poczucie baznadziejności, lecz także pragnienie, by na wszystkim co utracę, widniała prawdziwa próba jak na złocie. Nie mówiąc już o tym, że z zachwytem można rozprawiać tylko o przyszłości niemowląt, gdyż one nie mają jeszcze własnego losu. Człowiek dorosły może mówić z zachwytem tylko o tym, co udało mu się wyrwać z jego losu. Dlatego też przyszłość traktuję z gruntu podejrzliwie i z niechęcią. Poddaję ją w wątpliwość, by później tym bardziej ją szanować. Podobnie w każdej nowej myśli, idei szukam najpierw cech awanturniczych, aby wiedzieć, od czego będzie mi trzeba potem oddzielić trwałe wartości.

Człowieka trzeba oderwać nie tylko od obrazu Boga, lecz także od jego własnych iluzji, gdyż nadzieje budowane ze złudzeń i przeczuć równają się abstrakcyjnemu pojęciu boskości. Inaczej mówiąc: najpierw uczyłbym ludzi umiejętności doznawania rozczarowań, nie zaś żywienia nadziei. Uważam, że me przestrogi dobrotliwych wujków, cioć i mądrych dorosłych są godne wpisania do pamiętników, lecz przestrogi włóczęgów i złoczyńców, którzy nie bawią się głupkowatymi pomysłami, lecz cierpieniem, krwią, śmiercią; są oni nam pomocni przez to, że zmuszają do oporu

W każdym dorosłym rozczarowania doznaje dziecko. W większości przypadków w sposób nieodwracalny, gdyż do czasu, kiedy spróbuje się z nich otrząsnąć, traci siły i załamuje się.

Już od dawna roję sobie o nowej rewolucji stosunków międzyludzkich. Cóż by się stało, gdybyśmy się zbliżali do siebie nie przez nasze zalety i przez myśli o naszej niewinności, lecz przez wyliczanie naszych zbrodni i niepowodzeń? Nasze zbrodnie czynią nas bardziej rozpoznawalnymi, gdyż nie ktoś inny ma je odkrywać po czasie, kiedy już wywołały katastrofę, lecz można się z nich rozliczyć jeszcze zawczasu. Co więcej, nasze zbrodnie eksponują nawet nasze cnoty. Odwrotnie już tak nie jest. Nasze cnoty wymagają szacunku, są rozbrajające. Nie umacniają czynów, lecz raczej wzbudzają podziw. Dlatego też bardziej niż Abel interesuje mnie Kain, który nie pogodził się z tą fałszywą sytuacją, którą określa twierdzenie, iż ludzką cnotą jest także to, że ktoś jest dobry od urodzenia. Ma co najwyżej szczęście. Kain chciał zabić nie tyle Abla, co pychę, zarozumiałość i wystawioną na podziw cnotę i czystość. Jego zamiar był potężniejszy i bardziej ludzki niż zamysł Abla, który tylko chełpił się swoimi darami.

Kain jako skrajność jest również punktem wyjścia; jest przykładem na to, że przybliżanie się do cnoty od strony zła rodzi większą jasność lub też pragnienie czystości, niż by to miało miejsce odwrotnie. Poczucie braku jest podstawą każdej kultury.

Nie potrafimy żyć? Rzeczywiście. Co najwyżej tak, że uciekamy się do oszustwa, obłudy i kłamstwa. Nasze trwalsze związki pokryte są ich rdzą. Początkowo żywimy zbyt wiele iluzji, mamy zbyt wiele ufności, a kiedy świat obnaży się przed nami do imenu, bledniemy, gorączkowo łapiemy powietrze, zakrywamy oczy, bronimy się. Bronimy się, zamiast w jakiś sposób szukać prawdy.

Stopniowo utwierdzam się w gorzkim przeświadczeniu, że niszczy nas ciągła obrona. Pomiędzy nami szańce, rowy strzeleckie, zasieki z drutu kolczastego. Także zza falochronów przyjaznych słów ukazują się hełmy szturmowe. Mam niewątpliwy przykład na to, że warto by postawić na nogi nasz przewrócony sposób widzenia, sposób pojmowania życia: geniuszy ludzkość najpierw zbrukała, ukamienowała, spaliła na stosie A potem chciała żyć tak jak oni. Chociaż geniusze byli zawsze „gorsi, bardziej niemoralni" niż przeciętni obywatele.

Bardziej niemoralni? Raczej bardziej wolni. Przede wszystkim dlatego, że swoje siły poświęcili nie na samoobronę, lecz na zdobycie samowiedzy. Wiedzieli, że od tego zaczyna się jakiekolwiek samodzielne życie.

JĘZYK TWÓRCZY

Moi przyjaciele przybywający z Siedmiogrodu skarżą się, że spotykają bardzo wielu Węgrów mieszkających na stałe na Węgrzech, którzy ze zdziwieniem zadają im pytanie: Boże, to wy jeszcze nie zapomnieliście węgierskiego? Żadnych potknięć, żadnego obcego brzmienia w waszej wymowie?

Cóż można na to odpowiedzieć? Można co najwyżej przełknąć ślinę, zarumienić się zamiast zadających takie pytania i mówić dalej poprawnie, jasno tym zawstydzonym, wyklętym językiem.

Zawstydzenie ma tym istotniejszą wymowę, że wywołują je Węgrzy. Jeżeli bowiem ktoś nie wstydzi się przypuszczać czegoś takiego w odniesieniu do Siedmiogrodzian, daje tylko świadectwo własnej niewiedzy. Cóż taki człowiek może wiedzieć o języku ojczystym, o historii — o Matyasu, Dózsy, Gaborze Bethlenie, Janosu Apaczaim Csere, o Bólyaich i co o Adym, który w Siedmiogrodzie nauczył się nie tylko języka psalmów, lecz także niemal wszystkiego, co ugruntowało jego świadomość narodową i podniosło ją do rangi uniwersalnej. Cóż taki człowiek może wiedzieć o seklerskich balladach ludowych, o pieśniach żałobnych, o trwającej wieleset lat lekcji języka jaką dają kamienie, przełęcze, urwiska, sosnowe lasy, czyhające jeziora, połoniny i gorskie cmentarze. O despotycznym, słodkim terrorze słów.

Wystrzegajmy się rzecz jasna rozrzewnienia. Języka ojczystego rzeczywiście można zapomnieć. Ale nie tylko za granicą, w otoczeniu lub w sąsiedztwie języków obcych — można go także zapomnieć będąc w kraju. Jeśli będziemy się nim posługiwać niezgodnie z przeznaczeniem, język zmarnieje. Jeśli nie będziemy nim wyrażać prawdy, jeśli nie powierzymy mu naszych najśmielszych marzeń i najbardziej rozognionych snów, zwiędnie jak niekochana kobieta.

Będąc w Siedmiogrodzie przekonałem się, że to właśnie my, żyjący w kraju mamy się czego wstydzić. Tak jak byśmy to raczej my a nie oni zapomnieli języka węgierskiego. W porównaniu z nimi mówimy szorstkim, jałowym językiem. Z jednej strony mamy monotonię jakiej doznają chodzący po pagórkach i przemierzający miejskie betonowe szlaki, a z drugiej lekkie, bogate swoim urozmaiceniem skoki ludzi z gór wysokich, owiewanych wiatrem.

Pewna kobieta z Menaság uskarżając się na swoje życie wypowiedziała takie oto zdanie: „Ogarnęła mnie taka zgryzota, że płakałam od ściany do ściany... mało, a już wyklęłabym się z własnej niewinności". A mówiąc o swoim małym synku powiedziała: „Co to może wiedzieć taka drobna gałązeczka?"

Płakać od ściany do ściany? Wyklinać się z własnej niewinności? Na upartego moglibyśmy powiedzieć, że to powiedziane przypadkiem, że są to klejnoty z ukrytej skarbnicy jakiejś wspaniałej duszy. Ale tam, gdzie inni nie mówią „przypadkowo" tak samo lub podobnie, tam nikt nie może mówić takim przemawiającym do duszy szczęśliwym i nieszczęśliwym językiem. Jeżeli bowiem prawdą jest to, że historia to autoportret nas wszystkich — to możemy to także powiedzieć o języku ojczystym. W okrzyku tej kobiety jest także okrzyk historii, który użyczył jej słów. W cytowanym zdaniu tej kobiety ściany nie są tylko rzeczywistymi ścianami, nie są tylko ścianami chłopskiej chałupy. Są jednocześnie niewidocznymi ścianami — szańcami zamknięcia i poczucia bezsilności. Także i pojęcie wyklęcia z własnej niewinności nie wiąże się tylko z moralnością religijną, bo przecież język o takiej zwięzłości nigdy me jest cząstkowy, nie wyraża losu zamkniętego w jednym doznaniu, lecz całego człowieka. I nie tylko jednostkę, lecz także człowieka żyjącego we wspólnocie. Zamykając niekiedy całe jego życie w jednym zdaniu.

Płynące stąd wnioski adresowane są już nie tylko do tych, którzy me mogą się nadziwić, że Węgier żyjący poza granicami kraju mówi po węgiersku płynnie i bez wahania, ale do nas wszystkich, którzy nic podług powyższych reguł śledzimy każdy oddech języka ojczystego. Możemy bowiem mówić płynnie, ładnie i elegancko, rozrzucając nawet perły w zdaniach, które wypowiadamy, cóż z tego, jeśli naszym drogowskazem nie jest wewnętrzna postawa, poczucie sprawiedliwości i charakter języka. Słownictwo? Tylko wówczas jest coś warte, jeśli cenne są przede wszystkim myśli, które chcemy przekazać. W zdaniu wypowiedzianym przez kobietę z Menasag nie było żadnego dziwnego słowa, zaskakującego ozdobnika, a mimo to ukazało ono nieznaną głębię. Jeśli powiedziałaby tylko tyle, że był czas, kiedy dużo płakała, też powiedziałaby prawdę. A ściślej — nie przemilczałaby prawdy. Ale ponieważ powiedziała: płakałam od ściany do ściany — najbardziej codziennym słowom nadała taki rozmach, głębię i siłę, które są bardziej zachwycające niż najwspanialsze girlandy słów.

Zacytuję Illyésa: „Styl to człowiek? Jeśli tak, to język ojczysty to naród". Uzupełnijmy słowa Illyésa tezą, według której dbałość o język oznacza nie mniej i nie więcej niż troskę o naród lub prawdę.

Tak było zawsze, ale dziś, jak się zdaje, język jest przytłoczony bardziej niż dawniej.

W okresie poprzedzającym rozwój piśmiennictwa — uczeni mogą to poświadczyć — najważniejszym organem percepcyjnym było ucho. Słyszeć znaczyło tyle co wierzyć, język panował wówczas nad innymi zmysłami niepodzielnie niczym monarcha. Wiele się zmieniło po pojawieniu się piśmiennictwa, wiele w wyniku wynalezienia druku, a jeszcze więcej w dwudziestym wieku, od czasu wynalezienia fotografii, filmu i telewizji. Coraz nieuchronniej wierzymy temu, co widzimy. W ten sposób język, jeśli nawet niepostrzeżenie, stracił na swojej niezależności, mało brakuje, abym nie powiedział, że pełni funkcje służebne wobec czasu. A my, którzy za sprawą naszych oczu stajemy się „konsumentami" świata, nawet nie zauważamy, że stajemy się także konsumentami języka ojczystego. Żyjemy z jego zapasów i zmagazynowanych dóbr, zajmując się mało — albo w ogóle nie — hartowaniem jego charakteru, zwiększaniem jego wrażliwości. Leniwiejąc powodujemy, że i on staje się leniwy.

Proces ten nie dawałby powodów do niepokoju, jeśli wszystko to, co ukazuje się nam przed oczami, wyrażałoby świat lepiej niż język. Ale nie wyraża. Często dlatego, że nie może wyrażać. Zakazane myśli są także zakazane jako obrazy. Kłopotliwe i wymowne zdjęcia, demaskujące kroniki filmowe oglądają w naszej epoce światło dzienne z dziesięcio- lub dwudziestoletnim opóźnieniem, tak samo jak myśli uznane za zakazane.

I jest jeszcze coś, o czym nigdy nie wolno nam zapomnieć: prawdę trzeba nie tylko odnaleźć i ukazać, lecz trzeba jej także szukać. Wyjść jej na spotkanie, pójść jej tropem — usłyszeć jej tętent dochodzący zza gór albo jej oddech spod kamieni. Uczynić ją obecną także i tam, gdzie nie widać nawet jej cienia. Jakimż innym duchowym środkiem dysponowałyśmy do tego, co najważniejsze — do ciągłego przekazywania procesów i konfrontacji.

Powiadają, że widzieć znaczy tyle, co mieć pozwolenie — nie myślimy, bo przecież widzimy. Innymi słowy obraz zdobywa przewagę nad słowem, nad językiem, gdyż przemawia nie tylko do naszego umysłu, lecz także zdobywa nad nami władzę.

Któżby temu przeczył?

Ale niech wolno mi będzie zapytać, czy istnieje obraz w czasie przeszłym lub przyszłym?

Obraz istnieje tylko w czasie teraźniejszym!

Możliwe, że to sprężenie czasu teraźniejszego jest bardziej wybuchowe niż siła języka niosąca ze sobą medytację i ból, ale nie jest pewne, czy jest takie także w ostatecznym rozrachunku. Chociażby dlatego, że obraz jest bardziej narażony na działanie czasu — pojawia się, ukazuje

się i gaśnie. Zdolność języka zaś polegająca na cieniowaniu i odróżnianiu rozwija się najpełniej właśnie w czasie. Język bezustannie buduje i burzy, tworzy kontakty pomiędzy ludźmi, przyczyną i skutkiem. Potrafi oddzielić myślenie od działania, ale jednocześnie potrafi je także połączyć. A że język skrępowany jest kolejnością, czasem i logicznymi karbami opowiadania? Tylko wówczas, kiedy na drodze naszego myślenia gromadzą się przeszkody i zatory.

Obrazy nigdy nie pozostawiają nas sobie samym, nie dają nam spokoju. Pozbawiają nas samotności, jednej z możliwości jaką dysponujemy. A ponieważ biegną poza nami, rzadko inspirują nas do działania, w większości przypadków czynią z nas świadków. Świat przypatruje się wydarzeniom z krzeseł widowni kin lub też z domowych foteli. Przypatruje się samemu sobie.

Ale niech nikt nie myśli, że wzrost znaczenia zdolności naszego widzenia jest jakimś nieszczęściem. Uważam raczej, że jest to prawidłowość. Jeśli nawet przejściowa. Ponieważ rozwój obrazocentrycznego sposobu myślenia zmusi z czasem język do tego, by wzniósł się wyżej i objął we władanie nowe obszary. Jestem przekonany, że tylko te języki będą zmuszone upaść do poziomu komentarza do obrazów, które nie będą w stanie rozwinąć się w czasie, panować nad nim, które nie będą miały siły zburzyć, odtworzyć i głosić chwały rzeczywistości i przemieniać jej w rzeczywistość.

CENA POCZUCIA RÓWNOWAGI

Co sądzę o aktualnej sytuacji naszej literatury?

Odpowiedź wyzwala najpierw płynące z głębi westchnienie i zaraz potem myśl uchodzącą za truizm

Zacznijmy od niej.

Sytuacja literatury nigdy nie jest dobra, jeśli pisarzom przychodzi odpowiadać na tego rodzaju pytania. Wszyscy znamy filozofię przyjęcia weselnego: jedz albo odejdź! Niepohamowana wesołość nie wymaga wyjaśnień.

Ten, kto pracuje, rozmyśla nad pracą, komu zaś praca nie idzie, zastanawia się dlaczego tak się dzieje. W najlepszym razie nad tym, dlaczego nie idzie mu tak, jak mogłaby iść.

Myślę, że jeśli chodzi o sytuację naszej literatury, mamy do czynienia z tym pozornie szczęśliwszym przypadkiem. Dlaczego tylko pozornie szczęśliwszym? Dlatego, że w istocie ten „szczęśliwszy przypadek" jest bliski także najgorszemu. Któż mógłby twierdzić, że nasza literatura nie jest stosunkowo dobra? I kto mógłby powiedzieć, że jest bardzo dobra? To, co w niej dobre, i co niedobre, spotyka się w jakimś spokojnym zrównoważeniu.

Równowaga zaś jest balastem w życiu literackim. To, co jest połowiczne — umniejsza wartość. Utrwala stan, z którego trudniej wyjść niż z czegoś, co byłoby jednoznacznie złe.

Ale porzućmy abstrakcyjne wywody.

Weźmy fakty. Na początku lat sześćdziesiątych ukazywały się również utwory, które po pięciu latach zajmują nas bardziej niż te, które ukazują się obecnie. Myślę przede wszystkim o *Faworycie* Illyesa i ogromnym dokonaniu poetyckim Ferenca Juhasza i Laszló Nagya — o ich zachwycających poetyckich świątyniach, które wystrzeliły wzwyż i zapanowały nad okolicą, nie tylko swoimi proporcjami i swoim pięknem, lecz także tym, że w swojej istocie niosły ambicje i proporcje wielkości. Przy nich zaczęła wznosić się także nasza proza. Mając inne

przeznaczenie, napierając na naszą wrażliwość innymi bodźcami, kierując nas na drogę narodowej samowiedzy. Powieści Fejesa i Sánty, Cseresa i Somogyi-Tótha; opowiadania Szakonyiego, Moldovy, Galgóczi, Csurki i innych, począwszy od nowel Meszölya, Ivána Mandvego, a skończywszy na opowiadaniach Hernadiego. Socjografie Gyuli Csáka, Gábora Mocsára niemal jednocześnie sygnalizowały ruchy społeczne, polityczne i moralne.

Książki, zamiary i gatunki literackie stawały się coraz bardziej interesujące dzięki wzajemnemu ścieraniu się, a ukryte w nich niuanse wyrażały wspólną prawdę — jeśli literatura jakiegoś okresu jest rozgorączkowana, to okres ten niesie ze sobą jakieś zadania. Dlatego też naświetla je w tak wielu aspektach, żeby później tym skrupulatniej móc je wypełnić. Tym ostrożniej.

Wprawdzie częściej miały miejsce literackie skandale, nieporozumienia, ale powstało też wiele wartości. Spójrzmy może za płot — to samo działo się w literaturze polskiej i radzieckiej.

Czy mamy to uważać za przypadek, czy raczej za prawidłowość? Postać jakiejś powieści może kształtować los, przypadek może ją skierować na inną drogę, ale — powiedzmy — kształt powieści napisanych w jakiejś epoce mogą określać tylko reguły. Przede wszystkim ruchy społeczeństwa.

Czyż więc obecnie „zrównoważenie" literatury odzwierciedla zrównoważenie społeczeństwa?

Niestety, tak.

To zaś jest po wielokroć demaskujące. Przede wszystkim dlatego, że odzwierciedla swoim bezruchem. A ściślej mówiąc dlatego, że tylko odzwierciedla — identyfikuje się z nim w ten sposób, że w istocie pozostawia je samemu sobie. Niczego nie wymyśla, niczego nie proponuje, niczego nie rozlicza. Socjografie, powieści, eseje, które ukazały się na początku lat sześćdziesiątych — jeśli niczym innym, to swoim rozgorączkowaniem — przygotowały to, co stanowiło emocjonalny grunt dla myśli o reorganizacji życia gospodarczego.

Wydaje się, że od tamtej pory literatura wyczerpała się. Statystycznie rzecz biorąc ukazuje się tyle samo książek, ile wówczas, ale pozycji znaczących — pomijając kilka zbiorów wierszy — jest o wiele mniej. Albo jeśli nawet są, to ich oddziaływanie jest słabsze, gdyż pozostają odizolowane, bez niespokojnych, przekornych utworów towarzyszących. Dźwięk trąbki, który w owych latach budził tak wiele nadziei Darvasa, dochodzi jakby spod ziemi, z coraz głębszych jej warstw i jest coraz bardziej zachrypnięty.

Można odnieść wrażenie, że literatura w wyniku dawniejszego zdyskredytowania wydarzeń znudziła się nawet rzeczywistością. Że się nią znudziła, albo, że nie wie, co z nią począć. Nie brak mi wiarygodnych sprawozdań i reportaży badających przyczyny tego czy innego zjawiska, nawet nie hałasu, jaki wywoływały, lecz ekscytacji, ciekawości i chęci poznania, które im towarzyszyły.

Pies porzuca kość, kiedy ją już obgryzie.

Czy to samo zdarzyło się także literaturze?

I czy coś takiego może się jej w ogóle zdarzyć? Umysł nie zna skończoności, tylko ciągłość. To, co ukształtowane natychmiast ustępuje miejsca temu, co nadchodzi. *Tylko to, czego nie ma, jest krzakiem, kwiatem tylko to, co będzie...* Czy to możliwe, że literatura nagle utknęła w miejscu nie dlatego, że coś zakończyła, lecz dlatego, że nie zakończyła?

Myślę, że aby znaleźć odpowiedź, musimy podążyć tym tropem.

Od 1956 roku nasza literatura dotknęła wielu spraw uznawanych za delikatne. Ale pozostaje wciąż jeszcze dłużna dramatycznym przedstawieniem pięćdziesiątego szóstego. Wygląda to tak, jakby w jakimś dramacie wypowiedziano tylko kwestie postaci drugoplanowych, a o tym, w imię jakich fikcyjnych lub prawdziwych idei ścierają się główni

bohaterowie sztuki, mielibyśmy dowiedzieć się ze zdławionych, fragmentarycznych aluzji czynionych właśnie przez te drugoplanowe osoby dramatu. A przecież to, co zostało powiedziane i napisane tylko w połowie, sprawia, że rzeczy przemilczane zamulają rzeczywistość, zamulają naszą świadomość, historię. Te dwanaście lat dziś możemy już chyba traktować jak przeszłość. Jeśli jednak przeszłości tej nie znamy lepiej, niż ona znała samą siebie, musimy przyznać, że pokonaliśmy ją tylko formalnie i tylko w czasie. Pięćdziesiąty szósty już od dawna nie równa się swojemu politycznemu ciężarowi i politycznej doniosłości. Stał się raczej symbolem znanych z historii instynktownych, burzliwych, wymuszonych objawień narodu. Płynące stąd wnioski należą do świata idei, myśli i narodowej psychiki. A przede wszystkim do świata literatury.

Rozwiązanie tego węzła i wszystkich jego splotów byłoby godnym zadaniem dla naszej literatury. Z jej obecnego bezruchu może ją według mnie wydźwignąć tylko to zadanie. W pięćdziesiątym szóstym zdarzyło się wszystko — i to, co nastąpiło, i to, co nie. W pewnym sensie rozegrała się nasza historia i w pewnym sensie rozegrała się także nasza przyszłość. Były przykłady wielkości, refleksyjności, wstydu i strachu, niepewności, wierności i ogólnonarodowych zalamań. Jeśli socjalizm miał hamletowskie chwile, to pięćdziesiąty szósty był taką chwilą. Czy wspominanie tego okresu jest czymś nieaktualnym? Jeśli tak, to wszyscy jesteśmy przedawnieni, wszyscy, którzyśmy przeżyli i pracujemy, gdyż katartyczny wpływ tego historycznego momentu tak czy inaczej oddziałuje na nasze gesty i oceny.

Literatura powinna postawić ten problem, nawet jeśli w chwili zamknięcia się w sobie pragnęłaby ewentualnie pozbyć się balastu historyczności. To, od czego chce się wyzwolić, także określa jej przyszłe losy.

Z pewnością są także i tacy, którzy obecny zastój literatury oceniają inaczej. Sam nawet znam takich, którzy uspokajają się przekonaniem, iż wrażliwość, wybuchowość i duch wspólnoty, które opuściły literaturę, trafiły ostatnio w ręce filmowców, a ci zaszli dalej. Niebawem minie pięć lat od chwili, kiedy zacząłem współpracować z filmowcami, tak więc mam prawo w kilku punktach zakwestionować tę tezę. Właśnie w aspekcie określenia jej granic i najważniejszych punktów. Sukcesu i oddziaływania naszych filmów nie możemy mylić z prawdą, jaką wyrażały. Jestem przekonany, że w ekspozycji naszych problemów społecznych żaden z filmów nie poszedł dalej niż literatura. Nie poszedł dalej ani w czystości widzenia, ani w uciążliwym wyszukiwaniu problemów. To, co unaocznily nasze filmy, w jakiejś formie było widoczne w literaturze już wiele lat temu. Było widoczne jako pasja, jako ukształtowana myśl, jako sytuacja dramaturgiczna. Tak więc wybitne filmy nie wniosły do naszego życia umysłowego nowych przemyśleń, nowych prawd, wyrażały tylko w sposób subtelniejszy prawdy już istniejące, lub im równe. *Dwadzieścia godzin* Santy w niczym nie ustępowało filmowi nakręconemu na podstawie tego utworu. Czerpiące z różnych źródeł filmy Jancsó, Kovácsa, Gaala, Kósy, obrazy jednakowo niepokojące i świetne nie niosły z sobą więcej siły, wzruszających prawd niż na przykład nasza poezja. Co więcej, kilka wierszy Juhasza, mających moc eposów, *Zielony anioł* Laszló Nagya i para ludzi z jego *Wesela*, jak gdyby bezwzględniej klócila się o nas i z nami; jak gdyby byli oni znawcami i wyznawcami bardziej surowych praw. Andras Kovacs wyłożył nam bez upiększeń rysunek wznoszących się w naszym społeczeństwie rzeczywistych i fikcyjnych murów. Wielu spośród naszych poetów już przed laty sięgało po kilof, by zburzyć te mury. A że ich siła oddziaływania była mniejsza, była jednak nie tak widoczna i słabsza? Wyjaśnienie tego leży wyłącznie w barierach gatunkowych poezji. Dodałbym tu, że tego, czego nie uczyniła literatura — w granicach swojego świata i swoimi środkami — nie dokonał jak

dotąd także i film. Dramatycznym — a więc jedynym możliwym — przedstawieniem pięćdziesiątego szóstego jest dłużny tak samo jak nowela, powieść czy teatr.

Wiem, że moje spostrzeżenia są do pewnego stopnia jednostronne. Za punkt wyjścia zbyt uparcie chcę uznać skrajne konstelacje treści, sensu, zaangażowania w sprawy społeczne. Patrzę na wstęgę rozpiętą na mecie, zamiast śledzić emocje, jakie niosą zmagania na bieżni.

Do takiego uprzedzenia skłania mnie tłumiona gorączka obeznanego kibica. Nic nie zasmuciłoby mnie bardziej niż to, że nasza sztuka filmowa, podobnie do literatury, padłaby wyczerpana przed przerwaniem wstęgi na mecie.

Czy istnieje takie niebezpieczeństwo?

Istnieje tak samo jak budzące ufność oznaki jego uniknięcia.

Spójrzmy najpierw na zagrożenia.

Wszystkie nasze bardziej znaczące filmy, poza kilkoma wyjątkami, są filmami dla których natchnieniem jest historia. Spoglądając wstecz próbują naszkicować, złożyć rozprzyśniętą mozaikę autoportretu narodu. I jednocześnie zdmuchują z niej kurz mitów historycznych i politycznych. Jest to przejściowo konieczne i ważniejsze od wszystkiego, ponieważ uświadamia nam nas samych, uświadamia nam nasze błędy i wysiłki. Niebezpieczeństwo kryje się w pęknięciach tej konieczności. Jeśli wszystko będziemy badać w rzucie na ekran przeszłości — nie koncentrując się nawet na jej rozżarzonych punktach niedawnej przeszłości — wyciągnięte przez nas wnioski mogą z łatwością prześlizgnąć się w sferę moralnego pocieszenia, zamiast dramatu konfrontacji przeżyjemy dramat samousprawiedliwienia, gdyż wspomnienie rzadko idzie w parze z pasją. *Pytania przeszłości i przyszłości wyzwalają w nas skomplikowane uczucia* — pisze Kazimierz Brandys — *ale tylko teraźniejszość można po prostu lubić lub nienawidzić. Za stale zwracanie się w przeszłość płacimy brakiem teraźniejszości, tak samo jak — mieliśmy tego przykłady — płacimy tym za nasze wzruszające spojrzenie w przyszłość.*

Można sądzić, że nasza sztuka filmowa rzeczywiście zdoła uniknąć tego niebezpieczeństwa. Jest to specyficzna sprzeczność, ale w tym mogą jej być pomocne jej zalety formalne. Przez dwa-trzy lata stworzyła bowiem takie estetyczne, językowe i obrazotwórcze środki wyrazu, które pewnego dnia chcąc nie chcąc wtopią w siebie przede wszystkim wrażliwość współczesnego człowieka, wrażliwość świata przeżywającego swoją teraźniejszość.

Przełożył *Szczepan Woronowicz*

* * *

SANDOR CSOÓRI (ur. 1930) jest kontynuatorem tradycji poezji zaangażowanej w sprawy narodu, głębokiego przeżycia węgierskości, ciągłego przedzierania się przez gąszcz narodowych bólów i kompleksów. Należy do twórców szczególnie silnie oddziaływających na poszukiwania intelektualne swego kraju. Osobowość dynamiczna i wielostronna, poeta, prozaik, eseista, autor scenariuszy do wielu filmów F. Kósy i S. Sary, całą swą postawą twórczą wyraża potrzebę jak najpełniejszego oddziaływania na inne dziedziny kultury, umocnienia ich wzajemnej współzależności. Wciąż marzący o autentycznym zbliżeniu intelektualistów i narodów Europy środkowowschodniej, rozwija niezwykle żywą działalność dla umocnienia więzi kulturowych z Węgrami żyjącymi poza granicami kraju. Postawę intelektualisty łączy z nader silną wrażliwością emocjonalną. Pragnie żyć intensywnie, poświęcając się dla drugich, afirmując nonkonformistyczną postawę twórczą. Opublikował między innymi tomy poezji *Felroppen a madar* (*Wzbiła ptak*, 1954), *Menekules a magányból* (*Ucieczka z samotności*, 1962), *Második születésem* (*Moje drugie*

narodzenie, 1967), *Parbeszed a sotetben* (*Dialog w ciemności*, 1973), *Josias a te idodrot* (*Przepowiednia o twoim czasie*, 1979), *A tizedik este* (*Dziesiąty wieczór*, 1980).

Głównym motywem poezji Csoóriego jest pełne pasji uczuciowe zaangażowanie w obronie „skrzywdzonych i poniżonych", namiętne oskarżenie wszystkich tych, którzy „skrzywdzili człowieka prostego". Nader często powraca w jego wierszach gorzki ton zadumy nad narodową przeszłością i współczucie dla pokoleń oszukanych przez historię, niepokój o suwerenność człowieka i bunt przeciw obłudzie współczesnych Tartuffów.

Prawdziwie wielkim zainteresowaniem czytelników cieszą się eseje Csoóriego, powszechnie uważanego za najbłyskotliwszego pod względem stylistycznym eseisty z pokoleń powojennych. Opublikował on tomy esejów: *A kolto es a majompofa* (*Poeta i gęba małpy*, 1966), *Faltol falig* (*Od ściany do ściany*, 1969), *Utazas, felálomban* (*Podróż w połsnie*, 1974), *Nomad naplo* (*Dziennik koczownika*, 1978), *A felig bevallott élet* (*Na wpół wyznane życie*, 1982). Csoóri w swych esejach podtrzymuje tradycje eseistyki L. Németha i Gy. Illyesa, ich dążenia do syntezy węgierskości i europejskości, zadumy nad historią Węgrów i ich miejsca w rodzinie narodów środkowowschodniej Europy, afirmacji kultury jako „duszy narodu". Z esejów Csoóriego przebija spojrzenie wielkiego moralisty na dramatyczne konflikty polityczne Węgier powojennych.

Jerzy Robert Nowak

Lajos Kossuth, J. Tyroler, staloryt.

ÁDÁM NIKLAI

Do siebie

Mówię do siebie:
zrozum wreszcie,
wzór ciepłej twarzy możesz nanieść
na szyby zimnych okien —
nikt cię nie wezwie,
nie zatrzyma,
jak krople deszczu twoje rysy
rozpłyną się, a jeśli spadną,
gdy się otworzy skrzydło okna:
ostygnie twoja twarz jak maska.

przełożył *Bohdan Zadura*

ÁDÁM NIKLAI (1924-1985), poeta związany z Debreczynem.

SÁNDOR KÁNYÁDI

Na moje palce

W ŚWIĘTEGO MICHAŁA

przez szron zwarzone
niby czarne konie
te chryzantemy

drepczą wraz z nami
w świętego michała
ku beznadziei

JESIENNA NOC

jak handlarz ludźmi
mrok na nas zarzuca
jesienna noc

znowu w ruch wprawia
z martwych powstający
uparty kęk

ZAZDROŚĆ

boję się żeby
nie sprostytuował
mojego słowa

jeden lub drugi
dzierżawca deklamator
w klasztor je zamknąć

MÓWIĄ

mówią że można
do wszy też przywyknąć
to przywykajcie

ja tam się drapię
póki mi nie ścierpną
skóra i palce

WIĘZY KRWI

wiersz tak jak beton
zastyga przez lata
wiąże się w cieple

dojrzały z wulka-
nicznymi skałami
wchodzi w krwi więzy

przełożył *Bohdan Zadura*

SÁNDOR KÁNYÁDI ur. 1929, poeta, tłumacz poezji rumuńskiej i niemieckiej. Mieszka w Kolozsvar (Rumunia). Nauczyciel, [illegible] założyciel poezji węgierskiej w Rumunii, autor 10 tomów wierszy i bajek.

MÁTYÁS DOMOKOS

GŁOSY PTAKÓW, GŁOSY LUDZI?

Legenda głosi, że w południowoamerykańskiej dżungli żyje gatunek papug mówiący językiem wymarłego szczepu indiańskiego. Nie ma już człowieka, który by znał ten język. Ostatni potomek szczepu zmarł był dawno — jedynie papugi rozmnażają się nadal, według legendy, i niestrudzenie wykrzykują słowa, których nikt na świecie nie potrafi już zrozumieć.

Kiedy bierze się pod uwagę niektóre zjawiska we współczesnej poezji, nie bez powodu przychodzi na myśl ta legenda, niby metafora określająca stan liryki w dzisiejszym świecie. Najważniejszy przejaw tradycji, na której opiera się licząca ponad siedemset lat poezja węgierska, to — wręcz przeciwnie — urzeczywistnianie sztuki komunikacji międzyludzkiej, aktualnej zbiorowo, powszechnie, w każdym okresie czasu i w najróżniejszych sytuacjach historycznych: od trzynastego wieku aż po dzień dzisiejszy, w stałej symbiozie z kulturą europejską. A przecież instrument językowy tej poezji ukształtował się z idiomów nie posiadających odpowiedników w innych językach naszego kontynentu. Poezja (a w jej obrębie poezja poszczególnych twórców) jest co prawda językiem w języku — jak wskazywał Paul Valery — i owo uwarunkowanie zawsze może stanowić naturalną przeszkodę na drodze porozumienia. Powody, dla których poezja węgierska dwudziestego wieku nie stała się, mimo tego, językiem papuzim w ramach swego języka, tkwią głęboko w historii narodu. — Przez Europę przebiegały prądy „lirycznego rozszczepienia" — ruchy awangardowe, pod sztandarami nowoczesności, rozbijały formę i nawet sam język na atomy. Ów poetycki pęd do samookreślenia, twórczy przymus nie zdławił w liryce węgierskiej odczucia, iż jej obowiązkiem jest dokonywanie przekazów niosących się „od duszy do duszy". Mówiąc dokładniej: warunki, które złożyły się na historyczny kształt życia, zdeterminowały rodowód poezji węgierskiej — od końca średniowiecza po kres drugiej wojny światowej, od klęski pod Mohácsem do pokoju w Trianon i traktatu paryskiego.

Co było istotne dla owych stuleci, co je określało z punktu widzenia historii węgierskości? Otóż Węgry — kraj uprzednio kwitnący, bogaty i dysponujący dużą siłą wojskową — utracił byt państwowy w wyniku tureckiej inwazji. (Symbolem tego jest klęska poniesiona w roku 1526, w bitwie pod Mohacsem). Stały się tonącym, rozpadającym się na części narodem po utracie niepodległości, i ten pozostawiony sobie naród, bez własnego systemu instytucjonalnego, przez stulecia znajdował się w ciągłym, częstokroć śmiertelnym niebezpieczeństwie. Bezustannie przeciwstawiał się zagładzie, walczył o zwykłe prawo do przetrwania. Wielowiekowy upadek historyczny obejmuje okresy, w których jedynym dostrzegalnym wyrazem istnienia narodu, jedyną historyczną rzeczywistością były język i literatura. Literatura, poezja zamykając się w twierdzy języka chroniły narodową i etniczną jedność Węgrów. Po ustąpieniu Turków literatura oświecenia i romantyzmu spełniała podobną rolę w obliczu germanizacyjnej polityki Habsburgów. Funkcja ta nie zanikła z chwilą pojawienia się twórców, którzy na początku bieżącego stulecia kładli podwaliny nowoczesnej liryki węgierskiej: Endre Adygo (1877-1919), Mihalya Babitsa (1883-1941) oraz związanych z nimi kręgów poetyckich. Wręcz przeciwnie, nasiliła się aż do punktu kulminacyjnego właśnie w ich działalności artystycznej, w proroctwach Adyego, który przewidywał mroczną przyszłość narodu, jego rozproszenie, przymusową diasporę. Po rozpadzie monarchii austro-węgierskiej proroctwa te ze straszliwą siłą potwierdziła historia.

Ortega y Gasset pisze w jednej z rozpraw, że życie to bezustanne zagrożenie, stan „rozbijania się statku na pełnym morzu". Podstawowe przeżycia historyczne narodu węgierskiego — aż po najnowsze czasy — to wciąż ponawiające się katastrofy statku na zawsze burzliwym morzu środkowej i wschodniej Europy. Dlatego to nie tylko liryka kształtowała się w związku z egzystencjalnym przypisaniem poetów do wspólnego losu, ale i świadomość narodowa w takim samym przynajmniej stopniu i równie mocno łączyła się z łodzią ratunkową literatury, poezji. Przez całe wieki to właśnie decydowało o duchowej i etycznej sytuacji liryki, określało jej stosunek do kwestii narodowych, społecznych i politycznych, stanowiło zasadniczy układ nerwowy czułej na historię węgierskiej wrażliwości lirycznej. Układ ów da się z chirurgiczną dokładnością wypreparować choćby z czterech wersów Ferenca Koeseyego (1790-1838), zawartych w wierszu wyniesionym później do rangi hymnu narodowego: *Kryl się ścigan, ale wciąż , Słyszał miecza świstr / I gdy spojrzał, zaczył w krąg ; Kraj już bez ojczyzny.* W innych krajach podobna wrażliwość mogła zaistnieć jedynie tam, gdzie literatura również znajdowała się przez dłuższy czas w stanie przymusowego oporu. Do czasów pierwszej wojny światowej można zatem w tym kontekście dostrzec także zbieżność dziejów liryki węgierskiej i polskiej.

Narodowy charakter liryki węgierskiej jest zatem następstwem historycznie uzasadnionego poczucia długotrwałych zaburzeń rozwojowych i przebywania na skraju zagłady. Jest to kwestia wyboru nie tylko tematyki, ale i światopoglądu. Zabarwia on wiersz, drzemie w cieniu jambów, heksametrów bądź nowoczesnej groteski nawet wówczas, gdy poeta rejestruje na papierze sprawy najbardziej intymne, osobiste względnie przekazuje metafizyczne uczucia — wydawałoby się — zupełnie eteryczne. Powyższe uwarunkowania niewątpliwie wyjaśniają przyczyny przewagi poezji lirycznej nad powieścią, dramatem o charakterze społecznym względnie nad esejem historycznym. Najznakomitsi twórcy literatury węgierskiej — począwszy od okresu oświecenia aż do czasów najnowszych — pisali dzieła niezwykle przede wszystkim w zakresie poetyckiej refleksji, nie zaś prozatorskiej analizy. Największy encyklopedyczny umysł współczesnej literatury węgierskiej László Nemeth (1901-1975) określił ten stan słowami: w pierwszej połowie XIX wieku „literatura nasza posiadała puszkinowskie fundamenty lecz zabrakło jej gogolowskiego piętra". Szczególne powiązania poezji węgierskiej z historią narodu, odzwierciedlające się w podziale ról, jakie przypadły poszczególnym gatunkom literackim, sprzyjały również innej podstawowej krystalizacji — kształtowaniu się postawy moralnej. Aby to zrozumieć, trzeba wiedzieć, iż w nieuniknionym wyniku zaburzeń rozwoju historycznego każdorazowa władza, „oficjalne Węgry", jako realizator obcych narodowi celów i władczych zamierzeń, zawsze znajdowały się po przeciwnej stronie — w stosunku do świadomości narodowej, do narodu jako idei, do tych drugich, duchowych Węgier, o których — w każdym wieku, nieustannie — mówiła i których strzegła literatura, poezja, jako ojczyzny istniejącej ponad każdym rzeczywistym stanem historii, jako „ojczyzny na wysokościach". To ostatnie określenie, wypowiedziane przez poetę i prozaika Gyulę Illyesa (1902-1983), wskazuje na wirtualne Węgry, które by wypełniały, w sensie historycznym i społecznym, stojące przed nimi zadania etyczne oraz intelektualne. Poeci żyli, rzec można, „w

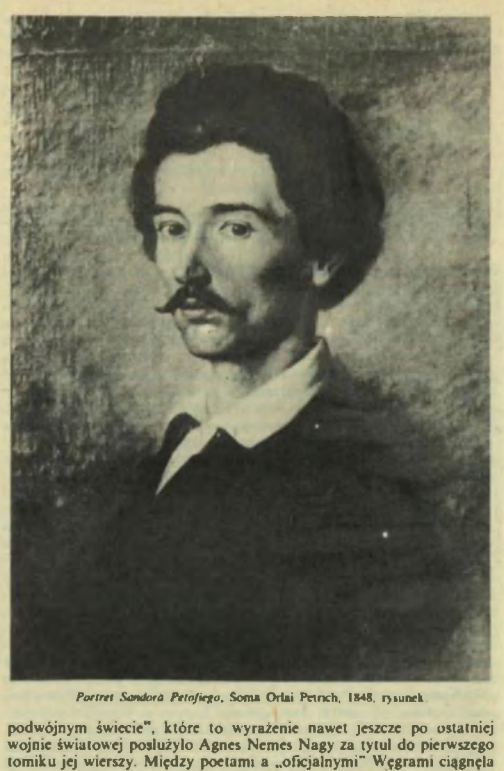

Portret Sandora Petofiego, Soma Orlai Petrich, 1848, rysunek

podwójnym świecie", które to wyrażenie nawet jeszcze po ostatniej wojnie światowej posłużyło Agnes Nemes Nagy za tytuł do pierwszego tomiku jej wierszy. Między poetami a „oficjalnymi" Węgrami ciągnęła się ostro zarysowana granica zarówno w kategoriach duchowych, jak i w praktyce życia literackiego. W okresie po stłumieniu powstania narodowego z lat 1848-1849, a także w wieku dwudziestym poeci właściwie nie mogli przekraczać tej linii podziału bez szkody dla swego talentu, bez obawy o narażenie się na zarzut zdrady swego powołania.

Przekonania Węgrów w sferze nie tylko polityki czy działań społecznych, lecz w ogóle bytu — które sięgają korzeniami głębiej niż ideologie i umiejscawiają się na poziomie, można powiedzieć, archetypu — ukształtowała i umocniła liryka. Gdyby owe stany i emocje miały być wyrażane językiem ptasim, stałyby się nieprzekazywalne i wskutek tego zupełnie bezcelowe.

Takie właśnie przyczyny wewnętrzne niewątpliwie spowodowały to, że droga węgierskiego wiersza w dwudziestym wieku odbiega od drogi, na którą weszła poezja innych narodów wschodnioeuropejskich, tym bardziej, że koniec pierwszej wojny światowej przyniósł Węgrom — w

przeciwieństwie do Czechów, Polaków, Rumunów, Serbów — właściwie nową klęskę i potrzebę ponownego duchowego scalenia narodu, rozbitego bardziej niż kiedykolwiek dotychczas. Analogiczne przyczyny sprawiły, że liryka węgierska pierwszych dziesięcioleci naszego wieku nie posiada wielu elementów typowych dla nowoczesnej liryki zachodnioeuropejskiej, bądź nawet południowoamerykańskiej. Zjawisko zwane awangardą poetycką zaczęło oddziaływać na lirykę węgierską z dużym opóźnieniem, na dobrą sprawę dopiero w okresie narastania drugiej, neoawangardowej, postawangardowej fali, zwłaszcza od lat sześćdziesiątych — jakkolwiek pierwsze inicjatywy, w poezji Lajosa Kassaka (1887-1967), pojawiły się w tym samym czasie i w tym samym nasileniu, co u Blaise Cendrarsa czy Apollinaire'a, w okresie niemieckiego ekspresjonizmu i futuryzmu Majakowskiego. Jako kierunek, jako „esperanto" nowoczesności lirycznej awangarda nie zadomowiła się wówczas na Węgrzech. Istvan Vas (ur. 1910), jeden z dowenów współczesnej poezji węgierskiej, napisał we wspomnieniach o latach dwudziestych, iż Apollinaire czy Eluard w węgierskim przekładzie pozostawali poetami nowocześnie francuskimi, podczas gdy w większości węgierskich eksperymentów awangardowych to, co wydawało się nowoczesne, nie było węgierskie, to zaś, co było w nich węgierskie, nie było nowoczesne. Są to niedomogi godne zastanowienia, wskazujące na uwikłania historyczno-społeczne poezji, zwłaszcza gdy wziąć pod uwagę pewien paradoksalny fakt językowy. Otóż język węgierski — dzięki swej strukturze gramatycznej i fonetyce (np. podwójnemu iloczasowi) — jest niemal jedynym spośród języków europejskich, w którym można swobodnie realizować wszystkie systemy wersyfikacyjne, jakie zaistniały w poezji minionych epok historycznych aż do dziś: od ludowych form wierszowania do wiersza metrycznego, od rytmu jambicznego do wiersza wolnego. Realizacje takie odznaczały się często różnorodnością i niebywałym bogactwem odcieni w zakresie sformułowań poetyckich.

Śledząc najnowszą historię wiersza węgierskiego trzeba wziąć pod uwagę jeszcze jedną, szczególną cechę historyczną, którą w sposób syntetyczny sformułował jeden z powieściopisarzy, Tibor Cseres (ur. 1915): *My, Węgrzy, byliśmy jedynym krajem, narodem w Europie Wschodniej, który uzyskał historyczną możliwość budowy socjalizmu wraz z obciążeniem spowodowanym faktem, iż podczas drugiej wojny światowej zmuszeni byliśmy stać po stronie niemieckiej (...), podkreślenie to ważne jest dlatego, że świadomość i postawa narodów ościennych — mimo wojennej zawieruchy — pozostały właściwie nie zmienione. Nasz naród natomiast niszczał nadal, gdyż zaznawał więcej gorzczy, aniżeli potrafił znieść nie tracąc przy tym spokoju ducha...*

Niezależnie od powyższych uwag niebezpiecznym błędem i wypaczeniem istoty poezji byłoby interpretowanie dzisiejszego wiersza węgierskiego wyłącznie przez pryzmat losów narodu. Język i historia stanowią pole grawitacyjne, które kształtuje poczynania, drogi i możliwości poety w sposób jakże nieraz brutalny. Poeta może jednak mocą natchnienia w każdej chwili wyjść — i każdy liczący się poeta to czyni — poza obręb owego pola, w kosmos liryki powszechnej, w sferę estetyki sprawdzającej się także poza granicami języka narodowego.

Współczesna poezja węgierska z jednej strony wykazuje, jak żywa jest w niej tradycja narodowa; równocześnie można stwierdzić, iż nie istnieją w liryce zagranicznej tendencje, których obecności nie dałoby się odnaleźć w dzisiejszej poezji węgierskiej. Poezja ta wzbogaca je wszakże własnymi, oryginalnymi tonami, wyrażając świat myśli i uczuć człowieka dwudziestego wieku w Europie, jego trwogi i nadzieje, dramaty i przywiązanie do życia. Byt dzisiejszej poezji węgierskiej trwalszy jest niż niektóre dawniejsze teorie, głoszące dziejową konieczność zaniknięcia narodu węgierskiego. Dlatego poezja ta nie musi stawać się niezrozumiałym ptasim językiem, mówiącym jedynie o świecie zaginionym.

przełożył *Konrad Sutarski*

GÉZA ACZÉL

zastukała wstydliwie biała laska i ubiwszy interes
wychynął z przedpołudniowej biby janos barta

dwa krpki ufnie do przodu jeden w rozterce do tyłu
a ponieważ wątpimy wciąż się nam podsuwa wyblakły wyciąg
szkolnych wypisów
klębi się tłum wiruje przeszłość pora jeszcze poprawić powitalne
okrzyki
podstemplować je wzmocnić by brzmiały uroczyście a nie za słodko
choć rytm wtedy kuleje więc wyciągam szyję i zaczynam mówić
mistrzu ile jeszcze tych upadków ciała i na czym się wspiera
twój duch
i w ogóle co cię tak gna kiedy wzrok wysechł i osłabły kończyny
upartego silnika intelektu i upokarzanego serca
w które czas już co chwilę wbija z trzaskiem ogromne oszczepy
co podszeptuje ropiejące stulecie po aranyiu i adym
maniakowi obracającemu pióro niepokornemu męczennikowi
jak wytrzymujesz stary że od lat ledwo cię tolerują
a tylko chrząstkowaci wyznawcy podsuwają lepkie słowa obietnic
bo surowość też jest kulą u nogi świata co stracił spokój
w rechocie lucyfera toczą się po kątach zdobiące go perły
i uczucie co chciałoby jak najdłużej zachować witalne siły
lgnie jak ślina pocałunku do twarzy tyranii
czemu więc opukujesz białą laską wnętrze liry
kiedy usychający wiersz obraca się w gruzy
na nasz utykający wiek ścieka plwocina nadziei
wiar które się poddały wizji jakie sklecono brud sięgające
niebios pedagogie
czy wierzysz jeszcze stary że wystarczy klasnąć a z ran dręczących się
wzajem bebechów i ducha tryśnie pieśń
czy świadom rozmiarów zła wierzysz jeszcze w wykluwającą się
harmonię
zresztą z czym my się zestarzejemy czym odurzymy by znieczulić
mękę przemijania
przywołujący w pamięci twoje słowa o przyszłości rozbijający krzywe
wieże twój zszargany zastęp
gdzie nasz punkt odniesienia gdzie żar umysłów co by oświetlił
drogę
a gdy kiedyś natchnienie rzuci pieśń jak twój wstydliwy kostur
na wystający kamień w zgiełku ulicy nikt jej nie pochwyci:

przełożył *Bohdan Zadura*

GÁSPÁR NÁGY

ceterum, jak ja to w ...

(z pewnego wystąpienia, które nie doszło do skutku)

j) tego kobieta
kto ją uprawia
tego serce
– kto je przeszczepia
tego wiersz
kto nań pozwala

a) językiem się
oblizuje naród
i (nawet) poeta
i tak to będzie
zapewne
przez jedno
(nawet) dwa pokolenia

k) obmyślam wiersz
produkuję
ktoś inny potem
troskliwie go dołuje
a gdy wykiełkuje
to u was
ustali się ściśle
naukowo:
o co w nim chodzi
jeśli o przyjęcie:
całe szczęście

j) trwający wytrwale
w obojętności
i z niejaką elegancją
ledwie zipiący

a) wystrzegajmy się głośno
przynajmniej tego
o czym nie możemy mówić
nawet szeptem

t) zwierzę co w jarzmie liry
żywot swój trawisz
najoryginalniejsza
w tobie nienawiść

o) i wytrawni poeci
mogą utopić się w winie
kiedy szelma kelner
herbatę ceterum w cynie
zaparzy

w) w krtaniach poetów szron
w poezji lato praży
czasem naszą frywolną
muzą jest innym razem

przełożył *Bohdan Zadura*

GÉZA ACZÉL ur. 1947, mieszkający w Debreczynie poeta (dwa tomy wierszy) i eseista (monografia o awangardowym poecie Károly Tamkó — Sirató), jeden z redaktorów „Alföldu". Przedstawicielem tego samego młodego pokolenia poetów węgierskich jest także prezentowany obok GÁSPÁR NAGY, ur. 1949 r., autor dwóch tomów wierszy.

*DYSKUSJA O KRYTYCE**

ISTVÁN SZERDAHELYI

Po to, by móc ocenić jakieś zjawisko literackie, niezbędne jest skonfrontowanie go z właściwą — lub uważaną przez nas za właściwą — skalą wartości. (...) Moim zdaniem, pod pojęciem Krytyka — krytyka pisanego dużą literą — rozumieć należy nie jakiegoś samotnego rycerza, który galopując na swojej szkapie pokazuje publiczności, to jest Sancho Pansie, jak należy prowadzić walkę z wiatrakami dzieł i twórców, ale kogoś, kto jest uczestnikiem drużyny życia kulturalnego. W tak pojmowanej drużynie na jednym biegunie znajduje się Estetyk, który opracowuje najbardziej ogólne i oderwane pojęcia systemu estetycznego oraz ustanawia tym samym wielorakie kategorie wartości. Rezultaty swoich dociekań przedstawia on Teoretykowi Sztuki, który je konkretyzuje w specyficznie artystycznej węższej dziedzinie przynależnej do sfery artystycznej, po czym swoje spostrzeżenia przekazuje Teoretykowi Literatury, który zastanawia się nad tym, jakie szczególne oblicza przybierają w świecie literatury prawidłowości charakterystyczne dla wszelkich dziedzin sztuki. Od tego ostatniego Krytyk otrzymuje oczywiście nie wymierzony na centymetry ani nie wyważony na deka — konkretny system kategorii wartości, wedle którego konfrontuje on i ocenia powstające z dnia na dzień utwory.

Zdając sobie sprawę z zachodzących rozbieżności sąd taki nie może być jednoznaczny, jako że Krytyk potępia na ogół dzieło artystyczne — które i tak znajduje się i znajdowało zawsze w podejrzanej sytuacji — kierując się paragrafami zawartymi w ogólnej konstytucji estetycznej oraz w przepisach czy zarządzeniach teorii literatury wydawanych w celu realizacji utworu artystycznego. Literaturę mianowicie rodzi z dnia na dzień nie tylko utwory artystyczne, ale też coraz bardziej się zmienia, to znaczy podlega procesowi rozwoju. I w chwili, gdy między kryteriami teoru literatury a dziełami artystycznymi dochodzi do rozbieżności, ponieważ literatura wyprzedziła teorię, wówczas sąd Krytyka winien się oczywiście zwracać nie przeciw utworom literackim, lecz przeciw kryteriom. Innymi słowy: w tym idealnym modelu przepływ informacji nie jest jednokierunkowy, lecz zwrotny, bowiem ze strony krytyki napływa tyleż samo informacji — jednakowo ważnych — do estetyki, co stamtąd trafia do krytyki. (...)

Przedstawiony tu model idealny nigdy nie funkcjonował prawidłowo na różnych etapach rozwoju historycznego. Teoria — dotyczy to zarówno Arystotelesa, jak Hegla czy Lukácsa — zawsze oslaniała pewną konserwatywną sterylność, krytyka natomiast nigdy nie odznaczała się dobrą znajomością zasad. (...)

W węgierskim życiu kulturalnym istniał jednakże okres, gdy ten rodzaj zgody na zarysowany powyżej model nie wydawał się fałszywą iluzją. Iván Vitányi w książce *Vitairat a mai magyar művelődésről*

* Są to fragmenty referatu oraz głosów w dyskusji, jaka odbyła się 22 i 23 XI 1984 podczas dorocznych Debreczyńskich Dni Literatury. „Alföld" zamieścił je w nr 2/85 w rubryce „Forum" w opracowaniu redakcyjnym i wyborze Zoltana Simona.

(Polemika o dzisiejszym stanie kultury węgierskiej) wskazuje, że *nowy rozmach, jaki nastąpił w połowie lat sześćdziesiątych (...) narodził się pod znakiem syntezy i polegał na tym, że najlepsi przedstawiciele nauki i sztuki w pewnych podstawowych zagadnieniach zajęli pokrewne stanowisko.* Wydawało się wtedy, że wyzwolona z dogmatyzmu węgierska estetyka marksistowska integrując wszystkie nowoczesne osiągnięcia kierunków burżuazyjnych zdolna będzie wnieść się na taki poziom, z którego wypowie się w imieniu własnym, w imieniu „estetyki", a że krąg jej zainteresowań zawsze pozostawał u nas literaturocentryczny, pociągnie ona za sobą jednocześnie zarówno literaturoznawstwo, jak i krytykę. Jednakże w latach siedemdziesiątych doszło w tej dziedzinie, jak i w innych, do czegoś wręcz odmiennego. Zbliżone dawniej tendencje — znów cytując Vitanyiego — *zawahały się i cofnęły, zwracając się ku samym sobie. Zmniejszyła się otwartość, przedstawiciele różnych nurtów już nie szukali z sobą kontaktów, zajęci raczej organizowaniem własnej linii postępowania, którą uważali za jedynie zbawienną, jedynie etyczną, stali się mniej tolerancyjni wobec innych, których na ogół zresztą nie słyszeli.*

Ten proces rozpadowy osiągnął głębię obecnie, kiedy nie jest już tylko faktem rejestrowanym z rozgoryczeniem lub obojętnością, lecz zyskał swoją ideologię. Pojęcie „obecnie" należy rozumieć dosłownie, dziś właśnie ukazał się dziesiąty numer czasopisma „Életunk", w którym Ferenc Tallar publikuje rozprawę *A realizmuson tul es innen (Za realizmem stamtąd i stąd)*, gdzie sygnalizuje, że w stanie rozkładu znalazła się *wiedza o stanie znaczeń uniwersalnego świata językowego, która dotychczas sculała możliwe i niemożliwe w sensowną Rzeczywistość, w której mogliśmy uprawiać nasze tak często nieprawdziwe prawdy.* Wydawać by się mogło, iż przestała istnieć potrzeba tego „jednolitego uniwersum sensu" czy „uniwersalnego dialogu", który po prostu eliminuje zgodę ważną dla wszystkich, „obiektywną zgodę w świecie sensu" i w ten sposób człowiek *odzyskuje zagrożone pozycje własnej osobowości, własnej dorosłości w imię racji przeglosowanych przez Rozum. Racja bytu człowieczego sprowadza się do dania świadectwa własnemu Ja.*

Ta ideologia rozpadu jest dla nas interesująca choćby z tego względu, że Tallar rozwija ją pod kątem teorii literatury. Uważa, że nowy nurt naszej prozy mógł się rozwinąć na gruncie *rezygnacji z wyższych sensów uniwersalnych i dostarczanych przez nie tez o jednorodnej Rzeczywistości poprzez sprzeciw czy protest zarówno wobec realizmu klasycznego, jak i wobec dążeń awangardy. Utwory nie pragną odzwierciedlać rzeczywistości, lecz zdążać w kierunku „uniwersalnego dialogu". Istotnym elementem ich struktury jest „swobodna metamorfoza, świadoma umiejętność przemieszczania się"*, a zatem nie niosą czytelnikom tych samych treści, każdy może je interpretować dowolnie, kierując się suwerennym wyczuciem swobody.

W tym samym numerze czasopisma „Életünk" tuż obok rozprawy Tallara znajdujemy pochwałę koncepcji Endre Bojtara, które przedstawia Tamas Berkes; Bojtar wyznaje pogląd, *że brak nam kryteriów porównywania wartości estetycznych odnoszących się do tego samego utworu literackiego i z tego względu nie można dokonać oceny dzieła metodami literaturoznawczymi.*

A zatem już tak daleko zaszliśmy. Marksistowska estetyka zaczyna się sprowadzać jakby do wysiłków muzeologa z archiwum Lukacsa czy do pozostających bez echa utyskiwań kilku prywatnych badaczy. Teoria literatury oddaje dziś cześć modzie na subiektywizm odbioru dzieła artystycznego. (...)

To stan umysłowy małego światka krytyki wysunął dziś na pierwsze miejsce zwolenników neoawangardy lub postmodernizmu, pozwalając im z taką siłą przemawiać na forum publicznym. Przedstawiciele tendencji bardziej realistycznych mogą tylko z zażenowanym skrępowaniem bronić się słuchając ich głosów; przed trzydziestu pięciu laty istniał pewien okres, gdy ten kierunek cieszył się nieumotywowanymi przywilejami i może dlatego część krytyków opanowała obecnie sztucznie podtrzymywana psychoza na myśl o tamtym okresie, a dzieje się to na tej samej zasadzie, jakby nasi budowniczowie w obawie przed nową inwazją turecką zaczęli wznosić teraz mury wokół zamku budańskiego.

Natężenie głosów i agresywność skali wartości kierunku postmodernistycznego coraz bardziej wzrasta. O wydanej niedawno antologii *Versz)iok* („Wiersze" albo „Wersje"), która mniej więcej na tym poziomie przedstawia nurt nierealistyczny naszej poezji, jak to czynił w swoim czasie zbiór zatytułowany *„Pozdrawiamy Stalina"*, gdzie święciła triumfy tradycja ludowo-realistyczna, możemy przeczytać, *że w znacznej mierze przyczynia się do rozwoju kultury naszych czytelników, przedstawia bowiem kierunki, które mogą pomóc w odnowie naszej poezji.* I rzeczywiście, kto odważyłby się dziś pisać o przywódcy jakiegoś innego kierunku literackiego w takim tonie, jak to czynią zwolennicy prozy Petera Esterházyego, mówiąc, *że cokolwiek ten autor napisze, daleko przewyższa prozę większości naszych autorów*, a o jego utworach mówi się, *że stanowią punkt zwrotny w dziejach prozy węgierskiej*; i dalej: krytykowi *warto postawić tylko pytanie, czy ten nadzwyczajny talent sprosta wysokim wymaganiom, jakie sam sobie postawił.*

Wśród słuchaczy mojego wywodu z pewnością znajdzie się wielu, którzy — pod wpływem dziś tak modnego kierunku pluralistycznego — z niechęcią przyjmują stwierdzenie, że istnieje obiektywna skala wartości, której ukazanie byłoby zadaniem krytyka, a metodą, jaką by on obrał do jej przedstawienia, byłyby dyskusje i wymiana opinii. Proszę zatem przyjąć za pewnik, że jeśli się nie postaramy o założenie fundamentów pod obiektywny system wartości, pustka nie pozostanie nie zapełniona: otrzymamy wówczas tak subiektywne systemy wartości, na których widok będziemy mogli tylko oniemieć. (...)

Można wprawdzie powiedzieć, że najgłośniejsza skala wartości wysuwana przez konkurencyjną krytykę daleka jest od tego, by zyskać największe wpływy w kształtowaniu mas. Istotnie, choć to może wydać się komiczne, krytycy postmodernistyczni, którzy są na ogół zwolennikami percepcji subiektywnej i z naciskiem podkreślają, że „odbiorca jest najwyższą instancją", mogą liczyć tylko na wąskie grono czytelników. Ale krytyka literacka na Węgrzech na ogół nigdy się nie przejmowała tym, co lubi czytelnik krajowy, a czego nie.

Nie mam tu na myśli tego, by krytycy dostosowywali system wartości do liczby egzemplarzy opublikowanego utworu — chodzi mi przede wszystkim o to, by pozycje wydawnicze, które wywierają największy wpływ na społeczeństwo, nie były pomijane milczeniem w kręgu oceny krytycznej. Najważniejszym zadaniem krytyki uprawianej na co dzień jest informowanie publiczności, a tego zadania nie można zadowalająco uprawiać, jeśli się wytacza „najpoważniejsze — pro i kontra — argumenty na temat tomiku początkującego liryka, który się ukazał w kilkuset egzemplarzach, zwłaszcza że zwykle nie robi się takiej wrzawy wokół ukazujących się w setkach tysięcy egzemplarzy książek kryminalnych, science-fiction czy innych pozycji rozrywkowych, nie mówiąc o tekstach piosenek wypełniających miasta i wsie wrzaskliwym jazgotem: nie można tych problemów kwitować ukazującą się raz do roku głossą jakiegoś oburzonego recenzenta, w ten sposób, jak by na co dzień one nie istniały. Jeśli można zaryzykować twierdzenie — a myślę, że można — to piosenka zaczynająca się od słów: „Znowu się zakochałem, znów ręce mam spotniałe" w wykonaniu nowo powstałego zespołu o nazwie „Komitet" wywiera dziś większy wpływ na kształtowanie życia emocjonalnego młodego pokolenia niż boje toczone pomiędzy akademikami a kierującymi się „wyższymi" wymogami zwolennikami postmodernizmu; świadczy to nie tylko o wyobcowaniu z rzeczywistości, lecz także o poważnej nieodpowiedzialności. Nieodpowiedzialności nie tylko

wobec lekceważenia niebezpieczeństw kulturowych, lecz — powiem więcej — o ślepocie na wartości. By nikt mnie nie posądził o gołosłowność, proszę sprawdzić, ile monografii ukazało się na temat tak zwanego „zjawiska Cseh-Bereményi", ile atramentu wylano, ile głosów krytycznych rozbrzmiewało w swoim czasie na temat tego duetu piosenkarza i pisarza. (...)

ERVIN GYERTYAN

(...) Utożsamiam się szczególnie ze słowami Pétra Derczy, kiedy podkreślał ważność pluralizmu w krytyce. Ten czynnik uważam za rozstrzygający. W moim przekonaniu krytyka jest jednym z wyrazów demokratyzmu, o którym nie można mówić, jeśli się nie zachowuje zasad pluralizmu. (...) Gdy myślę o takich pojęciach, jak wartość lub czytelnictwo, sprawa wydaje mi się bardzo złożona, ponieważ koncepcje wartości wśród publiczności są wielorakie i nader heterogenne. Zresztą tak się rzeczy mają nie tylko wśród czytelników, bo wydaje mi się, że skoro już mówimy o pluralizmie krytyki, to rozumiemy przez to nie tylko pluralizm kierunku, lecz także różnorodność rodzajów i gatunków literackich, a także potrzeb. Osobiście nie zgadzam się z poglądem, że potrzeby czytelników, takie, jakie one rzeczywiście są, stanowią siłę, która ciągnęłaby wstecz. Czytelników nie można zmienić i, czy nam się to podoba, czy nie, to właśnie czytelnicy są chlebodawcami zarówno pisarzy, jak i krytyków. Pozostaje smutnym faktem, że niekiedy moglibyśmy sobie życzyć lepszego chlebodawcy. Niemniej ta zależność ekonomiczna bez wątpienia istnieje. Co oczywiście nie znaczy, że przechodzimy nad tym do porządku dziennego, że się z tym zgadzamy, że nie toczymy walk, że rezygnujemy z zasady, iż najważniejsze jest to, co ukazuje naród i lud węgierski wobec historii lub — jeśli można użyć innego sformułowania — wobec wieczności, i co przekazuje obraz naszych czasów następnym pokoleniom. (...)

Nie upiększajmy przeszłości. Fakt, że byliśmy albo kibicami pewnych błędów, albo ich współtwórcami, albo ich zwolennikami, nie jest jeszcze powodem, byśmy te błędy wybielali lub upiększali; powinniśmy zdać sobie sprawę, że istniały fakty, z których powodu powinniśmy się wstydzić. Ja, na przykład, nie chcę mierzyć własnej czystości moralnej — nie uważam siebie za amoralnego — skalą obniżonej własnej wartości intelektualnej, mimo iż uważałem prymitywne teksty Rakosiego za genialne. Należy się z tym rozliczyć. Rozliczyć radykalnie. Rakosi nie był geniuszem, niezależnie od moralnej strony zagadnienia. Ale wracając do interesującego nas obecnie problemu utraty kredytu zaufania krytyki: tego kompleksu spraw nie da się bowiem zamknąć tylko w kręgu literatury i sztuki. Żyjemy w jakimś przedziwnie smutnym, dla mnie osobiście — tragicznym okresie, kiedy co rusz nasuwają się słowa Attili Józefa: *To, [illegible]ego bronilem, jest nieobecne....* Moi wrogowie bronią tej tezy już od lat, od dziesiątków lat. Był okres, kiedy się do tego dziwnego położenia nie przyznawałem. Więc chociaż z serca i przekonania reprezentuję pewną ideologię, to równocześnie zdaję sobie sprawę, że ta ideologia — tak mi się wydaje — leży w gruzach i domaga się rewizji. Podstawową tezę marksizmu stanowi twierdzenie, że w kapitalizmie dojdzie do zderzenia sił produkcyjnych i stosunków produkcji i ten konflikt należy rozwiązać na drodze rewolucji. Co się natomiast dzieje w rzeczywistości? Dzieje się to, że tam, gdzie do tego konfliktu dojść powinno, następuje druga rewolucja przemysłowa, której kręgi tylko do nas docierają. Masy odczuwają ten problem i dlatego nie jest to sprawa prosta. Ja nie jestem przeciw marksizmowi, ja bronię marksizmu w tym sensie, jak to określił Lukacs: powróćmy do metody i ponownie odtwórzmy fakty... Nie pragnę przez to umniejszać osiągnięć węgierskich, przeciwnie, pragnę je podkreślić, wyeksponować.

(...) Skończmy wreszcie z sytuacją, gdy praktyka — szczególnie w dziedzinie gospodarczej — ciągle posuwa się do przodu, a teoria ciągle obraca młyńskie kamienie dawnych modłów. To, że tak jest, stawia nas przed całym szeregiem zaklętych tabu, które tylko utrudniają literaturze, jako formie teorii, nabranie koniecznej głębi. (...)

ANDRÀS VERES

Jeśli dobrze zrozumiałem, centralnym punktem wystąpienia Attili Tamasa była problematyka domniemanych i rzeczywistych przesądów, jakie się nagromadziły wokół pisarzy i krytyków. To znaczy, jak pisarze wyobrażają sobie krytyków, a krytycy — pisarzy i jak można by te różne kwestie rozwiązać. Osobiście nie jestem całkiem pewny, czy te sprawy należałoby rozwiązywać, jako że paradoks Karinthyego i w tym wypadku się sprawdza: w jaki sposób krytyk i pisarz mają się rozumieć, skoro każdy z nich dąży w innym kierunku? Rzecz jednakże nie w tym. Uważam, że to, nad czym warto się obecnie wspólnie zastanowić, a co wybiega poza krąg dotychczas omawianych zagadnień, to sprawa, jak dziś się kształtuje struktura życia kulturalnego na Węgrzech. I w tych ramach gdzie jest miejsce literatury i gdzie miejsce krytyki? (...)

Właściwie chodzi tu o rzecz bardziej złożoną niż tylko branie pod uwagę zdania pisarzy i krytyków o literaturze i krytyce, bo przecież to wszystko umieszczone jest w szerszym systemie i tegoż systemu ścisłe powiązania wnoszą swe reperkusje. I w tym względzie za szczególnie ciekawe oraz znamienne uważam wczorajsze wystąpienie profesora Istvana Szerdahelyiego, co więcej, jego referat uważam za jedyny interesujący na tej sesji. Ponieważ da się z niego odczytać pewną postawę, określone stanowisko. A jest to stanowisko bardzo reprezentatywne i charakterystyczne. Stanowi żywą zachętę, bym ja z kolei określił sytuację krytyki literackiej i literatury w ogóle.

Jakie są moje problemy? Nie chciałbym tu mówić o szczegółach, które mnie bezpośrednio dotyczą... Pragnąłbym się zająć strukturą, tym, co powiedziano tu o życiu literackim i krytycznym oraz co tu udokumentowano postawami wobec tego zagadnienia zajętymi. Istvan Szerdahelyi wymienił wiele nazwisk, jedno wszakże pominął. Myślę o Mihalyu Szegedyim-Maszaku, krytyku, na którego powołał się pośrednio nie wymieniając nazwiska, przytaczając jego słowa wypowiedziane o Esterhazym: *Cokolwiek ten autor napisze, daleko wybiega poza twórczość mu współczesnych, a jego dzieło stanowi punkt zwrotny w historii węgierskiej literatury. Warto tylko postawić pytanie, czy ten wybitny talent zdolny będzie sprostać wysokim wymaganiom stawianym samemu sobie.* Mnie oczywiście również wolno byłoby źle zrozumieć słowa i intencje czy punkty odniesienia Istvana Szerdahelyiego, podobnie jak on źle zrozumiał Szegedy-Maszaka, ponieważ cytuje ten fragment recenzji, w którym Szegedy-Maszak czyni zarzuty Esterhazyemu. Szegedy-Maszakowi chodzi o to, że w utworach tego wybitnie utalentowanego prozaika pojawiły się ostatnio bez wątpienia pewne oznaki powtórzeń. Mimo to recenzent istotnie liberalnie przedstawia dzieło tego autora mierzone jego własną miarą. Esterhazy tak też zrozumiał tę recenzję: nawet się obraził. Istvanowi Szerdahelyiemu jednakże widać nie wystarcza postawa krytyczna, ponieważ tylko ten fragment zacytował, a właściwie wyrwał z kontekstu. Ostatecznie nic tak ważnego się nie stało, bo dlaczego Istvánowi Szerdahelyiemu nie wolno byłoby w ten sposób myśleć?

Dobrze jednakże byłoby, gdyby Istvan Szerdahelyi nie zgadzając się ze zdaniem Szegedy-Maszaka opublikował swą odpowiedź w miesięczniku literackim „Kortars", gdzie ukazała się wypowiedź Maszaka, lub w jakimś innym czasopiśmie literackim. Szerdahelyi jednakże uczynił to na łamach dziennika partyjnego „Nepszabadsag" i polemika dwóch

krytyków nabrała zaraz innego wymiaru: wyszła poza krąg ściśle literacki i trafiła na forum społeczno-polityczne, jako że czytelnicy dziennika „Népszabadság" uwrażliwieni są na inne zagadnienia niż na warsztatowe spory literackie. (...) Stąd biorą się także różne inne kłopoty w naszym życiu kulturalnym, o których mało się mówi na naszym spotkaniu. Możemy tu wiele mówić o pluralizmie, możemy podejmować takie lub inne postanowienia, ale stosowanie demokratycznych reguł gry zaczyna się w momencie, gdy gramy czysto, gdy z problemami zwracamy się do właściwych organów, a nie ex cathedra wykorzystujemy od razu przewagę instytucjonalną. (...)

István Szerdahelyi nazywa postmodernistami cały szereg autorów. Zresztą nie tylko on tak postępuje. Czyni to także wielu innych, którzy z racji powierzonych im stanowisk mogą to czynić. Ja osobiście mam wątpliwości, czy takich dwóch pisarzy, jak Péter Nádas i Péter Esterházy można zaszeregować do jednego nurtu, jak wiele osób to czyni. Łączy ich oczywiście wiele wspólnych cech, przede wszystkim światopoglądowych. Ale też wiele spraw ich różni (...), czego ślady można do dziś napotkać wśród starszych generacji w różnych formach przekazu politycznoliterackiego względnie przywiązywania zbyt wielkiego znaczenia do środków oddziaływania instytucjonalnego jako organów ostatecznego odwołania a zarazem ucieczki lub ochrony. Oni — ci dwaj pisarze, Nádas i Esterházy — z tego rezygnują. I to ich łączy. Nic poza tym. Można by na ten temat jeszcze wiele mówić, bo są to stanowiska charakterystyczne. Pytanie brzmi: jakie funkcje spełniają w naszym życiu kulturalnym takie właśnie stanowiska charakterystyczne? (...)

Walka z postmodernistami weszła już w krwiobieg naszego życia kulturalnego i prowadzi się ją ostatnimi czasy systematycznie. Ale inne oblicze przyjmuje, gdy zaczyna być głoszona z łamów partyjnego dziennika „Népszabadság", i inne, gdy się ją uprawia w miesięczniku kulturalno-politycznym „Kritika". (...)

Wydaje mi się niezręczne również sformułowanie, jakiego użył István Szerdahelyi, że „estetyka marksistowska stała się (już) pozostającym bez echa środkiem zabiegów muzeologa w archiwum Lukácsa oraz kilku prywatnych hobbistów". I to też zaliczyłbym do objawów znamiennych. (...) Mówi się, że gdy biją, trzeba uderzyć w dzwon na trwogę. (...) Już w okresie polowań na czarownice znano pewne psychologicznie umotywowane zjawisko: kiedy czuję, że mnie biją, że jestem prześladowany i zagrożony, a tacy jak ja są w mniejszości, to dalej, jazda, skrzyknijmy się i trzymajmy kupy, aby hurmem ruszyć do ataku. Bo — mówi ktoś taki — jeśli znajdę jeszcze innego, z kim mogę trzymać, to nie muszę uciekać i przestanę się bać.

Ja osobiście uważałbym za szczęśliwsze innego typu rozwiązanie, przyjąłbym całkiem inny model. Kiedy Endre Bojtár powiada, że interpretacji dzieła literackiego nie da się już dokonać przyjętymi u nas metodami literaturoznawczymi, to ma on na myśli właśnie owe metody literaturoznawcze. Czyżby występowanie na łamach „Népszabadság" należało również do dziedziny tak właśnie stosowanych własnych metod literaturoznawczych? (...)

Ale bardziej ważna jest dla mnie sprawa Tallára. Była to wypowiedź krytyka, która rzeczywiście się wiąże z zagadnieniem wartości we współczesnej literaturze węgierskiej: gdy środki przekazu stały się problematyczne i zaniżyła się lub stała bez znaczenia wartość używanego w nich słowa. (...)

W latach siedemdziesiątych doszło do bardzo poważnych radykalnych zmian w naszej literaturze. Nie myślę tu o problemach pokoleniowych lub z nimi związanych, lecz o podstawowej zasadniczej zmianie spojrzenia, wysunięcia na plan pierwszy wartości, które wcześniej nie były dostrzegane. Mam tu na myśli głównie tę część wartości indywidualnych, jakie wspierają się nie na prymacie moralności, lecz szukają odpowiedzi w warunkach realizacji samego siebie, własnej indywidualności oraz w ukazywaniu prawd egzystencjalnych. I w tych dziedzinach dochodzi właśnie do zmian, na jakie należy wskazać. Literatura lat sześćdziesiątych opisywała konflikt pomiędzy władzą i moralnością w takim kontekście, że wnosiła pretensje, składała skargę „dlaczego władza i moralność znalazły się z sobą w konflikcie. Dlaczego te dwa elementy się wzajem nie wspierają. Dlaczego nie ma między nimi harmonijnej więzi. W latach siedemdziesiątych natomiast nowością było to, że literatura w ogóle przestała wierzyć, iż należy szukać kontaktu między władzą i moralnością. A zatem z góry odrzuca możliwość tworzenia instytucjonalnych warunków, od których uzależnione byłoby szczęście jednostki.

GYULA FEKETE

Przed przyjazdem do Debreczyna zapytałem jednego ze znanych przedstawicieli naszego życia literackiego, czy weźmie udział w spotkaniu. Powiedział, że nie. Nie ma to żadnego sensu. Przepaść pomiędzy literaturą a krytyką urosła już do takich rozmiarów, że nie widzi sensu, aby tu przyjeżdżać. Istnienie tej przepaści ja też odczuwam, tyle że nie mam zwyczaju unikać przepaści.

Ja również uważam, że realizm praktyki politycznej w literaturze, tendencja podcinania ciągłości prezentowanej twórczością takich pisarzy, jak Gyula Illyés, László Németh, Péter Veres, w znacznej części naszej literatury wyda owoce dopiero po upływie dwóch, trzech dziesiątków lat w postaci izolacji grupy podejmującej się obecnie odpowiedzialności za sprawy publiczne oraz egzystencjalne. Praktyka taka już niejednokrotnie podcinała literaturę na różnych minionych etapach i — moim zdaniem — czyniła to niepowetowanie. Powiem więcej: nieuleczalnie. W literaturze też mogą powstawać luki, a tym bardziej w krytyce, jako że krytyka zawsze była gatunkiem mocniej trzymanym w garści niż literatura. (...)

Pomiędzy literaturą dla smakoszy a literaturą konsumpcyjną istnieje literatura — a także i sztuka — stąpająca po ziemi, która podejmuje się najtrudniejszych eksperymentów, bo nie potrafi wyrzec się jeszcze w teraźniejszości oddziaływania na najszersze rzesze czytelników, a przy tym nie rezygnuje z podboju najwyższych szczytów, podobnie jak czynił to poprzednicy. Wśród nas, pisarzy, jest wielu takich, którzy już od dłuższego czasu czują, że płyną pod prąd głosów rodzimej krytyki, niemniej w miarę naszych talentów budujemy świątynie, wznosimy katedry, do których wolno wchodzić choćby boso. (...)

Powinniśmy wreszcie dostrzec fakt, że w węgierskiej kulturze czytelniczej mamy do czynienia z całkiem nowym zjawiskiem. Jeszcze trochę, a znajdziemy się w sytuacji, że przeczytanie przez kogoś jakiejkolwiek książki będzie uchodziło za niezwykłe wydarzenie... Jest to u nas całkowicie nowe zjawisko. Już dzieci nie umieją właściwie czytać. Przynajmniej znaczna ich część przychodzi do szkół zawodowych nazywanych średnimi z prawie zupełną nieznajomością czytania. Ledwo sylabizują. (...)

A pozostali czytelnicy... Każdą warstwę pozostałych czytelników należy zaspokajać. Każdą warstwę na właściwym jej poziomie. A przecież każdy stopień trudności pełni swoją określoną funkcję zarówno w kulturze czytelniczej, jak i w literaturze. Co również oznacza, że należy pozostawić swobodę wszystkim, poczynając od utworów mieszczących się w granicach przyjętej tolerancji a na eksperymentalnych kończąc. I podtrzymywać ich jednoczesne funkcjonowanie, choć nie w spokojnej symbiozie. (...)

Krytyka wydaje mi się sztuką utrzymywania proporcji. Muszę zaraz dodać, że wyczuwam w tym twierdzeniu sprzeczność samą w sobie, zatem ten problem pozostawiam w formie pytania: czy utrzymanie proporcji jest w ogóle możliwe, rozwiązywalne. Mówiło się już o tym wczoraj, ktoś wspomniał, że krytyk może mierzyć wartość dzieła tylko relną znajomością składu drużyny i jej rozstawienia na boisku. To, co się obserwuje w nauce, a mianowicie coraz większą specjalizację, dokonuje się także i w krytyce, która dzieli pole swojego działania na coraz mniejsze działki. A czym mniejsze parcele wyznacza sobie któryś z krytyków, tym łatwiej staje się łupem czy ofiarą zagubienia wyczucia proporcji.

Każda wybita siłą szczelina, każde wyrugowanie, każda preferencja osiągnięta gwałtem, każdy monopol powoduje rozpad całości, a osiąganie siłą pożądanych wartości zawsze wpływa szkodliwie na całość proporcji. (...)

FERENC KISS

We wprowadzeniu Attili Tamasa chciałbym podkreślić dwie rzeczy. Pierwsza to, że prozaik lub poeta wyobraża sobie krytyka jako współtowarzysza walki. Zawsze tak uważaliśmy i można by się tylko zastanowić, jak to się sprawdzało w praktyce, co przynosiło twórcom dawniej i co oznacza obecnie. Wiem wszakże jedno, że do zawodu krytyka nie trzeba dopłacać mimo iż tak się z pozoru wydaje. Druga myśl wywodzi się właściwie od Tibora Déry, którego Attilla Tamas przytacza, a brzmi ona: „Jaki świat zostawimy po sobie?". Jest to problem sprawiający niemało kłopotów zarówno prozaikom, jak i poetom, a także — krytykom. To ostatnie stwierdzenie może się wydać zarozumialstwem — ze strony przedstawiciela tak tu degradowanego zawodu, niemniej jest faktem, że my, krytycy, staramy się również trzymać tego wyznacznika.

A mówię o tym w interesie obrony godności zawodu krytyka, do czego okazję daje mi obecna narada. Krytyka, jak wiemy, jest rodzajem czy gatunkiem publicystyki literackiej. Może panowie zauważyli — o czym zresztą wspomniał Gyula Fekete — iż zarysowała się już wyraźnie pewna tendencja, pewnego rodzaju novum w dążeniu do piękna, do nowego arystokratyzmu, której przeszkadza, że krytyki nie uprawiają tacy twórcy, jak na przykład Flaubert, Sandor Weöres czy Peter Esterhazy, lecz ludzie, którzy głęboko tkwiąc w swoim zawodzie uprawiają publicystykę walczącą. Wspomniana tendencja jest nowym rodzajem uprawiania kultu piękna, a oddzielając piękno od prawd pragmatycznych staje się tym samym niekonsekwentna. Nie ma też pokrycia czy zaplecza teoretycznego. Można się tylko odwołać — do bardzo zresztą odległych przykładów — by udowodnić, jak użytkowa wartość niektórych utworów wpłynęła na to, że później można było sobie uświadomić ich wartość ontologiczną. (...)

Nie wierzę w estetykę, która rozdziela piękno, dobro i prawdę. A istnieje ku takiej skłonności w dzisiejszych czasach. Jako przykład wskażę tu cykl wywiadów z czołowymi przedstawicielami ludzi pióra, jakie publikował w miesięczniku polityczno-kulturalnym „Kritika" kolega Szerdahelyi. Myślą przewodnią tych wywiadów z prozaikami i poetami jest tendencja do potępiania twórców wtrącających się do spraw publicznych, a czyni się to w imię dobra samych utworów. Zauważyłem zresztą podobne dążenia w wielu innych znaczących organach i instytucjach opiniotwórczych. Nawet w takich, gdzie nie pada ni słowo potępienia przeciw oczywistej tandecie czy szmirze. Zatem organa te nie postępują konsekwentnie w obronie pewnego rodzaju piękna, a po drugie, dążą do stworzenia takiej antynomii pomiędzy życiem publicznym a literaturą piękną, której to antynomii

sama literatura piękna nie może potwierdzić. Agnes Nemes Nagy, którą także pytał o to Istvan Szerdahelyi, wręcz nie podjęła się odpowiedzi.

A przecież między publicystyką a utworami literatury pięknej, tymi wysokiego lotu, zachodzą takie same powiązania, jak pomiędzy różnymi organami ciała człowieka. (...) Pierwszorzędnym tego przykładem jest twórczość Gyuli Illyésa. Czy autor *Hajszalgyökerek (Korzeni włosów)* lub *Szellem es eroszak (Ducha i przemocy)* pisząc je milczał jako twórca słowa pięknego? Balazs Lengyel, który jako esteta nie ma powodów wypowiadać się w obronie publicystyki, niedawno wykazał, jak te dwa wspomniane tomy dojrzałego Gyuli Illyésa świadczą o głębi twórczości poetyckiej autora. Albo tegoż samego Illyésa *Beatrice aprodjai (Giermkowie królowej Beatrice)*, które sięgając po nowatorską formę zwycięsko konkurują z najnowocześniejszymi utworami scenicznymi. Albo inny przykład innego autora: Sandora Csoóri. Czyż nie w tym samym czasie stał się on znanym poetą, gdy działał jako publicysta? Być może w tym ostatnim przypadku wynikło to z naturalnej logiki dojrzewania, ale nie ulega wątpliwości, że *Tizedik este (Dziesiąty wieczór)* świadczy o poecie wielkiego formatu. Powieść Gyuli Fekетego *Az orvos halala (Śmierć lekarza)* czytałem znów niedawno. Właśnie pod kątem mojego tu wystąpienia. Jest to rzeczywiście dobra proza, ale nie wydaje mi się, by była bardziej cenna od publicystyki, którą uprawiał w swoim czasie Gyula Fekete. Albo zwróćmy uwagę na warstwę socjograficzną w utworach Bulcsu Bertha czy Moldovy. Lub inny, całkiem już bliski przykład Istvana Csurki. (...) Nie wolno nam rezygnować z wartości elementarnych. Csurka bardzo dobrze o tym wie. Świadczy o tym najlepiej lirvzm jego dramatów. Berkes mimo to niedawno oświadczył, że dziennik „Magyar Nemzet" („Naród węgierski") może się obejść bez publicystyki Csurki. Jest to bardzo smutny fakt samookaleczenia ze strony tego dziennika, nie mówiąc o tym, że felietony Csurki pozwalały wznosić mosty pomiędzy światem dotychczas mu nie znanym a jego dramatami. Mam prawo tak twierdzić na podstawie poprzednio wymienionych przykładów z historii literatury. A zatem higiena zdrowia literackiego wymaga także uprawiania publicystyki przynajmniej ze strony tych autorów, którzy odczuwają taką potrzebę. (...)

Kiedy robiłem notatki do mojego wystąpienia, pomyślałem o moich rozmówcach, którzy mogą powiedzieć: nie chodzi przecież o publicystykę literacką, której racji bytu nikt nie podważa, ale o dokumenty polityki kulturalnej, które nawet jak gdyby się jej domagają. Kłopot w tym, że to sprzeczki toczone na peryferiach literatury, kłótnie i dyskusje w różnego rodzaju instytucjach odciągają uwagę pisarzy od pracy twórczej. Bronimy literatury nie przed odpowiedzialną publicystyką, ale przed nieodpowiedzialnym politykowaniem — mogliby powiedzieć moi rozmówcy, jeśli dobrze odtwarzam ich stanowiska. A w tym ich stwierdzeniu może się zawierać cząstka prawdy. Bo gdy publicystyka schodzi na pozycje defensywne, skazuje się na uwiąd. (...) Gdy już dochodzi do takich sytuacji, to mimo woli punkt jej zainteresowania przesuwa się z literatury na myślenie o naszych losach. A więc woda zostaje zmącona nie dlatego, że czerpie ją ze źródła prozaik lub poeta, lecz dlatego, że ktoś od góry ją mąci. Dyskusje dlatego obierają inny punkt ciężkości, ponieważ nie znajdują gdzie indziej, w innych organach ujścia dla wartości prawdziwie literackich. Nie dziwmy się zatem, lecz traktujmy poważnie fakt, że zabiegi wokół kształtowania wartości przesuwają się do pracowni twórców, do rozmów z wydawcami lub do prywatnych spotkań towarzyskich, ponieważ w tej postaci me mogą być obecne ani na łamach tygodnia literackiego „Élet es irodalom", ani w miesięczniku polityczno-kulturalnym „Kritika", ani w dzienniku partyjnym „Népszabadsag".

Andras Veres wspomniał o prześladującej nas natrętnie manii:

„jesteśmy sami". Sądzę, iż to pojęcie wiąże się z innym, uzupełniającym je sformułowaniem, a mianowicie: z terrorem opinii publicznej. Inaczej mówiąc: to opinia kawiarni i innych tego rodzaju środowisk terroryzuje przyzwoitych, broniących wartości dzieła kolegów. (...)

Zapewne panowie zauważyli, że starałem się tu w zasadzie bronić higieny życia literackiego. Bronić higieny naszego życia literackiego przed, na przykład, takimi aktami demobilizującymi, jak ten obiegowy sąd, że nie jesteśmy Holandią. Często przypomina się nam: zachowujcie się tak, jak byśmy żyli w Holandii. Za czym kryje się druga formuła ukuta na Zachodzie, że nasz kraj jest jeszcze „najprzyjemniejszym barakiem". Dla mnie osobiście są to powiedzenia antypatyczne. Niemniej pozostaje faktem, że oba wzajem się uzupełniają, bo sugerują: Nie wychylajcie się, bo nie mieszkacie w Holandii, a i tak uchodzicie za najprzyjemniejszy barak. Proszę mi zatem pozwolić stwierdzić z całą odpowiedzialnością: nam też zależy, by w ramach naszego ustroju sytuacja Węgier nie zmieniła się w kryzysową. Ale którędy przebiega granica, gdzie tym wartościom zagraża niebezpieczeństwo, na to musimy już sobie sami odpowiedzieć, kierując się własnym rozumem. Bo to, co zostawimy po sobie, przede wszystkim od tego zależy.

MATYAS DOMOKOS

(...) Dołączam się do myśli, którą formułowało wielu przedmówców, tej mianowicie, iż bez pluralizmu nie można sobie wyobrazić analizy problemów zawodowych, ani moralnych, ani wreszcie społecznych, które tu zostały przedstawione. Jako niekiedy milczący, niekiedy praktykujący krytyk nie mogę przystać na rozłam, który stawia krytykę i pisarstwo na przeciwległych biegunach, jak to obecnie jest przyjęte, stało się modne, a nawet weszło w zwyczaj. Jeśli już znaleźliśmy się w kręgu tych zagadnień, przychylam się do słów Aladara Schöpflina, który kiedyś bardzo dawno jasno powiedział, że kiedy pisarz chce coś powiedzieć o życiu, pisze wiersz, nowelę lub powieść, a kiedy wypowiada się o literaturze odzwierciedlającej prawdy życia lub samo życie, uprawia wtedy krytykę. Moim zdaniem literatura i krytyka przypominają syjamskie bliźnięta. Jeden duch je ożywia i jedna krew w nich krąży żywiąc ten sam organizm. Dopóki tak się dzieje, wszystko jest w zasadzie w porządku; rozbieżności w ramach jednolitego organizmu można ścierpieć, przetrzymać, przeżyć. Ale od czasów Schöpflina wiele się zmieniło w takim organizmie, a korzeni tych zmian należy szukać rzeczywiście bardzo daleko. Spróbowano gwałtem i siłą oddzielić, oderwać od siebie owe syjamskie bliźnięta i to spowodowało częściową utratę kredytu zaufania lub też kryzys zaufania, co ja raczej nazwałbym częściowym pozbawieniem praw honorowych. Pozbawiona została praw honorowych nie tylko krytyka, lecz i literatura. I nie tylko literatura. (...)

Sądzę, że krytyka literacka wtedy będzie mogła odzyskać zaufanie, kiedy przestanie nienawidzić przedmiotu swoich zainteresowań. Przyczyn tej nienawiści należy się doszukiwać może w jakimś rozgoryczeniu, począwszy od źle pojmowanego pojęcia usług czy służby, aż po losy wykolejonych osobowości, które znalazły się w tym zawodzie. Ale tego problemu też nie będziemy teraz analizować. W każdym razie należy się z tej nienawiści wyzwolić, otrząsnąć lub ją przezwyciężyć. (...)

W czasach mojej młodości słowo pisane otoczone było czcią podobną do tej, jaką wierzący otaczają świętości. Pisarze mogli się wprawdzie niekiedy wykolejać, ale literatura pozostawała święta, jak ojczyzna czy arete, cnota męstwa. W czasach Józsefa Kissa było nie do pomyślenia, by temu jednemu z najwybitniejszych liryków węgierskich ubiegłego wieku, który zresztą nie gardził honorariami, sprawiało przyjemność przesiadywanie w pokojach dyrektorów banków, by po zakończeniu

sesji parlamentu jakiś agent od ogłoszeń recenzował jego krwią pisane utwory, w których składał ofiarę z samego siebie. To właśnie w momencie, gdy utalentowani krytycy pod naciskiem okoliczności czy innych motywów zamieniają się w wykolejonych agentów od ogłoszeń czy reklamy, zaczyna się demoralizacja naszej krytyki i literatury. Jest to ogromne zło, od którego literatura i krytyka będzie się mogła dopiero wtedy odciąć, jeśli od środka, od wewnątrz spróbuje się bronić w sposób pozytywny. Jak? Jakimi sposobami? Pracą. To ją miał na myśli Sandor Koczkas, gdy mówił, że w tym beznadziejnym położeniu zarysowuje się jedna tylko możliwość, jedno wyjście. Ale nie wolno zapominać, że w tej pracy zarówno pisarz — bo jego też można już teraz wymienić — jak i krytyk powinni jasno zdawać sobie sprawę z „misterium" — jak to mawiał jeden z moich świętej pamięci kolegów — zatem z misterium podmiotu i orzeczenia. Bo o ile jest prawdą, że nie każdy krytyk zdaje sobie z tego sprawę, o tyle to samo można powiedzieć o wielu pisarzach.

A ta praca też się odznacza pewną cnotą. Dla ilustracji znów chciałbym przytoczyć pewien epizod. Czytałem o tym we wspomnieniach Pala Granasztóiego. Odön Lechner, który był jednym z czołowych architektów secesyjnych, kiedy powierzono mu projekt gmachu Muzeum Sztuki Użytkowej, długie tygodnie spędzał nad tym, by w *sposób pogłębiony i precyzyjny ułożyć ornament dachówek na dachu Muzeum, tak, by harmonijnie łączył się on z osią okien. Pracował nad tym już od wielu tygodni, a wzór ciągle jakoś nie chciał się ułożyć. Liczył więc i liczył. Aż zniecierpliwiony kolega powiedział mu wreszcie: „Odön, na litość boską, jeśli nie zaprzestaniesz tych szaleńczych obliczeń zawalimy wszystkie terminy. Przecież te dachówki i tak tylko ptaki będą oglądać". Na to Lechner: „Nie szkodzi. Będzie mi wstyd, nawet przed ptakami". I wtedy zrozumiałem*, dodaje Granasztói, *na czym polega cnota secesji, za chaosem, za rozbijaniem formy i poszukiwaniem efektów kryje się zrodzona z uczciwości drobiazgowość, poszukiwanie wymagających wielkiego wysiłku doskonałych rozwiązań. (...)*

przełożyła *Hanna Kuźniarska*

IVÁN MANDY

STUDENCKA MIŁOŚĆ

Norman Wilson zaczął delikatnie drżeć, jakby chciał się rozpłynąć, w końcu uniósł się w powietrze i zwyczajnie zniknął. Wraz z nim zniknęła jasnowłosa Gloria i stary, trochę zapuszczony, uroczy ogród, gdzie zwykle spacerowali pod rękę.

Wszystko to zniknęło i filmowy ekran rzucał tylko senne, szare światło.

Siedzieli w milczeniu. Nie od razu zaczęli gwizdać, krzyczeć, skrzypieć krzesłami. Siedzieli cicho, jakby nie chcieli uwierzyć, że Norman i Gloria ot tak sobie zniknęli. Nie, to niemożliwe! Muszą wrócić. Tylko chwila i znów tam staną, w starym ogrodzie, tam, gdzie Norman w studenckiej czapce mówił właśnie do Glorii: „Studencką czapkę zamienię na wojskową, ale nikt i nic nie zdoła nas rozdzielić". Gloria Colman przytuliła się do chłopca, jednak na jej twarzy malował się strach. A potem wraz z tym strachem zniknęła.

Czekali, wciąż jeszcze czekali.

Możliwe, że Norman Wilson ukrył się za ekranem, wyjdzie na małe proscenium i będzie dalej grał. Gloria również się pojawi, wyjdzie stamtąd, wraz z resztą aktorów i znów wystąpią w filmie.

Nieoczekiwanie zapaliło się światło. Niemrawo mrugające, blade.

Siedzieli w czarnych fotelach. Jakaś kobieta nisko zwiesiła ręce, jakiś chłopak objął dziewczynę. Szeroka, płaska twarz z pierwszego rzędu obróciła się do tyłu.

Nikt nie odezwał się nawet słowem. Siedzieli w bladym świetle naprzeciwko pustego ekranu.

Bileterka przemknęła wzdłuż ściany i znikła, jak wystraszone, spłoszone zwierzę.

Gdzieś z przodu wstała kobieta, przesunęła wzrokiem po twarzach, po czym z powrotem usiadła. Tęgi mężczyzna odchylił głowę do tyłu jakby leciała mu z nosa krew i ryknął:

— Co teraz będzie?

Dopiero wówczas zaczął się koncert gwizdów. Przeklinali, złorzeczyli. (— W tym kinie zawsze coś się musi wydarzyć! — Wiedziałem, że nie należy tu przychodzić! — Raz człowiek się wybrał i właśnie wtedy... Niech zwrócą pieniądze!). Tupali, skrzypieli fotelami, gwizdali. Gruby mężczyzna z odchyloną do tyłu głową zahuczał jak okrętowa syrena:

— Co teraz będzie?

Ostry kobiecy głos domagał się sprowadzenia kierownika. Niech sam kierownik tu przyjdzie i wyjaśni, co się stało.

— Niech się pokaże! — piszczała kobieta — Chcę go zobaczyć!

— Nieważne — odezwał się mężczyzna — Niech dalej wyświetlają film.

Zaczęli klaskać. Przy ścianie dały się słyszeć jakieś kroki, ale bileterki nie było widać.

— Niech ktoś pójdzie do biura!

— Oni niech tu przyjdą...

— Niech przynajmniej przyjdzie bileterka!

Ale wydawało się, że wszystkie też opuściły już kino. Wyszedł kierownik, kasjerka, a w końcu bileterki.

Pusta, ciemna dziura w kabinie projekcyjnej.

Tylko oni zostali.

Wstał mężczyzna w kraciastym szaliku i z rękoma w kieszeni zaczął długimi krokami przechadzać się pomiędzy rzędami krzeseł. Znalazł się też ktoś, kto zapalił papierosa.

Gwizdy i tupanie nie ustawały ani na chwilę.

— Co teraz będzie?

Jakby wyrosła ze sceny — stanęła przed nimi ubrana na czarno kobieta. Blondynka o zaklopotanym uśmiechu.

— Drodzy goście...

— Co jest grane, rybko?

Kobieta umilkła, jakby rzucono jej w twarz papierową kulą. Stała i pstrykała palcami.

— Kim jest ta kobieta? — pytał czysty, donośny głos.

— Widziałem ją w aptece.

— Ją? Ależ skąd! W cukierni u Teriki.

— W każdym razie to nie jest kierownik! Niech przyjdzie kierownik!

— Ona jest kierownikiem!

— Co pani sobie wyobraża?! Kierownikiem jest mężczyzna, znam go przecież.

Kobieta w czarnej sukni znów próbowała się odezwać.

— Drodzy nasi goście, muszę państwu zakomunikować coś przykrego, zerwała się taśma...

Pełen ironii, szyderczy śmiech: Zerwała się? Co pani powie?!

...bilety oczywiście są ważne na jutrzejszy seans. — Zamilkła. W napięciu spoglądała na publiczność. „Co mam jeszcze zrobić? Poczęstować ich herbatą i ciastkami?"

Herbata i ciastka. Tak, jakby o to im chodziło. Nie ruszali się z miejsc. Mężczyzna włożył głowę między ręce, nogi wyciągnął przed siebie.

— Niech zwrócą pieniądze — powiedział spomiędzy dłoni. — Jutro znowu coś się przydarzy.

Kobieta w czerni urażonym głosem: — Ależ, proszę państwa, u nas jeszcze nigdy... Przełknęła ślinę. — A poza tym wszędzie może się zdarzyć coś takiego! Wszędzie!

Płynny, melodyjny gwizd.

Krzyczeli coraz głośniej, z coraz większym uporem: mech oddadzą pieniądze!

— Niech od-da-dzą! Niech od-da-dzą!

Jakby dopingowali ulubioną drużynę. Nikt się nie ruszał. Jakby czekali, że każdemu przyniosą pieniądze na miejsce.

Podniósł się starszy pan, ujął za ramię blondynkę w czerni.

— Nie mówiąc już o tym, że na pewno już nie obejrzymy tego filmu.

— Mówił cicho, ale widać było, że stać go na wszystko. — Pani powiedziała, że bilety są ważne na jutrzejszy seans...

— Tak, na jutrzejszy.

— Tylko, że jutro jest zmiana programu, jeśli chce pani wiedzieć, kochaneńka. — To już brzmiało groźnie. Nie puszczał jej ramienia, kiedy zwrócił się do sali: — Jutro jest zmiana programu.

Rozległ się wrzask.

— Kto wie, jaką chałę puszczą!

— A tego już nigdzie nie grają.

I wówczas inny głos:

— Dlatego moglibyśmy się przynajmniej dowiedzieć, jak się skończył.

— Co jak się skończyło? — mężczyzna puścił kobietę i odwrócił się.

— Film. — Stała za nim bileterka w niebieskim fartuchu. Podniosła suchą, kościstą twarz i oznajmiła: — Ja opowiem.

Po chwili ciszy zerwała się wrzawa. Ktoś wstał i wychylił się do przodu.

— Czego chcesz, mamusku?

— Co pani chce opowiedzieć?

— Zakończenie filmu. — Tam, przed nimi, zdumiony mężczyzna kręcił głową.

— A to dobre! — rzekł ktoś.

— Mnie to może pani nic nie opowiadać.

Nastała cisza, wbili wzrok w bileterkę. Teraz mieli przed sobą tylko ją. Postać w czerni zniknęła, a starszy człowiek wrócił na swoje miejsce.

— Oglądałam „Studencką miłość" parę razy i wydaje mi się, że potrafię ją opowiedzieć.

Nadal milczeli. Tylko jakieś krzesło skrzypiało przeraźliwie.

— Za nasze pieniądze!

— Rzeczywiście! Za nasze pieniądze to może pani opowiedzieć i dwa razy, nawet od końca!

Bileterka w niebieskim fartuchu stanęła na środku sali. Wyglądała jak poduszeczka do igieł. Można by przysiąc, że jest naszpikowana drobnymi, małymi szpileczkami. Wyjęła z kieszeni chleb z masłem i ugryzła kęs.

— Zdaje mi się, że zostawiliśmy ich... — zaczęła cichym, dalekim głosem.

Jakiś mężczyzna (prawdopodobnie mechanik) podbiegł do niej i wprowadził na podium. Podał jej krzesło.

Bileterka siedziała przed ekranem i gryzła chleb z masłem. Zgaszono światło. Ale tylko po to, żeby za chwilę skierować na nią reflektor.

— O!... — rozległ się przeciągły głos.

W ostrym świetle bileterka mrugała oczyma. Schowała chleb, poprawiła się na krześle.

Wpatrywali się w mruganie oczu, wpatrywali się w niebieski fartuch,

brązowe buty, twarz we mgle, na której w końcu ożyje stary ogród wraz z Normanem Wilsonem i Glorią Colman.

Stary ogród ożył i stanął w nim zacny, kochany chłopiec (kreacja Normana Wilsona) i obejmował dziewczynę (kreacja Glorii Colman), uspokajał ją, że teraz musi iść do wojska, ale wróci z wojny i wówczas znów przyjdą tu, do tego ogrodu. I dodał jeszcze coś takiego, żeby się nie bała, złego licha nie weźmie. „Zabraniam ci jednak odprowadzać mnie na dworzec".

— Ale czy można zabronić kochającemu sercu? (bileterka potrząsnęła głową). Czy można oczekiwać od młodej dziewczyny, żeby nie odprowadziła na dworzec ukochanego, który idzie do wojska? (Bileterka pochyliła się). I to ją zgubiło, bo na dworcu poznała Waltera.

Przed publicznością wyrósł beztroski hulaka, Walter. Doprawdy nie można o nim powiedzieć nic nadto, że był lekkoduchem. I w dodatku awanturnikiem, zajmującym się przemytem narkotyków. Też miał na sobie wojskowy mundur, jak Norman. Uśmiechali się do siebie jak starzy przyjaciele.

— Dawno cię nie widziałem, bracie!

Uniwersytet, o, uniwersytet! Walter oczywiście rzucił studia i teraz z nonszalancją dopytywał się o niektórych profesorów.

— Trzyma się jeszcze stary szakal? — śmiał się — Jak długo jeszcze będzie was męczył? No, bracie, nawet wojna jest lepsza od niego!

Takie bzdury plótł Walter, raz po raz zerkając na dziewczynę.

— Zazdroszczę ci, kolego, daję słowo, zazdroszczę!

To spojrzenie! Spojrzenie Waltera... To słynne, nieodparte, łamiące serca spojrzenie...

— Zniewalające — kręciła głową kobieta w piątym rzędzie.

Głos męski z tyłu: — O taką dziewczynę może być spokojny.

Bileterka uniosła głowę.

— Dziewczyna miotała się.

Na suchej, rozmytej twarzy bileterki pojawiła się walcząca ze sobą dziewczyna. „Wiedziała, że jej miejsce jest przy boku narzeczonego, a jednak nie mogła się uwolnić od tego spojrzenia".

Na widowni w napięciu śledzono te zmagania. Kobieta w piątym rzędzie wzdychała raz po raz. Mężczyzna ironicznie kiwał głową, ach, te burzliwe uczucia! — ale i tak omal nie spadł z krzesła, gdy usłyszał, że to Walter któregoś dnia wrócił z frontu i zjawił się w domu dziewczyny.

— Przywiozłem wiadomości od narzeczonego.

Walter dopiero co wyjechał na front i już był z powrotem w kraju. Dzięki pewnym znajomościom bardzo szybko wrócił do domu, ażeby w mundurze dumnie paradować po ulicach Londynu.

Pewna pani z lewej strony: — Ja nie straciłam głowy, gdy mój mąż był na froncie.

Syknęli, ale nic przestała gadać. Opowiedziała o kupcu korzennym, który często posyłał jej prezenty.

— Nie interesuje nas pani kupiec korzenny.

— Ten też musiał mieć dobry gust...

I znów słychać było tylko bileterkę.

— Narzeczony przynajmniej na tydzień mógł przyjechać! Przynaj-

mniej na jeden dzień! Ażeby mogła czerpać siłę z tych oczu pełnych dobroci.

Conrad Nagel! Starej damie przypomniał się Conrad Nagel, który potrafił patrzeć tak uspokajająco. Przypomniało jej się również, co wówczas o nim czytała. „Dziś popularność pojawiającego się przed publicznością Conrada Nagela nie ustępuje sławie Rudolpha Valentino. Cóż lepiej to potwierdza niż fakt, że jednocześnie otrzymał propozycję zagrania głównej roli w trzech filmach".

Co się stało z Conradem Nagelem?

Stary Rabnee wyciągnął się w krześle. „To już świństwo, jeśli ktoś chce uwieść narzeczoną przyjaciela i to wtedy, gdy ten walczy z dala od kraju. Gdybym ja wówczas zaczął z Sari Fiore..."

— Męża uznano za zmarłego, ale ja ciągle czekałam.

— Poznaliśmy się na cmentarzu.

— Na cmentarzu?... Z kim?

— Z tą dziewczyną, kiedy przygotowywałem się do matury...

— Aha.

Milczeli i patrzyli.

Bileterka spoglądała na splecione dłonie, potem jej spojrzenie prześliznęło się po scenie. Jeszcze nigdy nie widziała estrady z tak bliska. Kurz... tylko kurz. We wszystkich szczelinach pełno kurzu, wszystko pokryte jego grubą warstwą. Pewnego razu rzucano tu lasso na szyję jakiejś artystki. Ona stała w kowbojskim stroju, a mężczyzna zarzucał jej lasso na przeguby rąk, na kibić, w końcu na szyję. Występowali w przerwie...

— Co to? Czy pani zasnęła?!

Bileterka tymczasem mówiła.

— ...i dziewczyna codziennie spotykała się z Walterem. Walter zabierał ją do teatru, chodzili tańczyć i dziewczyna nawet nie zorientowała się, kiedy wylądowała w półświatku.

— Nie obawiam się o nią. — Teraz głos był już niespokojny.

Większość widzów nawet nie przeczuwała, co stanie się z dziewczyną. Nie odpisuje narzeczonemu? Już nawet nie otwiera listów, które przychodzą z frontu?!

— W końcu chłopak wróci i sprowadzi ją na ziemię!

Mieli nadzieję, że w końcu zjawi się chłopiec (Norman Wilson, ta sympatyczna postać), ten prawdziwy, i wtedy znów będzie tak, jak dawniej.

— Co paliła dziewczyna?

— Opium, w palarni.

— W palarni?

— Tak, w palarni opium, ale niechże pani wreszcie będzie cicho!

Niewiasta nie była w stanie wykrztusić słowa. Mój Boże, taka dziewczyna w palarni opium! A tam tylko siedzą i palą opium, a ta palarnia, ukryta głęboko pod ziemią jest bardzo elegancka, matowe światła schodzą ze ścian, rozmawiać można tylko szeptem i Walter jest tam szefem.

— Powroty do rzeczywistości były okropne — mówiła bileterka. — Dziewczyna często nie poznawała, kto wchodzi do pokoju. I w końcu stało się, że pewnego dnia...

Wszyscy wyciągnęli szyje. Słychać było niespokojny szept, jakby naradzali się między sobą na ten temat. Kobieta wyszła z rzędu i podeszła do podium. Stojąc tam i kiwając głową mówiła:

— To nieprawda.

Bileterka nawet nie zwróciła na nią uwagi i nie przerwała. Chłopiec stał przy łóżku i zdumiony patrzył na udręczoną twarz. Był w mundurze wojskowym, tak jak wrócił z frontu.

Tak, teraz już musiał uwierzyć, że wieści o narzeczonej, które go dochodziły, nie były przesadzone. Ona nie jest już dawną dziewczyną, ona już daleko jest od wszystkich i wszystkiego. — To mewolnica nalogu.

— To nieprawda.

Bileterka zamilkła, po czym trochę zdziwiona rzuciła w mrok:

— Jak to nieprawda?

Kobieta zaś uczepiła się brzegu sceny. Chciała głowę podnieść wyżej, ale była ciężka, jak kamień. — Niech mi pani nie opowiada, że nie poznała tego chłopaka. Że nie otwierała listów od niego, w to jeszcze uwierzę, ale jak stanął tam, przed łóżkiem...

— Prawda, że chłopak sprowadził ją na dobrą drogę?

I znów inny głos: — I w końcu pozbyli się tego Waltera?

— ...później oboje tylko śmieli się ze wszystkiego!

Teraz już przy scenie zgromadziło się więcej osób. Niewyraźne, zamazane twarze. Walili w krawędź estrady.

— Niech pani opowie o ślubie!

— O jakim ślubie? — bileterka odchyliła głowę do tyłu. — Nie będzie ślubu.

Cisza. Głęboka, pełna wyczekiwania cisza. I jakiś głos z końca sali:

— Ale przecież, gdy dziewczyna się wyleczyła...

— Nie wyleczyła.

— Chyba nie chce pani powiedzieć, że... — trzaśnięcie krzesła, do przodu przesunął się mężczyzna.

Bileterka włożyła ręce do kieszeni, łokcie cofnęła do tyłu. Z dołu dał się słyszeć szept. Tak, jakby między sobą o czymś dyskutowali. Po czym ostry, napastliwy głos:

— Ja wiem, że nie umrze!

— Skąd pan wie? — bileterka zaskoczona pokręciła głową.

Sterczeli w rzędach. Stali tak, jakby znów chcieli gwizdać i krzyczeć. Ale milczeli.

— Przepraszam bardzo — odezwał się starszy człowiek — ale czy to na pewno zdarzyło się w tym filmie?

Zmęczony, smutny głos.

Ale to właśnie stało się hasłem. Wrzeszczeli, trzaskali krzesłami, jakby chcieli rozmnieść kino.

— Nie ten film nam pani opowiedziała!

— Zrobiła nas w konia...

Bileterka była tak słaba, że nie potrafiła wykrztusić słowa. Siedziała w odrętwieniu czekając, aż runą na nią i ściągną ze sceny.

Wokół niej panowała cisza. W końcu rozległy się pojedyncze błagalne głosy:

— ...prawda, że w końcu chłopiec umieścił ją w szpitalu?

— ...i będą razem jeździć na łyżwach? Widziałam przed kinem fotos, na którym obejmując się wpół jeżdżą na łyżwach.

Prosili, wręcz błagali, ażeby opowiedziała zakończenie filmu, prawdziwe zakończenie.

— No niech pani wreszcie powie!

— Niech pani powie...

Biletерka skulona do granic możliwości siedziała przed ogromnym białym ekranem i milczała.

przełożyła *Dorota Jaszcz*

IVÁN MÁNDY ur. 1918, prozaik, wybitny przedstawiciel nowoczesnej prozy węgierskiej, autor kilkunastu książek. Mieszka w Budapeszcie

Portret H. Dembowskiego, J. Bema i A. Gorgeya.
J. L. Appold, staloryt

GYORGY SOMLYO

Bajka o 28 listopada 1968

N. e.

Lecz w stosunku do jakich układów
W którym roku po człowieku z neandertalu
W którym przed XXVI. PMXO•9-tą dynastią Robotów
Dokąd ten dzień runie jeśli wysunie się
Z kalendarza z oprawy koronnych diamentów
Jeśli wyobraźnią wezbranych wieków
Przyspieszymy ów niepozorny okruch czasu
Jeśli przekażemy go bezmiernej nieskończoności
Nieokreślonego trwania
Jeśli wytrącimy go z układu grawitacyjnego
Ludzkiej fikcji
Jabłko
Z roztargnionej dłoni
Obrabiany przedmiot z nie dość zaciśniętego
Imadła liczbowego szeregu
Jeśli zagubimy imienną tasiemkę
Z jego niemowlęcego przegubu
Bądź tabliczkę tożsamości
Z jego żołnierskich zwłok
Dokąd runie
W jaką głębię niespodzianie
W jaki niebyt
Bez „nazwy
Niepojętą nicość
Nieprzebranego
Roju liczb
W niehyłość trwającą przez nigdy
Zwalając się wraz z dzikimi znakami pisma
Kładzionymi przez nasze splątane ciała
Na papierowym płótnie
Razem z tykaniem zegarka
Razem z tą oto ręką
Spoczywającą na pustej jeszcze przed chwilą karcie

Ilustracja do telewizyjnego serialu dokumentalnego pt. „Wielkie bitwy"

Patrzę na swoje ręce które nigdy nie zabijały kiedy pod Dunkierką i pod Moskwą kiedy w El

Alamejn i w Stalingradzie kiedy w głębinach morskich
i na pustyniach na stepach i ulicach
wolni ludzie zabijali (i ginęli) za mnie za
prześladowanego ja prześladowany nie zabijałem
nawet za siebie pozbawiony praw pozbawiony nawet prawa
do zabijania (ukrywałem się w obronie
swego prześladowania) nie zabijałem (będąc zwolniony
spod kategorycznego imperatywu zabijania)
patrzę na swoje ręce które tylekroć czyniły mnie pra-
wie szczęśliwym (jako że nie zabijały) co
odczuwałem tylekroć jako cudowne zadośćuczynienie za
okaleczenie prześladowaniem jako że potrafiły
pozostać bezbronnie miękkie w swej dawnej ułomności pozostać
wśród powszechnego zakucia w stal
w pancerz jako że w owym powszechnym bagnie krwa-
wej łaźni potrafiły zachować czystość pierwotnego
obmycia z krwi jako że potrafiły
dotrzymać Prastarego Piątego Przy-
kazania (którego od pięciu tysięcy lat dotrzymać nie po-
trafimy) patrzę na ich ręce (które go
dotrzymać nie potrafiły) które zabijały za mnie (pod
Moskwą i pod El Alamejn i
w Stalingradzie i na brzegach Sycylii) patrzę na swoje ręce
które nigdy nie zabijały i nie wiem czy nie to
stało się najtrwalszym okaleczeniem z czasów prześladowania
iż amputowano mi (moim rękom) prawo do
zabijania patrzę na ich ręce które (pod El
Alamejn i pod Stalingradem i na brze-
gach Sycylii i w budapeszteńskich ruinach) zabijały za mnie
patrzę na swoje ręce które nie zabijały nigdy

Człowiek w jakimś punkcie na ziemi jesienią w nocy

Tutaj znajduję się
(w jednej z trzech pozycji jakie przyjmuje ludzkie ciało)
na tym oto drobnym skrawku ziemi
(który w języku polskim nazywa się piędzią)
pod stopami zaszeleścił zeschły liść
(którego za rok już nie będzie)
obok mnie nie ma nikogo
(żadnej podobnej istoty)
jakkolwiek jest nieskończenie wiele istnień
(do których stanę się wkrótce podobny)

Tutaj znajduję się
(ciemność światło cisza gwar)
a wszystko takie jak gdyby mnie tu już nie było

przełożył *Konrad Sutarski*

LÁJOS PAPP

Z ostatnich listów Don Kichota

I

Rozebrano wiatraki.
Przestałem więc z nimi walczyć.
Zdechł Rosynant, biedny;
siedzę i grzeję się na słońcu.
Kiedyś moje ciało ochraniał pancerz.
Zamieniłem go na miękkie szaty.
Moja rycerska szabla drobi dynię,
dla świń — naprawdę, całkiem
otrzeźwiałem; jaśnie państwo,
którzy wczoraj widzieli mnie wędrującego
nie mogą uwierzyć, jak bardzo się zmieniłem.
Jak się zmieniły moje błędne sny.
I jeszcze: jestem w domu.
Umeblowałem wieczory;
uporządkowałem bałagan,
wiem, co jest w każdym kącie.
Lampa świeci między moimi książkami.
Czuwa i ranka czeka z nadzieją.
Zrozumiałem, że muszę umrzeć.

II

Zrozumiałem, że muszę umrzeć,
że nie wystarczyło: wrócić do domu.
Drzwi zamknięte. Wariat z kopią,
którym byłem, drży bojąc się
prawdziwej realności czynów;
ponieważ gra przeniosła się na ziemię
już dalej się nie bawię.
Ziemia pogrzebała ziemię
Moja dumna pycha obróciła się w proch
na nic pokazywanie uśmiechu;
boli starego żołnierza
brak świeżo otrzymanej rany,
kiedy baje i zapewnia
o zadawnionych kontuzjach i starych bliznach.
Właściwie też dawno nie zostałem ranny.

O czym mógł więc człowiek bajki opowiadać?
Mosiężna przyłbica chroniła od tego,
aby ktokolwiek traktował mnie na serio.
Jaśnie państwa to interesuje?

III

Jaśnie państwa interesuje to
moje życie wyciągnięte z ukrycia?
Urodziłem się i uchowałem.
Tupałem po zimnych kamieniach.
Ziemia dudniła, a ja marzyłem;
tyle zostało z wojny
na pamiątkę. I żołnierze usmoleni.
Armia gówna pod krzakami.
Strach innych! Więcej, niż nic.
Jak żyć, przetrawiwszy tyle.
Ale nie sposób już po tym wszystkim
pięknie pisać, pięknie mówić!
Potem dorosłem. I to już zasługa
w krąg dziwujących się dzieci.
Boże mój! jak krótko przebywałem
w objęciach łagodnej miłości.
Maszerować, równo kroczyć,
Jak umiałem klaskać już wcześniej
A dzieciństwo to tylko parę obrazów.

IV

A dzieciństwo to tylko parę obrazów;
na naszym podwórku nie było zamku z bajki.
Mógłbym wyliczyć, czego jeszcze nie było,
Jednak wyliczanie od dawna mnie nudzi.
Tak zostałem rycerzem wyimaginowanego
porządku; fechtowałem zawzięcie.
Trafiał mnie każdy, kto uderzał.
Nie broniłem się. Tylko gorączkowałem.
Wykrzykiwaliśmy pieśni wojenne
z moim dobrym Sanczem, który od tego czasu
stał się jeszcze ważniejszy i tłuściejszy.
A rzadko słychać o tym pieśń.
Chwiałem się w obrazach i słowach
poruszających się w bajkowym lesie.
Wymachiwałem byle jaką bronią;
wierzyłem w siły ślepej wiary.
Dostało po karku me chwiejne
bohaterstwo, przetrzepano mu skórę.
Teraz tu jestem, siedzę na słońcu.

V

Teraz tu jestem, siedzę na słońcu,
obok mnie cały wspominany kraj.
Promienie zwielokrotniają blaski
między iskrzącymi szklanymi skorupami.
W ich cieniu rośnie zielsko;
drobne, blade robaki żyją,
rozmnażają się, mrowią w pagórkach.
Grzeję się i powoli żegnam z tym światem.
O jaśnie państwu wiem niewiele,
ostatnio cośkolwiek słyszałem.
Czasem odnoszę wrażenie, że czas stoi.
Przynajmniej tu — w La Manczy.
Przycinam drzewka, szczepię róże,
a moja Dulcynea, z Toboso,
robi pranie, sprząta, klnie na mnie.
Czy lepiej milczeć czy przeklinać?
Proszę, znów mnie woła, i... to wszystko.
Padnie słowo, połamie skrzydło.
Rozebrano wiatraki.

przełożył *Paweł Gembal*

GYÖRGY SOMLYÓ ur. 1920 jeden z najznakomitszych dziś poetów węgierskich, krytyk i tłumacz (m. in. Szekspira, Racine a, Velery ego i Różewicza)

LAJOS PAPP ur. 1936, poeta, redaktor naczelny miesięcznika „Napjainк", ukazującego się w Miszkolcu, autor pięciu tomów wierszy.

MIECZYSŁAW WIELICZKO

POLSKIE ŚLADY W RENESANSOWEJ KULTURZE WĘGIER

Polski od Węgier nie dzieliło nigdy nic prócz Karpat — pisał w 1849 roku Stanisław Worcell, jeden z przywódców Wielkiej Emigracji, w pełnym uniesienia artykule na łamach „Demokraty Polskiego".

Jest w tym stwierdzeniu zwrócenie uwagi na prażródło wzajemnych kontaktów, stosunków politycznych, gospodarczych i kulturalnych, dziś już w większości zbadanych i opisanych w studiach i dziełach ogłoszonych w języku polskim i węgierskim. Wystarczy spojrzeć na mapę, gdzie rzeki formujące się w łańcuchu Karpat, spływają ku północy, jako dopływy Wisły i ku południowi, jako dopływy Cisy i Dunaju. Były to w odległej przeszłości szlaki przemieszczania się wpływów w tej części Europy. Karpaty bowiem nie stanowiły bariery, były tylko trudne do przebycia.

W czasach „historycznych", albo inaczej „państwowych", uksztaltowały się między obydwoma krajami wzajemne stosunki, zrazu dynastyczne Arpadów i Piastów, częściej przyjazne niż wrogie. Ówczesne dwory panujących przyciągały dyplomatów i artystów, promieniowały wzorami artystycznymi, zwyczajami oraz prądami ideowymi. Ale nie tylko. Najstarsze znane węgierskie pieśni ludowe zawierają „wątki polskie", co zdaje się wskazywać na znacznie szersze związki niżby to wynikało z samego wyliczenia powiązań dynastycznych. Zważyć trzeba, że cechą szczególną kultury węgierskiej jest jej mała zdolność asymilacji elementów obcych, nawet powstałych na wspólnym podłożu ideowym religii i kultury. Jeżeli więc „wątki polskie" zawarte w legendach, ustnych podaniach i pieśniach trafiły do pierwszych kronik węgierskich, określa to siłę kontaktów i powiązań polsko-węgierskich.

Układ o sukcesję tronu polskiego ostatecznie ustalony na zjeździe w Budzie w 1355 roku, zapewniał przyjęcie piastowskiego dziedzictwa po śmierci Kazimierza Wielkiego przez Ludwika, syna Elżbiety Łokietkówny i Karola Roberta z rodu Andegawenów. Unia personalna, choć przetrwała zaledwie dwanaście lat, owocowała nie tylko świetnością dynastii, ale także przybliżeniem Polsce idei wczesnego odrodzenia włoskiego, pomimo tego, że Ludwik wiązał interesy dynastyczne z Bałkanami i Włochami, a nie z Polską. Ożywiły się jednak związki gospodarcze i kulturalne, zaś droga zwana krakowską odegrała wielką rolę w tych stosunkach. Regencja w Polsce Elżbiety Łokietkówny, zjazdy koszyckie uwieńczone przywilejem w 1374 roku, wreszcie wzory prawodawstwa węgierskiego przyswojone w Polsce, są dalszymi przykładami żywych kontaktów i stanowią przesłankę dla objęcia tronu krakowskiego przez Jadwigę. Postać tej królowej stała się w przyszłości symbolicznym wyrazem związków polsko-węgierskich, chociaż unia została zerwana, zaś stosunki międzypaństwowe z bliskich i serdecznych, stały się za sprawą Zygmunta Luksemburczyka coraz bardziej wrogie.

Po klęsce zaprzyjaźnionych z Luksemburczykiem Krzyżaków w bitwie pod Grunwaldem, doszło w 1412 roku do układu z Władysławem

Jagiełło, na mocy którego Polska przejęła w zastaw trzynaście miast na Spiszu i Dominium Lubowelskie (Podolinieckie) z Lubowlą, Gniazdami i Podolińcem. Na zamku w Niedzicy Piotr Berzeviczy, podskarbi Zygmunta, odebrał umówioną sumę zastawną. Dominium Lubowelskie przylegało do terytorium Ziemi Sądeckiej, pozostałe zaś miasta tworzyły pięć enklaw otoczonych posiadłościami węgierskimi żupaństwa spiskiego. Tak powstał „cierń w ciele Węgier", jak to określił Adorjan Diveky, cierń, który w stosunkach wzajemnych nawarstwił się nie tylko wielością zatargów pogranicznych, licznych krzywd i sporów, ale przede wszystkim była to istna brama, przez którą przenikały wzajemne wpływy, aż do lat 1769/1770 kiedy Maria Teresa, poczynając stąd I rozbiór Polski, zagarnęła zastaw Zygmunta. Starostwo spiskie przez trzy i pół wieku było obszarem promieniowania pierwiastków kultury polskiej na południe, na ziemie węgierskie i odwrotnie.

W XV wieku pomimo zmiennego natężenia związków politycznych pomiędzy obu krajami, kontakty artystyczne zdają się być najbardziej trwałe i dziś ich ślady widoczne są w wielu zabytkach. W pierwszej ćwierci tego stulecia w Krakowie działał znakomity warsztat budowlano-kamieniarski, którego dziełem jest południowa strona kościoła św. Katarzyny. Portale i kruchta tego kościoła stworzyły typ przejęty i twórczo rozwinięty na Górnych Węgrzech (Felvidek, dzisiejsza Słowacja) przez warsztat w Koszycach, a stąd przeniesiony do Siedmiogrodu. Późnogotycka rzeźba krakowska i malarstwo tego okresu wywarły znaczny wpływ na rozwój tych dziedzin sztuki we wspomnianym rejonie. Oto Jan Turzo magnat węgierski posiadający liczne powiązania gospodarcze z mieszczaństwem Krakowa, do tego nadzorujący jako rajca krakowski prace nad ołtarzem Wita Stwosza w Kościele Mariackim, był inicjatorem budowy podobnego ołtarza w Bańskiej Bystrzycy, niestety spalonego w 1761 roku. Paweł z Lewoczy, prawdopodobnie uczeń Stwosza, wykonał pod jego wpływem ołtarz w kościele św. Jakuba w Lewoczy (1508). Prawdziwą ozdobą Muzeum Sztuk Pięknych w Budapeszcie jest obraz Matki Boskiej z Bardiowa, dzieło malarza i rzeźbiarza Jakuba z Sącza. Rozliczne analogie fragmentów tego dzieła z malowidłami tryptyku Św. Trójcy w katedrze wawelskiej, wskazują na twórcze i z talentem wykonane odwzorowania artystyczne.

Inni znani artyści z końcowych dziesięcioleci XV wieku skupieni w kręgu fary w Koszycach to Piotr Polak, Wawrzyniec Włodarz z Krakowa i Mikołaj z Bochni. Jeden z nich jest z całą pewnością twórcą wybitnego dzieła — malowanego ołtarza w kościele św. Elżbiety w Koszycach. Promieniowanie tego warsztatu, widoczne w malarstwie węgierskim schyłku XV wieku, świadczy o jego wysokim poziomie artystycznym.

Stosunki artystyczne były oczywiście dwustronne, że wspomnimy choćby upowszechnienie przez węgierskich złotników techniki emalii, zwanej węgierską, stosowanej w zdobieniu licznych naczyń liturgicznych, należących do najcenniejszych polskich zabytków. Ten kierunek kontaktów nie jest jednak przedmiotem naszych rozważań.

Osłabienie Węgier walkami wewnętrznymi w dobie rządów Zygmunta Luksemburczyka, a następnie Albrechta Habsburga i zagrożenie od południa agresją turecką stworzyło przesłankę do nowej unii personalnej polsko-węgierskiej, bowiem Węgry pilnie poszukiwały pomocy militarnej i sojuszu politycznego. Stronnictwo propolskie doprowadziło do obioru w 1440 roku na tron węgierski króla polskiego Władysława II (zwanego potem Warneńczykiem, na Węgrzech znanego pod imieniem I. Ulaszló). Dokonane to zostało w okolicznościach jednoczesnego powołania na tron Władysława Pogrobowca, Habsburga, co bardzo komplikowało sytuację Warneńczyka, ale nie rozerwało bogactwa powiązań polsko-węgierskich. Wręcz przeciwnie. Krótkie i sławne panowanie Warneńczyka utrwalone zwycięską wojną z Turkami i

Pakt przymierza zawarty 5 maja 1494 r. między królem węgierskim Władysławem II (Jagiellończykiem) a jego bratem Janem Olbrachtem.

drugą, zakończoną śmiercią króla w bitwie pod Warną w 1444 roku, zapoczątkowało okres niezwykle intensywnych działań licznych Polaków w środowisku węgierskim. Warto je bliżej omówić.

Z kręgu dworskiego Warneńczyka wymienić trzeba przynajmniej dwie postacie: Mikołaja Lasockiego i Grzegorza z Sanoka. Obydwu zaprosił na Węgry Jan Vitéz ze Żredna, jeden z przywódców „partii polskiej", który przybył do Krakowa na czele poselstwa węgierskiego, by towarzyszyć Warneńczykowi w podróży do Budy. Lasocki, uczeń Pawła Włodkowica, był wytrawnym dyplomatą w poselstwach do Rzymu, delegatem na sobór w Bazylei i zjazd w Arras. Wtedy to właśnie zwrócił uwagę papieża Piusa II (Eneasz Sylwiusz Piccolimini) znakomitą sztuką epistolarną, w której, korzystając z wzorów węgierskich i adaptowanych w nich neapolitańskich (pozostałość powiązań Andegawenów z Włochami), używał języka łacińskiego w sposób wręcz mistrzowski. Służył swoimi umiejętnościami Warneńczykowi, a po śmierci króla pozostał na Węgrzech jako dyplomata i bliski współpracownik Jana Hunyadiego. Był jego posłem do Watykanu w latach 1447 i 1449, kiedy Hunyadi poszukiwał sojuszników w ciągłych walkach z agresją turecką. Lasocki był także wychowawcą synów Hunyadiego, z których młodszy, Maciej zwany od rodowego znaku Korwinem panował na Węgrzech w latach 1458-1490 i przeszedł do historii jako „król narodowy", twórca świetności Węgier. Wypadło to panowanie na lata względnego pokoju, bowiem w największej bitwie węgierskiego średniowiecza 14-23 VII 1456 roku pod Belgradem (Nandorfehervár) została powstrzymana na blisko pół wieku inwazja Turków. Warto wspomnieć, że zarówno w wojsku królewskim, jak i zaciężnej armii Hunyadiego służyła wielotysięczna rzesza żołnierzy polskich.

Mikołaj Lasocki zaopiekował się siostrzeńcem Vitéza, Janusem Pannoniusem (1434-1472), którego zawiózł do Włoch na studia w Ferrarze i Padwie. Poświadcza o tym jego korespondencja. Dzieje życia Pannoniusa, wybitnego humanisty, splecione są z losami wielu Polaków. Pannonius powracając na Węgry sprowadził z Bolonii Marcina Bylicę (ok. 1433-1494). Po przeniesieniu „Academia Istropolitana" do stołecznej Budy, Marcin Bylica zorganizował obserwatorium astronomiczne. Był królewskim astrologiem, m.in. interpretował pojawienie się komet w latach 1468 i 1472. Brał też udział w tworzeniu biblioteki

królewskiej (słynna „Corvina"), jednego z największych księgozbiorów humanistycznych ówczesnej Europy. Dziś wspaniale iluminowane rękopisy z „Corviny" rozproszone po wielu księgozbiorach Europy stanowią nierzadko najcenniejsze ich pozycje. Innym trwałym śladem działalności Bylicy jest wyznaczenie po raz pierwszy szerokości geograficznej wielu miast i zamków węgierskich.

Marcin Bylica spotkał w kręgu ludzi Viteza swojego krakowskiego mistrza, Marcina z Żurawicy zwanego Królem (ok. 1422-1469), wybitnego astronoma i matematyka. To Marcin z Żurawicy na dworze Vitéza, w tym czasie biskupa w Wielkim Waradynie (Nagyvarad, dziś Oradea w Rumunii) zorganizował pierwsze obserwatorium astronomiczne na Węgrzech a także przyczynił się do zgromadzenia tu przez Viteza bogatego księgozbioru.

Zarówno Marcin z Żurawicy, jak i Marcin Bylica wykształcili wielu uczniów i przyczynili się do skierowania młodych Węgrów na studia do Akademii Jagiellońskiej w Krakowie. Tylko w latach 1487-1494 spotykamy aż 402 Węgrów pośród krakowskich scholarów, co stanowiło niemal czwartą część ogółu studentów. Węgrzy posiadali dwie własne bursy, gdzie rządzili się swoimi statutami. Niektórzy pozostawali w Krakowie dłużej jako wykładowcy, ale znakomita większość powracała do kraju i tworzyła elitę kulturalną społeczeństwa węgierskiego. Jest to jeden z bardziej znaczących „polskich śladów" w kulturze Węgier tego okresu.

Mniej znana jest działalność Grzegorza z Sanoka (ok. 1406-1477), który posługiwał Warneńczykowi jako kapelan i doradca w tragicznej wyprawie pod Warnę i był jednym z rzeczników zbliżenia polsko-węgierskiego. Był także krótko nauczycielem Macieja Korwina. Jego pobyt na Węgrzech opisał Kallimach, który „przemknął" przez ten kraj jako polski poseł w 1483 roku. Kallimach wspominał turnieje oratorsko-poetyckie i gawędy naukowe, które wywarły wielki wpływ na młodego Janusa Pannoniusa. Grzegorz powrócił do Polski w 1451 roku, został arcybiskupem Lwowa i założył w pobliżu miasteczko o nazwie Dunajów, nawiązując w niej do swego pobytu na Węgrzech. Powstał w Dunajowie, wzorowany na węgierskich zwyczajach, pierwszy w Polsce dwór humanistyczny skupiający artystów i uczonych.

Znakomity obraz związków polsko-węgierskich tych czasów dał Paweł z Krosna (ok. 1470-1517), profesor Akademii Krakowskiej, nauczyciel licznych tu Węgrów, a przede wszystkim pierwszy wydawca utworów Pannoniusa. Paweł z Krosna w latach 1508-1511 przebywał za granicą, głównie na Węgrzech, gdzie uzyskał beneficjum za sprawą Gabora Perenyi. Napisał tu wiele dedykowanych mecenasowi utworów. Uświetnił przyjazd obydwu narodów i państw łacińskim poematem na cześć patronów: Węgier — św. Władysława i Polski — św. Stanisława. Choć utwór ten powstał w epoce rozwiniętego już humanizmu, tchnie duchem średniowiecznej hagiografii. Posiada mimo to wysoką wartość ze względu na klasyczną formę literacką oraz głęboko emocjonalną treść patriotyczną.

Paweł z Krosna wydał w 1512 roku w Wiedniu pierwszy tom poezji Pannoniusa i ocalił w ten sposób dzieło najwybitniejszego humanisty węgierskiego. W rok później, w Bolonii, Sebestyén Magyi były uczeń Pawła z krakowskiej wszechnicy i Jan z Wiślicy wydali dalsze utwory wierszem, aż wreszcie w 1518 roku Hieronim Wietor ogłosił w Krakowie nowy zbiór 43 utworów. Rozpowszechniona za sprawą Polaków poezja Pannoniusa wywarła ogromny wpływ na całe pokolenie tego okresu, a w tym kręgu inspiracji artystycznej znaleźli się Andrzej Krzycki, Klemens Janicki i Jan Kochanowski.

Obok wątku literacko-artystycznego poczesne miejsce w stosunkach polsko-węgierskich zajmuje problematyka polityczna. Oto Vitéz, kanclerz, prymas i arcybiskup w Ostrzyhomiu oraz Pannonius biskup w Pécs — dotychczas wierni Maciejowi Korwinowi w realizacji wielu jego

przedsięwzięć politycznych i kulturalnych, przeszli do opozycji wobec polityki czeskiej króla zaniedbującego interesy państwa na południowych jego kresach wciąż niepokojonego przez Turków. Zamierzali oni osadzić na tronie węgierskim Kazimierza, syna Kazimierza Jagiellończyka, co na dworze krakowskim znajdowało poparcie... W końcu września 1471 roku Kazimierz wydał odezwę do Węgrów i poprowadził 12-tysięczną armię na Budę. Poniósł porażkę i cała akcja zakończyła się układami w Nitrze. Spór korwińsko-jagielloński, tym razem o tron czeski, doprowadził do wojny... Bitne i świetnie zorganizowane wojska Korwina zagroziły Krakowowi i zniszczyły znaczny obszar Podkarpacia. Kompromis osiągnięty w Ołomuńcu w 1478 roku zakończył konflikt, z którego zwycięsko wyszli Jagiellonowie, bowiem Władysław Jagiellończyk (znany na Węgrzech jako II. Ulászló) został królem Czech. Po śmierci Macieja Korwina objął tron węgierski, na który w ramach własnych planów dynastycznych Kazimierz Jagiellończyk desygnował był młodszego syna, Jana Olbrachta, i... doszło do bratobójczej wojny! Olbracht popierany przez część magnatów węgierskich dwukrotnie zbrojnie wkraczał na Węgry, aż wreszcie spory załagodził zjazd dynastyczny Jagiellończyków w Lewoczy w marcu 1494 roku i wytyczenie linii polityki polsko-węgierskiej wobec niebezpieczeństwa tureckiego.

Wspomniałem o tych wydarzeniach bo ich konsekwencją było wewnętrzne osłabienie Węgier i zbliżenie z Habsburgami, pomimo że tron pozostawał jeszcze we władaniu potężnych Jagiellonów. Rządy Władysława (zm. w 1516 roku) a następnie Ludwika (na Węgrzech znany jako II. Lajos) nie były pomyślne dla tego kraju. Warto wspomnieć, że inny z Jagiellończyków, Zygmunt, znany potem ze świetnego panowania w Polsce w latach 1506-1548, przebywał na zamku w Budzie w latach 1498-1501 oraz krótko w latach 1502 i 1505. Utrzymywał tu niewielki, 50-osobowy dwór wzorowany na ówczesnych dworach węgierskich. Następstwem pobytu Zygmunta na Węgrzech było jego małżeństwo z Barbarą Zapolya, córką magnata węgierskiego. Mistrzem dworu był Krzysztof Szydłowiecki, który w dobie rządów Zygmunta zgromadził wiele urzędów i godności w państwie polskim. Ten zaufany doradca króla wielokrotnie odbywał podróże na Węgry i był współtwórcą układu w Wiedniu w 1515 roku, który otwierał drogę Habsburgom do sukcesji węgierskiej. Nastąpiło to po śmierci Ludwika Jagiellończyka w bitwie pod Mohaczem w 1526 roku.

Turcy począwszy od 1521 roku wznowili najazdy na południowe granice Węgier i zdobyli szereg twierdz. W obliczu tego zagrożenia niestety nie doszło do pełnej mobilizacji w obronie kraju, jak to bywało w czasach Jana Hunyadiego. Również Zygmunt Stary, pomimo całej sympatii i znajomości spraw węgierskich, wybrał w polityce zagranicznej Polski linię utrzymania pokoju, a nie poparcia Węgier... Spóźniona akcja obronna, w której trzecią część stanowiły wojska polskie, zakończyła się straszliwą klęską i śmiercią króla na polu bitwy, 29 sierpnia, a już 9 września Turcy wtargnęli do Budy i zaczęli pustoszyć dalsze okolice kraju.

W dziejach Węgier zaczynał się okres 150-letniej niewoli tureckiej, poprzedzony rozdarciem wewnętrznym kraju, walką stronnictwa i rywalizacją o tron między Habsburgiem, Ferdynandem I (1526-1564) i Janem Zápolyią (1526-1540).

Polityczne stosunki polsko-węgierskie na przełomie XV-XVI wieku były jak widać odmienne niż w czasach dwóch poprzednich unii personalnych. W tym okresie, pełnym napięć i konfliktów, związki gospodarcze, a szczególnie kulturalne kształtowały się jednak niezmiernie korzystnie i wiązały się z rozkwitem humanizmu i renesansu w obydwu krajach. Owe prądy kulturowe zaczęły dominować na Węgrzech nieco wcześniej niż w Polsce. Właśnie renesansowa kultura wpłynęła na umocnienie świadomości narodowej Węgrów, co było

niezmiernie istotne wobec dramatycznych losów ojczyzny, podzielonej, poróżnionej waśniami wewnętrznymi i klasowymi. Niepoślednią rolę spełniał tu język formowany w tym okresie w słowie pisanym i drukowanym, głównie w kręgu węgierskich studentów w Krakowie i... Polaków.

Oto Jan Honter z Braszowa we wschodnim Siedmiogrodzie, poeta i uczony, współtwórca ruchu reformacyjnego w swojej ojczyźnie, odbywał w Krakowie studia w latach 1530-1532. Ułożona przez niego gramatyka została tu wydana w 1530 roku. Do 1562 roku ukazało się jeszcze 17 nakładów tego dzieła! Inny, Janos Erdösi (Sylwester) był autorem najstarszego druku węgierskiego wydanego w 1527 roku pt. *Colloquia puerilla*, zawierającego teksty łacińskie, polskie, niemieckie i węgierskie. Ułożył też i wydał w 1539 roku pierwszą gramatykę języka węgierskiego. W kręgu humanistów, jak Benedek Komjathy, Andras Nyujtódy, Istvan Szekely i wspomniany już Erdösi dokonany został przekład Pisma św. na język węgierski i wydany w Krakowie. Tu też w 1533 roku ukazał się pierwszy druk czysto węgierski w oficynie Hieronima Wietora, który w dedykacji do tłumaczenia listów św. Pawła dokonanego przez Komjathyego stwierdza z dumą, że dla Węgrów i po węgiersku wydaje tę księgę. Wspomnieć trzeba wydaną w tej oficynie w 1538 roku *Ortographia Ungarica* Matyasa Devai Biró, której druku doglądał Benedek Abadi, późniejszy założyciel oficyny w Ujsziget. Po raz pierwszy w tym druku podano znaki diakrytyczne języka węgierskiego. W tym też czasie Istvan Galszecsi wydał pierwszy śpiewnik węgierski. Tu ukazała się spisana po węgiersku przez Istvana Benedi historia powszechna pt. *Kronika*.

W krakowskich tłoczniach (drukarniach), Jana Hallera, Floriana Unglera, Macieja Scharffenberga, wymienionego już Wietora, a potem jeszcze Macieja Wierzbięty i Łukasza Andrysowicza, często drukowane były książki węgierskie. W latach 1527-1550 wydano tu 24 tytuły w języku węgierskim, co stanowi 44% wszystkich znanych dziś druków w tym języku wydrukowanych do końca pierwszej połowy XVI wieku. Pozostałe teksty powstawały aż w 20 miastach Europy, głównie zachodniej. Rola Krakowa, tutejszego drukarstwa i środowiska kulturalnego Węgrów dla narodzin książki węgierskiej, jest aż nadto widoczna. Powstawały w Krakowie teksty filozoficzne, pisma religijne (katolickie i reformacyjne), kalendarze, gramatyki, słowniki i abecadła. Dokonywał się tu pionierski trud nadania językowi kształtu drukowanego i literackiego. Zapoczątkował się też proces pozyskiwania dla książki drukowanej w języku węgierskim czytelnika przytłoczonego wszechwładnie panującą łaciną, „formował się" język jako „narzędzie" porozumienia i łączności narodowej Węgrów. W tym niezwykłym okresie, gdy w odmętach wojen zaborczych ginęła niepodległa ojczyzna Węgrów, równolegle w ich języku narodowym i książce rodziła się idea łączności i świadomości narodowo-państwowej.

W drugiej połowie XVI wieku wydano w Krakowie już tylko 4 druki węgierskie, ale w tym czasie aż w 29 miejscowościach na Węgrzech pojawiły się drukarnie. Wśród tamtejszych drukarzy spotykamy także Polaków.

Warto wspomnieć, że na życzenie Zygmunta Starego Istvan Brodarics spisał dzieje bitwy pod Mohaczem i zostały one wydane pt. *De conflictu hungarorum cum turcis ad Mohatz verissime descriptio*. Trudno rozstrzygnąć czy za sprawą tego druku, czy innego, zbioru wierszy pt. *Pannoniae luctus*, tematyka węgierska znalazła się w twórczości literackiej i publicystyce politycznej Stanisława Orzechowskiego, Andrzeja Krzyckiego, Jana Dantyszka i Klemensa Janickiego. Tematyki tej dotyczy też anonimowa pieśń drukowana w Krakowie pt. *O posiedzeniu y z zniewolenu żałosnem ziemie węgierskiej*. Ewenementem jednak jest twórczość Adama Czahrowskiego, istnego zagończyka przez ponad 16 lat walk węgiersko-tureckich opodal Eger. Jego *Treny i rzeczy*

rozmaite są barwną relacją o sytuacji narodu węgierskiego i jego zmaganiach z nawałami tureckimi.

Osobny rozdział w kulturalnych związkach tego okresu stanowi pośrednictwo Węgier w przyswajaniu Polsce wzorów włoskich a ściślej florenckich i środkowowłoskich. Ekspansja sztuki włoskiej z Węgier w czasach Zygmunta Starego jest zjawiskiem odciskającym szczególne piętno na wielu budowlach (Wawel!) i detalach architektonicznych, trafiają także do Polski gotowe dzieła sztuki renesansowej. Pominąć je tu trzeba jako nie należące do tematu, ale wypada nadmienić, że wiele wzorów zostało przez polskich budowniczych lub cudzoziemców pracujących w Polsce, pod wpływem naszej tradycji oraz odczuć ideowo-artystycznych, przekształconych i twórczo rozwiniętych. Tak było np. z attyką — wykończeniem zewnętrznym murów w złączeniu z dachem. W Polsce ozdobne sterczyny attyki wzorowano na kształcie buzdyganów i buław bojowych, oznakach stanu rycerskiego i władzy wojskowej. Ten detal architektoniczny „powrócił" na Węgry jako „polskie zakończenie" (lengyel végzödes) i był stosowany w budownictwie dworów obronnych i zamków już w połowie XVI wieku.

Podobnych przykładów przemieszczania się wzorów w różnych dziedzinach sztuki i architektury można przytoczyć o wiele więcej. Pozwala to na uogólnienie — w obydwu krajach traktowano w sposób twórczy elementy kultury renesansu nadając ich uniwersalizmowi kształt narodowy, zgodny z tradycją i dotychczasowym dorobkiem w danej dziedzinie.

Po klęsce pod Mochaczem rywalizowały ze sobą na Węgrzech co najmniej dwie orientacje polityczne: dążenie Habsburgów do zagarnięcia tronu węgierskiego (w myśl układu w Wiedniu z 1515 roku) i dalszych podbojów oraz dążenie „partii narodowej" do ocalenia tronu dla „króla narodowego" i utrzymania niezależności od potężnych sąsiadów — monarchii Habsburgów i Porty Ottomańskiej. W tej rywalizacji czynna była dyplomacja Zygmunta Starego, wspomnieć tu trzeba raz jeszcze postać Krzysztofa Szydłowieckiego i jego liczne legacje poselskie na Węgry i do Wiednia, poselstwa Jana Łaskiego, Piotra Kmity, Macieja Drzewieckiego, Andrzeja Krzyckiego i Jana Wytwińskiego oraz kilkunastu innych a także polską akcję w Konstantynopolu, np. poselstwo Stanisława ze Sprowy Odrowąża. Akcja dyplomatyczna miała charakter mediacji, albo między orientacjami na Węgrzech, albo pomiędzy rywalizującymi o zwierzchnictwo nad Węgrami ich sąsiadami. Jej wyniki były nad wyraz mierne — ani nie zapewniały pokoju, ani spuścizny po węgierskiej linii Jagiellonów.

Węgry podzieliły się na dwa królestwa: wschodnie pod rządami Jana Zápolyi określanego jako „król narodowy" i zachodnie pod panowaniem Ferdynanda Habsburga, pośrodku zaś rozciągała się domena turecka z opanowaną powtórnie w 1541 roku Budą i ustanowionym tu tureckim paszalikiem. Dodać trzeba, że Księstwo Siedmiogrodu obejmujące też północne Węgry a graniczące bezpośrednio z Polską, gdzie władzę z woli Turcji sprawował Jan Zapolya, stanowiło przedmiot polskiego zainteresowania. Wydano za Zápolyę siostrę Zygmunta Augusta, Izabelę Jagiellonkę, która wytrwale, choć bezskutecznie zabiegała u dworu krakowskiego o poparcie dla politycznych planów Zápolyi — zjednoczenia całych Węgier.

Wybitną rolę w realizacji tej koncepcji odgrywał Hieronim Łaski, polityk i dyplomata, wojewoda siedmiogrodzki od 1528 roku. Doprowadził on do korzystnego układu między Zápolyą i sułtanem Solimanem, co zapewniło względną niezależność Siedmiogrodu. Za te zasługi Łaski otrzymał tytuł hrabiego na Spiszu, władzę dożywotnią w żupaństwie spiskim, dobra zamku spiskiego, Kieżmark i Niedzicę na pograniczu z Polską. Wskutek intryg dworskich w kręgu Zápolyi, Łaski został uwięziony, a potem przeszedł na służbę do... Habsburgów. Po śmierci Jana Zápolyi regencję sprawowała Izabela Jagiellonka w imieniu małoletniego Jana Zygmunta Zapolyi. Centrum polityczne Siedmiogrodu w Gyulafehérvar (dziś Alba Iulia w Rumunii) pod jej rządami było ośrodkiem promieniującym pierwiastkami kultury polskiej.

Nauczycielem i wychowawcą Jana Zygmunta był Albertus Novicampianus, profesor Akademii Krakowskiej. W 1581 roku w Krakowie ukazały się wierszowane *Powinności dobrego towarzystwa* autorstwa Jana Gruszeckiego, będące w istocie galerią postaci ponad 60 Polaków z kręgu dworskiego Jana Zapolyi w latach 1559-1571 i opisem panujących tam stosunków kulturalnych i politycznych. Zwraca uwagę rozmaitość religijna Siedmiogrodu związana ze zróżnicowaniem etnicznym ludności, rozmaitość potwierdzona uchwałami sejmu w Torda w 1568 roku, wprowadzającymi pełną tolerancję i równouprawnienie głównych odłamów religijnych ludności Siedmiogrodu: katolicyzmu, kalwinizmu, lutéranizmu i unitarianizmu. Rządy Jana Zápolyi zasłynęły z wielkiej tolerancji, dzięki niej powstały głębokie związki różnowierstwa w Siedmiogrodzie z podobnymi ruchami religijnymi w szlacheckiej Rzeczypospolitej. Innym fragmentem tych związków, w sto lat później, bo w połowie XVII wieku, będzie wychodźstwo Arian z Polski do Siedmiogrodu, spowodowane uciskiem religijnym w Rzeczypospolitej.

Pod rządami Jana Zápolyi uległa umocnieniu pozycja Siedmiogrodu (układ w Spirze w 1571), który stał się „najpewniejszą tarczą węgierskiej niepodległości", jak to określił pierwszy książę Siedmiogrodu Stefan Batory z rodu Somlyó. Tak narodziła się myśl odnowienia unii polsko-węgierskiej po raz trzeci, zrealizowana w 1576 roku wyborem tegoż Batorego na tron Rzeczypospolitej.

Znaczącą rolę w kręgu Batorego spełniał Piotr Zborowski, wytrawny dyplomata, który doprowadził do jego ugody z Gasparem Békesem i zlikwidowania wpływów Habsburgów w Siedmiogrodzie.

Popiersie króla Stefana Batorego, płaskorzeźba z wosku w oprawie z miedzi złoconej, 1586, artysta nieznany.

W tym niezmiernie ciekawym okresie w dziejach Węgier, pomiędzy klęską pod Mohaczem w 1526 roku, a układem w Spirze w 1571 roku wprowadzającym względną stabilizację i okres pokoju, interesująco rysuje się krąg spraw polskich na Węgrzech, które dopełniają obrazu „polskich śladów" w kulturze renesansu węgierskiego. Wybitną rolę spełnili tu drukarze. A był to w owej epoce nie tylko zawód rzemieślnika-przedsiębiorcy, ale humanisty-artysty zarazem, bowiem drukarze byli organizatorami i współtwórcami kultury, literatury narodowej i pionierami w upowszechnianiu języka narodowego. Pośród nich wyjątkowo ceniony jest Walenty Mantskovits, Polak, drukarz w Sempte, a następnie w Vizsoly opodal Miskolca. Tu w 1590 roku wydał Biblię w języku węgierskim, pięknie zdobioną — iluminowaną, uważaną przez znawców przedmiotu za największe osiągnięcie drukarstwa węgierskiego w XVI wieku. Mantskovits wędrował ze swoją drukarnią i wiadomo, że drukował w Detreko i Gönc. Zmarł w 1597 roku.

Osobny jednak rozdział nie tylko w dziejach drukarstwa węgierskiego, ale całej kultury węgierskiej drugiej połowy XVI wieku, stanowi działalność wydawnicza Rafała Skrzetuskiego herbu Jastrzębiec i jego syna Rudolfa. Rafał urodził się w Poznaniu w 1526 roku, skąd około 1550 roku wyjechał do Niderlandów z powodu przekonań, czy też sympatii luterańskich. Krótko potem bawił w Szwajcarii, tu urodził się mu syn Rudolf. W 1555 roku pojawił się już w Wiedniu. Tu, przy rynku zwanym Hof, założył drukarnię i przyjął drugie nazwisko Hoflhalter. Spośród kilku druków, które wydał, wymienić trzeba książki w języku węgierskim, a były to dzieła przeciwnika reformacji, ówczesnego prymasa Miklósa Olaha, który sprowadził na Węgry Jezuitów. Wydał także przekład *Katechizmu* Canisiusa wykonany przez Miklósa Telegti, węgierskie tłumaczenie *Kalendarza Krakowskiego* Petera Bornemiszy i przerobioną przez niego oraz przełożoną na węgierski *Elektrę* Sofoklesa.

Skrzetuski był także znakomitym ilustratorem i rytownikiem, wykonując „czcionki" licznych ozdobników i inicjałów, według wysoce nowatorskich pomysłów. Jego współpracownik Huszar Góla, potem najwybitniejszy wędrowny drukarz węgierski XVI wieku, posługiwał się właśnie rytami — klockami ozdobników wykonanych przez Skrzetuskiego. W 1561 roku założył drukarnię w Debreczynie, którą w 1564 roku objął Skrzetuski.

Debreczyn od 1554 roku podlegał Turcji, ale miasto położone na styku trzech części rozdartego kraju zachowało względną samodzielność i poczęło odgrywać rolę „przekaźnika" treści narodowych. Pierwszym drukiem Skrzetuskiego w Debreczynie był węgierski przekład *Ksiąg królewskich* Starego Testamentu, dokonany przez wybitnego krzewiciela kalwinizmu Meliusa Petera Juhasza. Jest to dzieło niezwykle starannie wydane i zaliczane przez znawców do najpiękniejszych pod względem typograficznym starodruków węgierskich. Skrzetuski wykonał tu obok innych ozdobników piękną rycinę herbu Debreczyna.

Inne, nie mniej znakomite dzieło z tego okresu, to węgierski przekład *Tripartitum* Istvana Verboczyego, wychowanka krakowskiej wszechnicy, który po 1514 roku ułożył w języku łacińskim „zbiór praw" i wydał w 1517 roku w Wiedniu. Dopiero jednak druk Skrzetuskiego przybliżył jego treść społeczeństwu węgierskiemu i przyczynił się do zachowania świadomości narodowej i poczucia łączności rozdzielonego kraju poprzez wspólną, uznaną i przyjętą jako ogólnowęgierska normę prawną. W zasadniczej części prawa publicznego dzieło Verbőczyego dotrwało aż do konstytucji 1848 roku, a w części prawa cywilnego, aż do początków XX wieku (!) i nowożytnego prawodawstwa węgierskiego. Przez te stulecia sięgano do pierwodruku Skrzetuskiego i dzieło to formowało zasady myśli legislacyjnej, stylu i węgierskiego języka prawnego. Pośród ozdobników księgi drukarz umieścił trzy herby: Jana Zygmunta Zapolyi, któremu też dzieło dedykował, bohatera narodowego Ferenca Nemeti, obrońcy twierdzy Tokaj przed Turkami i swój znak rodowy — Jastrzębiec z Wielkopolski... Księga *Tripartitum* była pierwszym świeckim drukiem wykonanym w Debreczynie, czyli i tę tradycję zapoczątkował Skrzetuski.

Wkrótce przeniósł się do Nagyvarad (dziś Oradea w Rumunii) pod protektorat Jana Zygmunta Zapolyi. Wśród druków tu wykonanych należy wymienić wytwornie wydany i ozdobiony kancjonał (śpiewnik) protestancki, prawdopodobnie autorstwa pastora debreczyńskiego Gergelya Szegedi. Skrzetuski był jednym z pierwszych, którzy drukowali nuty do tekstów węgierskich, zaś wspomniany kancjonał był przez dwa wieki wielokrotnie wydawany. W Nagyvarad rozpoczął u boku ojca pierwsze druki Rudolf Skrzetuski, który choć urodzony poza Polską podkreślał z dumą swoje pochodzenie i druki ozdabiał herbem Jastrzębiec.

Około 1566 roku Skrzetuski przeniósł warsztat do Gyulafehérvar (dziś Alba Iulia w Rumunii) ówczesnej stolicy Siedmiogrodu. Wykonał tu kilka druków, ale znanych jest tylko pięć, w tym cztery węgierskie. Trzeba podkreślić, że Skrzetuski założył tu drukarnię i dzięki uniwersalizmowi tej sztuki i znakomitemu wyposażeniu technicznemu warsztatu, już po jego śmierci następcy wydali piękny kancjonał do tekstów w języku starosłowiańskim oraz Ewangelię w języku rumuńskim. Te fakty otwierają nową kartę dziejów drukarstwa w kręgu Skrzetuskich, tym razem w języku narodowym Rumunów i Słowian.

Do wyliczanych zasług Skrzetuskiego dodać trzeba, obok niewątpliwych wartości polityczno-kulturalnych jego druków, że książki z jego warsztatu wyróżniają się wyjątkową starannością języka. Wprowadził do ortografii języka węgierskiego kilka znaków diakrytycznych i konsekwentnie przestrzegał jego reguł gramatycznych i stylistycznych. Przyczynił się w ten sposób do nadania formy literackiej językowi, zaś jako rytownik wykonał na pewno 14 rycin kart tytułowych, herbów, ilustracji i był prawdopodobnie twórcą najstarszych znanych węgierskich... kart do gry.

Działalność Rudolfa Skrzetuskiego jest znana we fragmentach, bowiem podobnie jak ojciec wędrował ze swoim warsztatem. Wiadomo, że drukował w Gyulafehérvar, Nagyvarad lub sąsiednim Abrud. Potem, około 1573 roku pojawia się na przeciwległym krańcu Węgier w Alsólindva (dziś Dolna Lendava w Jugosławii) gdzie wydał trzy książki po węgiersku autorstwa György Kulcsara, opatrzone inicjałami z herbem Jastrzębiec. Następnie drukował w Dravavásarhely (dziś Nedeliśće w Jugosławii) gdzie wydał chorwacki przekład *Tripartitum* Verbőczyego.

Druk ten jest najstarszym zabytkiem języka serbsko-chorwackiego w jego narzeczu kajkawskim i wywarł ogromny wpływ na ukształtowanie się terminologii jurystycznej i stosunków prawno-publicznych na ziemiach Słowian Południowych. Niektóre jego części drukarz wykonał w narzeczu sztokawskim, jakim powszechnie posługiwano się w XV-XVII wieku w Dalmacji. Narzecze to stało się podstawą uformowania literackiego języka serbsko-chorwackiego w XIX wieku.

Nie przetrwały do naszych czasów inne druki Rudolfa — polemiczne pisma religijne zostały zniszczone na polecenie synodu w Zagrzebiu, zaś ich wydawca ratował się ucieczką... Pojawił się w 1576 roku w Debreczynie. Tu ogłosił pierwszy węgierski podręcznik arytmetyki. Działał przez dziesięć lat do początków 1586 roku i wydał w tym czasie 25 książek w języku węgierskim. Tylko na krótko w roku 1584 był w Nagyvarad i tu wydrukował trzy książki.

Działalność wydawnicza Skrzetuskich — Hoflhalterów na Węgrzech przypada na lata 1563-1586. Łącznie wydrukowali około 60 tytułów. Dla porównania dodajmy, że w tych latach na Węgrzech wydano 208 książek. Natomiast w Debreczynie w latach 1561-1570 wyszło 39 druków w języku węgierskim z czego 35 to dzieła z oficyny Skrzetu-

skich. W tym świetle wkład Skrzetuskich do dorobku „złotego wieku" kulturv węgierskiej należy do najwybitniejszych osiągnięć Polaków poza granicami kraju. Dodam, że Skrzetuscy drukowali prawie wyłącznie na papierze sprowadzanym z Polski, o czym świadczą filigrany — znaki wodne młynów papierniczych z kilku polskich wytwórni.

Zebrane tu „polskie ślady" w renesansowej kulturze Węgier, ślady niezmiernie rozmaite, świadczą o bogactwie powiązań polsko-węgierskich. Poświadczają również i tę wielką prawdę, jakze często nieuświadomioną należycie, że idee, których nośnikiem są wytwory myśli i rąk ludzkich zaliczane do „kultury", powstają i trwają pomimo zmienności tendencji politycznych oraz położenia i losów narodu.

Mieczysław Wieliczko

BIBLIOGRAFIA

Źródło: Regi Magyarországi Nyomtatványok 1473-1600, cz. I, Budapest 1971, Gedeon Borsa red. nacz.

Literatura:

Gedeon Borsa: *Rudolphus Hoffhalters Typographie in der Gegend von Mur (ca. -1574)*, W: „Vjesnik Bibliotekare Hrvatske" 1968

Gedeon Borsa: *Raphael Hoffhalter (Skrzetusky)*, W: „Neue Deutsche Biographie", Bd IX, München 1972, s. 388-389

Jan Dąbrowski: *Związki początków i rozwoju odrodzenia w Krakowie z odrodzeniem na Węgrzech*, W: *Krakowskie Odrodzenie*, Kraków 1954, s. 138-157

Wacław Felczak, Andrzej Fischinger: *Polska—Węgry. Tysiąc lat przyjaźni*, Budapeszt-Warszawa 1979.

Studia z dziejów polsko-węgierskich stosunków literackich, pod red. Istvána Csapláros, Warszawa 1968, s. 71-80

Ewa Polak-Trajdos: *Więzy artystyczne Polski ze Śpiszem i Słowacją, od połowy XV do początków XVI wieku. Rzeźba i malarstwo*, Wrocław-Warszawa-Kraków 1970.

Jan Ślaski: *Z działalności drukarzy polskich Skrzetuskich — Hoffhalterów na Węgrzech (1563-1586)*, W: „Odrodzenie i Reformacja w Polsce", t. X, Warszawa 1965, s. 223-258

Luigi Salvini: *Polska w ludowych pieśniach madziorskich*, W. „Lud" 1933, seria II, t. XII, ogólnego zbioru t. XXXII, s. 1-21

Mieczysław Wieliczko, *Polacy na Węgrzech*, Lublin 1977.

przekroje

PAWEŁ J. SMOCZYŃSKI

JEZYK, MORALNOŚĆ I SZCZĘŚCIE POLSKA LITERATURA FILOZOFICZNA W ROKU 1985

Na współczesną filozofię polską można i należy spoglądać z różnych punktów widzenia. Można na przykład z wielkim powodzeniem śledzić rodowód ideowy tej filozofii i na tej drodze dojść do wyrobienia sobie poglądu na temat jej tożsamości i zmian, jakim ona podlegała i podlega w toku swojego rozwoju. Te ostatnie poszukiwania są szczególnie interesujące: ukazują bowiem złożoność i różnorodność filozofii polskiej, w obrębie której nigdy nie ograniczano się do uprawiania jakiejś jednej tylko doktryny, posługującej się jedną lub też rzekomo jedynie prawomocną metodologią. W niedalekiej przeszłości na tym m.in. tle dochodziło do gorących sporów i dyskusji: że przypomnę tylko głośną swego czasu krytykę A. Schaffa pod adresem K. Ajdukiewicza (por. A. Schaff, *O poglądach filozoficznych Kazimierza Ajdukiewicza*, Warszawa 1952), czy wcześniejszą nieco krytykę B. Baczki w stosunku do T. Kotarbińskiego (por. B. Baczko, *O poglądach filozoficznych i społeczno-politycznych Tadeusza Kotarbińskiego*, Warszawa 1951). Z nowszych źródeł tego rodzaju por. książeczkę J. Topolskiego pt. *O dochodzeniu do prawdy w historii*, Warszawa 1971, skierowaną z kolei przeciwko niektórym poglądom A. Schaffa, czy też filipikę J. Tittenbruna pt. *O tzw. nie-marksowskim materializmie historycznym*, Poznań 1984 — pod adresem L. Nowaka.

Zasadniczym problemem w obrębie współczesnej filozofii polskiej, inaczej niż ujmowali to niektórzy autorzy powołanych przed chwilą krytyk, nie jest występowanie wielości różnorodnych postaw i orientacji światopoglądowych. Powiedziałbym nawet, iż jest to stan naturalny. W samym tylko wieku XX trwale obecne są w Polsce i twórczo rozwijane wszystkie niemal nurty myślenia, żywe w światowej filozofii: od neopozytywizmu, fenomenologii, poprzez marksizm, egzystencjalizm, psychoanalizę — aż po najrozmaitsze odmiany filozofii katolickiej. Pozostaje oczywiście do namysłu, jaka jest merytoryczna wartość poszczególnych koncepcji, do jakich — innymi słowy — prowadzą one konsekwencji teoretycznych i praktycznych. Stąd m.in. wynika potrzeba dyskusji. Dzięki temu „ruchowi poznawczemu", nie zaś za sprawą kurczowego trzymania się wyłącznie własnych racji — myśl filozoficzna w ogóle może się rozwijać i tym skuteczniej oddziaływać na otaczającą rzeczywistość. Podstawowym atrybutem owocnej aktywności filozoficznej są oczywiście dzieła ich autorów. Nie wszystkie one, to jasne, w jednakowym stopniu tę aktywność wzbogacają. Za nieprzemijające uchodzą te spośród nich, które ukazują nowe i przy tym niebanalne

perspektywy myślowe, zmuszają do wyboru dróg postępu, utwierdzają pożądane przez człowieka wartości... Obraz współczesnej filozofii polskiej, który niżej zostanie przedstawiony, będzie próbą spojrzenia na jej dorobek przez pryzmat kilku dzieł, które — jestem o tym przekonany — w przeszłości miały niezwykle istotny wpływ na ukształtowanie się i specyfikę tej filozofii i nadal odgrywają w niej doniosłą i twórczą rolę. Chodzi przy tym o dzieła powstałe niekiedy i przed sześćdziesięcioma z górą laty, lecz niedawno wznowione i dostępne szerokiemu ogółowi. Większość z nich, to prace pochodzące z roku 1985: Kazimierza Ajdukiewicza — *Język i poznanie*, Marii Ossowskiej — *Normy moralne. Próba systematyzacji*, Tadeusza Kotarbińskiego — *Medytacje o życiu godziwym* oraz Władysława Tatarkiewicza traktat — *O szczęściu*. Do tego zestawu dołączę jedną jeszcze książkę, wydaną na pożegnanie roku 1984. Są to *Sprawy ludzkie* pióra Jana Szczepańskiego. Ta ostatnia pozycja wyróżnia się nie tylko tym, iż została opublikowana nieco wcześniej, ale i tym także, że jej autor nadal jest wśród nas obecny, jest zatem w pełnym tego słowa znaczeniu pisarzem „współczesnym". Istnieje również powód dodatkowy, bodaj najważniejszy: *Sprawy ludzkie* są, w moim przynajmniej odczuciu, książką wyróżniającą się na tle piśmiennictwa filozoficznego w Polsce w ostatnich kilkunastu latach. Tę opinię postaram się dalej jeszcze krótko uzasadnić.

Powróćmy tymczasem do ustalonego wyżej porządku rozważań. Wszystkie wymienione utwory, co godzi się specjalnie podkreślić, są świadectwem indywidualnego stylu filozofowania ich twórców; w każdym z nich spotkać się można z myślami odkrywczymi, które były takimi w momencie ich powstawania i nadal jako takie są w środowisku filozoficznym dyskutowane. Nasz przegląd zacznijmy od książki Kazimierza Ajdukiewicza pt. *Język i poznanie*. Jest to, jak wiadomo, wznowienie wyboru drobniejszych prac tego autora, które w tej samej postaci ukazały się po raz pierwszy w roku 1960. W tej chwili mam w ręku tom I tego dzieła; tom II pojawi nie na półkach księgarskich zapewne jeszcze przed wydrukowaniem tego artykułu.

Język i poznanie jest tytułem, który chyba najbardziej trafnie charakteryzuje istotę filozoficznych zainteresowań Ajdukiewicza; zwraca on jednocześnie uwagę przede wszystkim na te prace autora, które swego czasu przyniosły mu największy sukces i uznanie: w kraju i na świecie.

Zdaniem Ajdukiewicza język, nie zaś przedmiot badany, odgrywa kluczową rolę w poznaniu. O istocie tedy przedmiotu badanego dowiadujemy się przede wszystkim na podstawie analizy znaczenia wyrażeń, wchodzących w skład zdania naukowego. Stąd też decydujący wysiłek w dziele stworzenia adekwatnego obrazu świata spoczywa na teorii poznania, rozumianej jako analiza języka, jakim uczeni posługują się w badaniach rzeczywistości. Dyscypliny natomiast, które w swoich dociekaniach rozmyślnie wychodzą wprost od przedmiotu i na nim zasadniczo się koncentrują — zdaniem Ajdukiewicza odgrywają w poznaniu jedynie rolę pomocniczą. Charakteryzując z tego punktu widzenia na przykład teorię bytu (ontologię), autor określił jej zadanie jako *dążenie do definicji rzeczowych pewnych terminów opartych na wniknięciu w znaczenie przysługujące tym terminom w języku, z którego je czerpiemy*. W innym miejscu czytamy: *dyscyplina ta* (ontologia — P. J. S.) *zmierza do wyjaśnienia aparatu pojęciowego, którym operuje się w filozofii i w życiu codziennym. Jako taka jest dyscypliną pożyteczną, mającą jednak raczej charakter pomocniczy*[1].

Swoje credo filozoficzne K. Ajdukiewicz zawarł głównie w trzech

[1] Kazimierz Ajdukiewicz: *Zagadnienia i kierunki filozofii. Teoria poznania. Metafizyka*, słowo wstępne: Klemens Szaniawski, Czytelnik, Warszawa 1983, s. 105-106

artykułach, pochodzących z lat trzydziestych, a opublikowanych początkowo w języku niemieckim na łamach czasopisma „Erkenntnis", wydawanego w Wiedniu przez głośną wówczas grupę filozofów spod znaku empiryzmu logicznego, zwanego także potocznie — neopozytywizmem. Są to następujące prace: *Język i poznanie* (1934), *Obraz świata i aparatura pojęciowa* (1934) oraz *Naukowa perspektywa świata* (1935). Wszystkie te rozprawy wchodzą oczywiście w skład aktualnie recenzowanego tomu.

Swój pogląd na rolę języka w poznaniu K. Ajdukiewicz nazwał radykalnym konwencjonalizmem, w odróżnieniu od wcześniejszej koncepcji tzw. „zwykłego konwencjonalizmu" — w ujęciu H. Poincarego. Według tego ostatniego istnieją problemy, których nie można rozwiązać przez odwołanie się do doświadczenia, dopóki nie wprowadzi się pewnej konwencji, gdyż dopiero konwencja ta łącznie z danymi doświadczenia pozwala problem rozwiązać. Sądy, które się na to rozwiązanie składają, nie są nam — jak powiada Poincare — narzucone przez same dane doświadczenia, lecz ich przyjęcie zależy częściowo od naszego uznania, gdyż ową konwencję, która współwyznacza rozwiązanie problemu, możemy dowolnie zmienić i otrzymać w następstwie tego inne sądy. Tę tezę „zwykłego konwencjonalizmu" K. Ajdukiewicz postanowił uogólnić i zradykalizować. *Chcemy tu mianowicie* — jak napisał w artykule pt. *Obraz świata i aparatura pojęciowa* — *sformułować i uzasadnić twierdzenie, że nie tylko niektóre* (jak zakładał Poincare — P. J. S), *ale wszystkie sądy, które przyjmujemy i które tworzą cały nasz obraz świata, nie są jeszcze jednoznacznie wyznaczone przez dane doświadczenia, lecz zależą od wyboru aparatury pojęciowej, przy pomocy której odwzorowujemy dane doświadczenia. Możemy jednak wybrać taką lub inną aparaturę pojęciową, przez co zmieni się cały nasz obraz świata. To znaczy: póki ktoś posługuje się pewną określoną aparaturą pojęciową, póty dane doświadczenia zmuszają go do uznania pewnych sądów. Same te dane doświadczenia nie zmuszają go jednak bezwzględnie do uznania tych sądów. Może on bowiem obrać inną aparaturę pojęciową, na gruncie której te same dane doświadczenia nie zmuszą go więcej do uznania owych sądów, gdyż w nowej aparaturze pojęciowej te sądy w ogóle już nie występują.*

Taki był, w najkrótszych słowach, sens najważniejszej koncepcji filozoficznej K. Ajdukiewicza. Radykalny konwencjonalizm spotkał się u nas z ostrą krytyką, zwłaszcza ze strony środowiska filozofów marksistowskich.[2] Natomiast próbę pogodzenia poglądów Ajdukiewicza z marksizmem podjęła w naszej literaturze M. Kokoszyńska.[3] Sam Ajdukiewicz odstąpił z czasem od głoszenia stanowiska skrajnego konwencjonalizmu, przypisując językowi rolę skromniejszą w poznaniu.

Język i poznanie, poza fragmentarycznie tu omówioną koncepcją radykalnego konwencjonalizmu oraz ściśle z nią powiązaną teorią dyrektywnego znaczenia wyrażeń językowych (z braku miejsca w ogóle tutaj pominiętą) zawiera ponadto cały szereg znakomitych prac. Do nich należą: rozprawa *O pojęciu dowodu*, pierwsza polska praca z zakresu metodologii nauk dedukcyjnych, napisana pod wpływem logiki matematycznej; następnie pionierska rozprawa pt. *Założenia logiki tradycyjnej*, stawiająca sobie za zadanie znalezienie tych uzupełniających założeń i tych modyfikacji reguł dowodzenia, które trzeba wprowadzić do rachunku kwantyfikatorów, aby z niego wywieść całokształt twierdzeń tradycyjnej sylogistyki, zarówno pozytywnych, jak i negatyw-

[2] Por. cytowaną w tekście rozprawkę Adama Schaffa pt. *O poglądach filozoficznych Kazimierza Ajdukiewicza*, Warszawa 1952, s. 133. Por. także odpowiedź K. Ajdukiewicza na tę krytykę pt. *W sprawie artykułu prof. A. Schaffa o moich poglądach filozoficznych*, „Myśl Filozoficzna", nr 2(8), 1953, s. 292-334

[3] Por. Maria Kokoszyńska: *O niektórych osiągnięciach Kazimierza Ajdukiewicza w zakresie logiki, metodologii nauk i filozofii*, „Studia Filozoficzne" 1965, nr 1, s. 10-11.

nych, które zaprzeczają ogólnej ważności pewnych trybów. Dwie inne rozprawy zamieszczone w recenzowanym wyborze i traktujące o definicji znalazły się w nim jako ilustracja pewnego sposobu uprawiania metodologii opisowej, który to sposób autor później rozbudował i przedstawił pod postacią programu tzw. metodologii rozumiejącej.

Studium *W sprawie uniwersaliów* oraz obszerna recenzja z *Elementów teorii poznania, logiki formalnej i metodologii nauk*, T. Kotarbińskiego zostały przez autora umieszczone jako ślad jego polemiki z tezami tzw. reizmu, głoszonego przez Kotarbińskiego i Leśniewskiego, a będącego pewną wersją nominalizmu. Polemika ta wpłynęła, zdaniem Ajdukiewicza, na złagodzenie pierwotnej wersji tej doktryny, która z tezy ontologicznej zmieniła się na tezę zalecającą pewien sposób budowania języka.

Godna wnikliwej lektury jest również rozprawa pt. *Problemat transcendentalnego idealizmu w sformułowaniu semantycznym*. Zawiera ona zwrócenie uwagi na to, że istotnym źródłem tzw. idealizmu obiektywnego, w niektórych przynajmniej jego postaciach, jest pomieszanie pojęć prawdy i tezy (przez tezę języka autor rozumie zbiór zdań, do uznania których prowadzą reguły znaczeniowe tego języka). Sztandarowe twierdzenie obiektywnego idealizmu, formułowane zazwyczaj w słowach, że świat jest korelatem ducha obiektywnego, nabiera dopiero — według Ajdukiewicza — wyraźnego sensu, gdy się je przetransponuje na płaszczyznę semantyczną, wypowiadając w słowach, iż zdania prawdziwe to tyle, co zdania usankcjonowane przez normy, których całokształt nazywa się duchem obiektywnym. Znalazłszy w języku semantycznym uchwytne sformułowanie dla jednej z najmniej jasnych doktryn filozoficznych (odpowiedniej doktryny Rickerta) i metodę pozwalającą doktrynę tę obalić, autor zaleca i szkicuje w swej rozprawie program tzw. semantycznej teorii poznania.

Od zagadnień teorii poznania, logiki formalnej i metodologii nauk przyjdzie nam teraz zwrócić się ku problemom jak najściślej związanym z moralnością i zasadami jej naukowego ujmowania. Niezrównanym mistrzem w rozwiązywaniu tej problematyki była u nas prof. Maria Ossowska, autorka szeregu fundamentalnych dzieł z dziedziny określanej przez nią jako nauka o moralności. Mamy oto przed sobą jedną z ostatnich jej książek, wydanych za życia Uczonej. Są to *Normy moralne. Próba systematyzacji*. Tę pracę poprzedziły inne, w których czytelnik znajdzie gruntowny wykład głównych pojęć z zakresu nauki o moralności, a także pewną koncepcję uprawiania tej dyscypliny, od początku opracowaną przez autorkę i następnie skrupulatnie realizowaną w kolejno wydawanych książkach[4].

By chociaż częściowo przybliżyć czytelnikowi to, co istotne dla ewentualnej analizy i oceny *Norm moralnych*, należy odwołać się do wcześniejszych nieco ustaleń autorki, wyłożonych zwłaszcza w *Podstawach nauki o moralności*. Powiada się tam m.in., iż zajmowanie się zjawiskami moralnymi (poprawne z metodologicznego punktu widzenia) jest możliwe pod warunkiem precyzyjnego odróżniania dwu różnych kategorii i odpowiadających im dwu różnych postaw. Tymi kategoriami są z jednej strony pojęcie opisu, z drugiej zaś — pojęcie oceny. Odpowiadają im z kolei, jak powiedzieliśmy, dwie postawy: postawa badacza moralności — jako beznamiętnego obserwatora zjawisk moralnych, ograniczającego się w swoich czynnościach wyłącznie do opisu oraz postawa moralisty, a więc współtwórcy przekonań moralnych, czyli — innymi jeszcze słowy — człowieka nie stroniącego od wypowiadania ocen moralnych i w ten sposób przyczyniającego się do konstytuowania nowej moralności lub też utwierdzania moralności zastanej. Naukowe znawstwo zagadnień moralności nie musi być, zdaniem M. Ossowskiej, całkowicie wolne od prób jawnego lub ukrytego wartościowania. *Możemy spotkać się z oceną w nauce o moralności* — pisała w *Podstawach* — *ale tylko w charakterze przedmiotu badania*.

Sąd powyższy, tak bardzo kategoryczny, uczona uzasadniała tym, iż ani ocen, ani norm moralnych (w tym również prawnych, estetycznych etc.) nie można uzasadniać, odwołując się do logicznych kryteriów prawdy i fałszu, a także tym, iż niepodobna sensownie wnioskować o faktach na podstawie ocen lub norm i odwrotnie. Ten punkt widzenia naraził Ossowską na ostrą krytykę, moim zdaniem nie w pełni zasłużoną.

Wzmiankowane przed chwilą rozróżnienie opisu i oceny dało także autorce powód do jasnego przeciwstawienia dwu pojęć, notorycznie mieszanych. Jest to pojęcie nauki o moralności oraz pojęcie etyki. Mianem nauki o moralności określa Ossowska dyscyplinę, której zadaniem jest niewartościujący opis faktów moralnych, w opozycji do etyki, a więc tej dziedziny, w której mówienie o tym, co z moralnego punktu widzenia być powinno lub nie powinno — jest regułą.

Wielką zasługą Ossowskiej nie było tylko zaproponowanie pewnych konwencji pojęciowych, umożliwiających bezbłędne porozumienie w sprawach moralności. Za tymi konwencjami, zwłaszcza zaś za kategorią „nauka o moralności", kryją się olbrzymie dokonania autorki. Uczona ta de facto stworzyła cały system dyscyplin, wyczerpujących — jej zdaniem — naukową problematykę moralności. Do nich należą: metaetyka, dociekająca filozoficznych aspektów zjawisk moralnych, następnie psychologia moralności, socjologia moralności oraz historia moralności. Dyscypliny te, znane już wcześniej badaczom (poza socjologią moralności, która była pionierskim pomysłem M. Ossowskiej) zostałyjednak przez autorkę od nowa zaprojektowane i wypełnione niezadko oryginalną treścią. Potwierdzeniem tego są dzieła uczonej (por. przypis nr 4), biorące sobie kolejno za przedmiot drobiazgowe opracowanie poszczególnych dziedzin.

Jakie teraz miejsce względem wymienionych dyscyplin oraz postulowanego sposobu ich uprawiania zajmują *Normy moralne*. Jest to miejsce szczególne. Jest takim dlatego, iż spotykamy się w tej książce niemal ze wszystkimi z dotychczas omówionych ujęć moralności. Są tam, obok wielkich syntez historycznych, wnikliwe analizy z zakresu psychologii i socjologii moralności; są również refleksje filozofa, porządkujące i pouczające, jak należy poprawnie interpretować ten olbrzymi i wielowątkowy materiał (por. zwłaszcza rozdział I pt. *Ogólne uwagi o wartościowaniu*). Jest w tej książce także jeden ustęp, w którym autorka ustosunkowuje się do swoich wcześniejszych dokonań. Brzmi on następująco: *Podczas gdy w innych pracach akcentowałam wyraźnie, że zajmuję się opisywaniem i wyjaśnianiem zjawisk moralnych, a nie formułowaniem przepisów, w tej książce, choć dominuje w niej całkowicie materiał opisowy, pozwalałam sobie wyrażać swobodniej swoje sympatie i antypatie. Nie jest zresztą łatwo tego uniknąć, gdy się operuje językiem o terminach zabarwionych emocjonalnie, a takim wszak jest język, w którym wypowiada się myśl moralna*. Ustęp ten był swego czasu interpretowany jako gotowość autorki do zminimalizowania wymogów

[4] Podaję tylko główne dzieła (według pierwszych wydań, z pominięciem wznowień i przekładów): *Podstawy nauki o moralności*, Czytelnik, Warszawa 1947 (książka została wydana w Szwecji jako dar Rządu Szwedzkiego dla odbudowy kultury w Polsce); *Motywy postępowania. Z zagadnień psychologii moralności*, KiW, Warszawa 1949; *Moralność mieszczańska*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Łódzkie Towarzystwo Naukowe, Łódź 1956; *Sociologia moralności. Zarys zagadnień*, PWN, Warszawa 1963; *Myśl moralna Oświecenia angielskiego*, PWN, Warszawa 1966, *Normy moralne. Próba systematyzacji*, PWN, Warszawa 1970; *Ethos rycerski i jego odmiany*, PWN, Warszawa 1973, *O człowieku, moralności i nauce. Miscellanea*, PWN, Warszawa 1983 (wydanie pośmiertne zawierające, poza książkami, zbiór wszystkich drobniejszych prac autorki pod red. Marii Ofierskiej i Marii Smoły, z *Posłowiem* Krzysztofa Kicińskiego. W *Miscellaneach* zawarta jest także najnowsza *Bibliografia prac naukowych Marii Ossowskiej* (w opracowaniu M. Smoły), obejmująca 196 pozycji opublikowanych za życia autorki

dotyczących jej koncepcji nauki o moralności, rozumianej jako niewartościujący opis zjawisk moralnych.[1] W moim natomiast przekonaniu taka interpretacja jest chybiona, a nawet myląca. Nie rozgranicza wszak ona dwu różnych spraw: czym innym jest mianowicie opisywanie zastanych zjawisk moralnych, a czym innym osobisty (oceniający) stosunek do nich. Ossowska nie zajmuje się (nie opisuje) w swojej książce własnych nastawień moralnych, lecz cudze; nie sugeruje również, jakoby każdorazowa interwencja badacza z zasady musiała pociągać za sobą zmianę charakteru opisywanego zjawiska, zmianę tak daleko idącą, iż podważającą w ogóle sensowność naukowego (a więc obiektywnego) opisu moralności. Tyle tytułem polemiki w tej wcale nie oczywistej sprawie, wymagającej dla pełnego jej zobrazowania dodatkowych jeszcze rozważań, na które tutaj nie ma już miejsca.

Z pewnością bardziej interesująca, aniżeli rozważania metodologiczne, będzie dla czytelnika prezentacja zawartości recenzowanej książki. Jest ona poświęcona usystematyzowaniu ogromnej dziedziny, jaką jest rozległa sfera moralności i terytoria z nią styczne. W kilkunastu rozdziałach, z których każdy dotyczy jakiejś rzeczowo wyodrębnionej grupy norm, autorka ukazuje złożoność i różnorodność zjawisk moralnych i zmiany, jakim zjawiska te podlegają w rozwoju historycznym. Ta praca porządkująca, do której sama uczona miała stosunek jak najbardziej krytyczny, jest nie tylko pierwszą tego rodzaju próbą w literaturze przedmiotu, ale ma ona również nieocenione znaczenie praktyczne: dać może każdemu z nas rzetelną orientację w gąszczu problemów i zagadnień, które dotychczas rozpoznawaliśmy jedynie po omacku.

Od subtelnych i wyrafinowanych analiz Marii Ossowskiej przejdźmy obecnie do moralistyki Tadeusza Kotarbińskiego. Mowa o zbiorze jego esejów, objętych wspólnym tytułem: *Medytacje o życiu godziwym*. W książce tej dominuje, jak powiedzieliśmy, ton moralizatorski, związany z próbą odpowiedzi na pytanie: „co robić, a czego nie robić" lub też „jak żyć, by zasłużyć na szacunek ze strony ludzi godnych szacunku".

W koncepcji etyki T. Kotarbińskiego, inaczej niż było to w przypadku prac M. Ossowskiej, ceni się w pierwszym rzędzie starania o wyrobienie w czytelniku pożądanej postawy moralnej, na plan dalszy odsuwając zadania ściśle teoretyczne. Nie znaczy to jednak, by *Medytacje* zupełnie były pozbawione treści odnoszących się do rozumienia etyki. Te treści również torują sobie drogę, aczkolwiek w stopniu bardzo zminimalizowanym, podporządkowanym jedynie tym poglądom i tym preferencjom, które autor uznał za odpowiednie przede wszystkim dla siebie samego.

Zacznijmy od zapoznania się z uwagami T. Kotarbińskiego dotyczącymi struktury etyki. Ta rozpada się, zdaniem autora, na trzy działy: felicytologię, prakseologię oraz etykę właściwą. Pierwszy dział dotyczy zagadnień szczęścia, drugi sprawności, trzeci — sumienia. Etyka w szerszym tego słowa znaczeniu, „ogólna postulowana mądrość życiowa", obejmuje wszystkie te działy. Etyka natomiast rozumiana nieco węziej pozostawia poza swoim zasięgiem kwestie sprawnościowe, przekazując je osobnej dyscyplinie, zwanej potocznie teorią dobrej roboty, sama zaś ogranicza się do spraw szczęścia i spraw sumienia. Etyka wreszcie rozumiana najwęziej skupia się na problemach niepokojących sumienie.

Zaprezentowany wyżej pogląd autora na strukturę etyki budzić może szereg wątpliwości. Włączenie do etyki felicytologii, nagminnie praktykowane przed wiekami (por. np. pomysły Platona, stoików, Kanta i in.) nie jest uzasadnione w obliczu doświadczenia: dobro nie zawsze wszak prowadzi do szczęścia, szczęśliwy zaś człowiek nie zawsze jest człowiekiem dobrym. Podobnie z prakseologią, której związki z moralnością są godne podkreślenia, jednakże niepodobna, bez ryzyka o nieporozumienie, kojarzyć ocen sprawnościowych z ocenami moralnymi: prakseologii zależy bowiem na tym, by ludzkie działania były przede wszystkim skuteczne, co wcale jeszcze nie gwarantuje, iż czyn skuteczny jest (musi być) zarazem czynem moralnie czcigodnym. Z tych ważkich względów zdecydowanie opowiadam się za uniezależnieniem etyki od felicytologii i prakseologii. To wszystko oczywiście nie przeszkadza w akceptowaniu postulatu, już typowo moralnego, żądającego podporządkowania dyrektyw pozamoralnych, płynących np. z prakseologii, ale nie tylko, bo równie dobrze z polityki, prawa, religii etc. — dyrektywom moralnym, uważanym w danej chwili za nadrzędne, bardziej wartościowe (w tym sensie, iż cel nie zawsze na przykład uświęca użyte do jego osiągnięcia środki). Ślad zbliżonego rozumowania znajdujemy również w recenzowanej pracy pod postacią hasła tzw. moralizmu. Teza merytoryczna tego poglądu brzmi następująco: *Sumienie (...) domaga się dla siebie wyróżnionego respektu i żąda, by nie przedsiębrać nic, za co by sprawcę miała spotkać słuszna etyczna pogarda, taką zaś oceną sumienie piętnuje działania przeciwne motywacji i trybowi życia wiernych towarzyszy, niezawodnych przyjaciół, spolegliwych opiekunów.*

W teorii etycznej T. Kotarbińskiego ideą wiodącą jest problemat tzw. etyki niezależnej. Moim zdaniem ta idea nie jest wolna od paradoksów. Ich źródłem są niespójne konstrukcje autora, w których etykę raz z jakichś względów od czegoś, nie mającego wiele wspólnego z istotą oceny etycznej, się uzależnia (np. od prakseologii, czy felicytologii), innym zaś razem mówi się o jej niezależności od religii, filozofii, światopoglądu w ogóle. Ta ostatnia kwestia znajduje w *Medytacjach* oświetlenie w utworze zamykającym tę książeczkę pt. *Zagadnienia etyki niezależnej*.

Termin „niezależność", odnoszony do etyki, nie jest przez T. Kotarbińskiego nigdzie zdefiniowany. Autor używa tego wyrazu w zwykłym jego znaczeniu — jako wskazującego na to, co „nie należy do rzeczy" (por. s. 156).

Zdaniem autora etyka nie ma nic wspólnego z przekonaniami natury religijnej lub bardziej precyzyjnie: wskazań etyki nie można sensownie (tj. racjonalnie) uzasadniać, powołując się na istnienie Opatrzności, będącej rzekomo źródłem obowiązywania wszelkich ocen i norm moralnych. Podobnie z najogólniejszą kategorią światopoglądu: wskazania etyki nie mają nic wspólnego z tym, czy ktoś deklaruje się np. jako idealista, czy jako materialista etc.

Poglądy T. Kotarbińskiego w kwestii niezależności etyki mogą być i są różnie interpretowane. Te interpretacje nie biegły zwykle po myśli autora, czego jednym z powodów była niedookreśloność całej tej koncepcji. Badacz odnośnej teorii nie wie bowiem od początku, czy twórcy etyki niezależnej szło o to, że moralność jest (ma być) traktowana jako twór czysto autonomiczny (perspektywa poniekąd absurdalna — P. J. S.), czy też, że etykę należy ujmować pod kątem pewnych tylko założeń filozoficznych (np. z punktu widzenia założeń filozofii materialistycznej), inne zaś założenia należy programowo odrzucić — jako niezgodne z prawdą naukową o moralności. W całokształcie poglądów etycznych T. Kotarbińskiego ta ostatnia interpretacja jest, wedle mojego rozeznania, najbliższa temu, co autor rzeczywiście i w sposób komunikatywny o moralności powiedział.

Nie na tym wszelako spór się kończy. Ktoś mógłby nawet zasadnie argumentować (zasadnie, ponieważ wieloznaczne są teksty etyczne samego T. Kotarbińskiego), że piszące powyższe mnożymy same tylko nieporozumienia. Być może jest tak — co sugeruje nam zresztą autor etyki niezależnej — że moralność jest niezależna od religii, filozofii etc.

[1] Por. Ija Lazari-Pawłowska, *Maria Ossowska jako badacz moralności*, „Studia Filozoficzne" 1975, nr 12, s. 101 i nast.

w tym znaczeniu, iż dla rozstrzygnięcia, co jest czcigodne, a co haniebne — nie potrzebujemy się odwoływać do jakichkolwiek autorytetów, poza autorytetem własnego sumienia. Jest to, naszym zdaniem, nawet rozsądna perspektywa interpretacyjna, jednakże — już z innej strony patrząc — w ogóle podkopuje ona sensowność mówienia o niezależności etyki. Nie ma bowiem potrzeby tworzenia etyki z przymiotnikiem „niezależna", skoro z góry wiadomo, że nie istnieje taki obszar, od którego etykę można by było uzależnić! A jeśli tak jest istotnie, lepiej już mówić o etyce „po prostu" (czyli bez przymiotnika), nie narażając się na kłopoty, w gruncie rzeczy — jak ustaliliśmy — pozorne, ze słowem „niezależność".

Problemat niezależności jest tym, który od kilkunastu już lat wywołuje najwięcej dyskusji i kontrowersji w związku z etycznymi poglądami profesora Tadeusza Kotarbińskiego. Mając to na względzie autor czuje się usprawiedliwiony, poświęcając w nocie recenzyjnej więcej miejsca temu wciąż aktualnemu zagadnieniu.

Czwartą z wydanych u nas ostatnio książek, którą chcemy się tutaj zająć, jest dzieło Władysława Tatarkiewicza pt. *O szczęściu*. Autor jest wielkością szczytową nie tylko w skali współczesnej polskiej filozofii, ale w całym kulturalnym świecie. W Polsce widzi się w nim przede wszystkim historyka idei, przemawiającego — wedle potocznego wyobrażenia — głównie w cudzym imieniu, najmniej dając od siebie. Jest to oczywiste nieporozumienie. Kłam temu przekonaniu zadają wszystkie bez wyjątku prace Tatarkiewicza; widoczne jest to również, chociaż w najmniejszym chyba stopniu dostrzegane i podkreślane — w jego traktacie *O szczęściu*.

Udostępniając swoje dzieło jego autor w *Przedmowie* napisał: *Traktatów o szczęściu jest (...) wiele. Ale ogromna ich większość zajmuje się nie nim samym, lecz sposobami osiągnięcia go, a najczęściej tylko jakimś jednym sposobem, zalecanym jako najskuteczniejszy czy jedyny skuteczny. Jest to istotnie zagadnienie praktycznie najważniejsze; ale teoretycznie nie jest zasadnicze, jest tylko jednym z bardzo wielu zagadnień dotyczących szczęścia. W rozległej literaturze o szczęściu z tych paru tysięcy lat nie ma naprawdę książki, która by objęła całokształt jego zagadnień i zestawiła ich rozwiązania. Pełna książka o szczęściu nigdy nie była jeszcze ogłoszona, rzecz prawie nie do wiary wobec tego, że istnieje tyle książek o sprawach mniej dla ludzi doniosłych. Chciałbym aby taką książką była niniejsza, aby przynajmniej w zarysie zestawiła to wszystko, co obiektywnie można powiedzieć o szczęściu, aby nie ograniczała się do jednego zagadnienia, choćby było najważniejsze, ani do jednej koncepcji, choćby wydawała się ze wszystkich najtrafniejsza, ani do jednego sposobu na szczęście, choćby wydawał się najskuteczniejszy. Chciałbym, aby to była „Summa de beatitudine", jak by taką książkę nazwano w średniowieczu, ale jakiej i wówczas nie napisano.*

Główną przeszkodą w zajmowaniu się w sposób pogłębiony problematyką szczęścia jest, zdaniem Tatarkiewicza, wieloznaczność jego pojęcia. W kulturze europejskiej znane są i rozpowszechnione co najmniej cztery pojęcia szczęścia: 1. jako powodzenie lub pomyślność, 2. jako stan intensywnej radości, 3. jako największa miara dóbr i 4. jako zadowolenie z całości życia. Pojęcia te, przy rozmaitych ujęciach, częściowo się pokrywają, są utożsamiane, są one wreszcie w różnych zakresach sobie przeciwstawiane. Zbudowanie w oparciu o tę całość jakiegoś jednego, spójnego pojęcia szczęścia nie jest, w przekonaniu autora, ani możliwe, ani też celowe. Jak tedy w obliczu tej sytuacji postępuje Tatarkiewicz? Tenże, powodując się zarówno względami historycznymi, jak również rzeczowymi, postuluje skoncentrować uwagę na czwartym z wyróżnionych wyżej pojęć szczęścia, z nim wiążąc jego istotę. Trzy pozostałe dotyczą, zdaniem uczonego, rzeczy nie tylko dających się zasadnie oddzielić, ale i nazwać. Oddzielać je należy chociażby ze względu na to, że zwykle wszystkie one ze sobą stale nie

współwystępują, ani też w sposób konieczny nie warunkują się (można być bowiem na przykład posiadaczem upragnionych dóbr i nie odczuwać z tego powodu radości; można również cieszyć się powodzeniem, świadomie żyjąc jednocześnie w ubóstwie materialnym lub duchowym etc. etc.). Te trzy pojęcia szczęścia, tak trudno dające się uzgodnić, mają też — jak już zaznaczyliśmy — na swoje określenie dobrze w tradycji ugruntowane nazwy („powodzenie", „wielka radość", „eudajmonia"), sankcjonujące ich odrębność, a co za tym idzie — także pewną ich autonomię. Słusznie więc będzie, rozumuje Tatarkiewicz, z już istniejących konwencji skorzystać i nazwać „szczęściem" to, co nie jest synonimem ani „powodzenia", ani „radości", ani „przyjemności". Nie znaczy to oczywiście, iż wymienione przed chwilą kategorie nie mają żadnych zgoła terytoriów stycznych ze szczęściem, pojętym jako zadowolenie z całości życia. Te powiązania są obecne, a ich uwidocznieniu W. Tatarkiewicz poświęca w swojej książce niemało uwagi.

Traktat *O szczęściu* pióra Władysława Tatarkiewicza jest dziełem w pełni oryginalnym, w którym obok bogactwa źródeł historycznych, znalazło się także miejsce dla własnej myśli autora, myśli przy tym nie drugo- lub trzeciorzędnej, lecz decydującej o profilu i charakterze całej książki. Można powiedzieć w tym miejscu jeszcze więcej: można mianowicie przypisać Tatarkiewiczowi zasługę przyswojenia naszej kulturze nowożytnego (i zarazem nowoczesnego) pojęcia szczęścia: skoro bez jego dzieła nadal bylibyśmy skazani w tej dziedzinie na dezorientację i niewolniczą zależność od poglądów tradycyjnych, w wielu swoich przejawach dalekich od doskonałości.

Ostatnią wreszcie książką, na którą chciałbym zwrócić czytelnikom uwagę oraz gorąco zachęcić do jej przeczytania i przemyślenia, jest zbiór esejów wybitnego filozofa i socjologa — prof. Jana Szczepańskiego. *Sprawy ludzkie*, bo taki tytuł nosi ta praca, to utwór pod wieloma względami niezwykły. Mimo iż został spisany ręką uczonego, nie jest dziełem naukowym w utartym znaczeniu tego słowa: nie obejmuje spójnego i wyczerpującego zestawu zagadnień, nie realizuje jednolitych założeń metodologicznych lub filozoficznych, nie zawiera w końcu złożonej i tak bardzo charakterystycznej dla traktatów naukowych — aparatury. Należałoby właściwie powiedzieć jeszcze dosadniej: jest to książka o nastawieniu wręcz „antynaukowym" i „antyfilozoficznym". Jest taką niejako programowo, albowiem pragnie ujmować sprawy człowieka w sposób z góry nie uprzedzony żadnymi poglądami, żadną tradycją, jakimkolwiek jednoznacznie określonym światopoglądem... Sam autor powiedział o swojej książce, iż: *Nie stawia żadnych wyraźnych tez, a tylko stawia pytania dotyczące życia ludzkiego i idzie torem myśli nasuwających się chaotycznie, wręcz rozpaczliwie wijących się w sprzecznościach i rozważaniach nie uporządkowanych, tak, jak to się dzieje w umyśle człowieka, który siedząc w tramwaju w porannej drodze do pracy, jeszcze na wpół senny, puszcza wodze myślom snującym się same według własnych praw skojarzeń, sprawdzeń podświadomych, zakamuflowanych życzeń i marzeń o pożądanym stanie rzeczy.*

W *Sprawach ludzkich* J. Szczepański podejmuje ważkie problemy, nurtujące każdego człowieka i przez każdego — tak lub inaczej — doznawane i przeżywane. A oto tytuły poszczególnych esejów: *Cierpienie, Osamotnienie i samotność, Obraz samego siebie, Inny człowiek, Człowieczeństwo, Głód, Podróż, Sfera irracjonalności, Wyobraźnia, Wiara, Zmęczenie, Obojętność, Obłuda, Pogarda, Rozgoryczenie, Świat wewnętrzny i zło, Mądrość, Nadzieja i złudzenia, Starość, Życie, Los* i *Wartość człowieka*.

Wymienione utwory powstawały jako niezależne całości, bez specjalnych zabiegów o spójność wywodów i wieńczących je wniosków końcowych. Istnieje jednak pewien klucz, przy pomocy którego rozprawki te można kolejno studiować, mając świadomość, iż obcuje się z materiałem mimo wszystko zorganizowanym według spójnej zasady

lub idei naczelnej. Tym ogniwem scalającym jest w każdym przypadku osobowość twórcy tych esejów, ukształtowana przez zmieniające się okoliczności i warunki jego życia lub działania. *Eseje te zrodziły się* — jak czytamy w odautorskim wstępie — *z przemyśleń po życiu długim, spędzonym co najmniej w czterech różnych systemach politycznych, po pracy w rolnictwie przez długie lata młodości (ciągle uważam, że pasienie krów jest dobrym przygotowaniem do życia refleksyjnego), po kilku latach pracy w fabrykach niemieckich i po wielu latach pracy na bardzo różnych stanowiskach kierowniczych, wykonawczych, w bardzo zróżnicowanych instytucjach naukowych, społecznych, politycznych i gospodarczych...*

Poglądy J. Szczepańskiego, zawarte w recenzowanej książce, jednoznacznie kwalifikuję jako próbę filozofii człowieka. Mniejsza w tej chwili o precyzję, z jaką ta próba została przedstawiona. Z jej „braków" (formalnych i merytorycznych) autor doskonale zdaje sobie zresztą sprawę, świadomie odkładając na plan dalszy szczegółowe dopracowanie poszczególnych elementów swojej teorii (por. s. 7). Stan jej obecny pozwala już jednak na ustosunkowanie się do zasadniczych tez i proponowanych rozstrzygnięć.

Zdaniem J. Szczepańskiego, człowieka ujmować należy jako istotę „trójwymiarową". Na te wymiary, w różnym stopniu ze sobą powiązane, składają się:

1. *Świat wewnętrzny człowieka,*
2. *Świat zewnętrzny człowieka* oraz
3. *Tzw. świat „między".*

Spróbujmy teraz krótko scharakteryzować te poszczególne „wymiary" i ustalić ich znaczenie.

Ad. 1. *Świat wewnętrzny człowieka.* Wbrew potocznym przekonaniom „rzeczy" najważniejsze dzieją się i pochodzą ze świata wewnętrznego. Nie wszyscy ludzie, i to jest swoista trudność, w ogóle uświadamiają sobie istnienie tego obszaru świata wewnętrznego; egzystencja większości przebiega de facto poza tym światem, z dala od jego problemów i możliwości, z dala także od jego radości i smutków. Czymże jest ten świat, gdzie on istnieje i na czym polega jego wartość? Nielatwo jest udzielić lakonicznej odpowiedzi na te wszystkie pytania. Jeszcze trudniej przychodzi identyfikować poszczególne człony tych odpowiedzi, odnosić je do siebie samego i innych ludzi; badać zakres i głębię używanych do tego celu pojęć. Ograniczymy się zatem tylko do odpowiedzi prowizorycznych, resztę pozostawiając uważnej lekturze i osobistemu namysłowi.

Zdaniem J. Szczepańskiego świat wewnętrzny człowieka posiada najzupełniej własny i specyficzny fundament bytowy: nie jest elementem czegokolwiek lub kogokolwiek istniejącego na zewnątrz nas, jest bytem, jak można byłoby powiedzieć — tylko „w sobie i dla siebie" się określającym, zamkniętym przed wszystkim. Na oznaczenie tego świata psychologowie używają terminu „ja" osobowe lub też „indywidualność". Dla Szczepańskiego owo „ja" ma charakter „czysty", absolutnie prywatny i niepowtarzalny. Świat wewnętrzny jest tutaj rozumiany jako zbiór wyobrażeń o sobie samym i o tym, czym się jest w swojej istocie, niezależnie od tego, co ludzie o nas myślą. Jest to świat ustalonego porządku, nie stanowiący odbicia świata zewnętrznego, świat „poza działaniem i dążeniem", gdzie już nic i nikt poza nami naprawdę się nie liczy.

Istnienie wewnętrznego świata człowieka jest źródłem i warunkiem sensu: sensu bycia i sensu działania. W istocie w relacji do tego tylko świata słowo sens nie jest puste, zachowuje jakieś znaczenie. W sytuacji, w której człowiek ocenia na przykład samego siebie przy pomocy miar pochodzących wyłącznie ze świata zewnętrznego, wówczas przestaje być właściwie sobą, przestaje być też w ogóle wartością; jest tylko narzędziem przez kogoś dowolnie manipulowanym, bytem obcym

samemu sobie, jeszcze jedną rzeczą. Ale również ten świat zewnętrzny, jeśli jest pozbawiony ludzkich treści, stopniowo także traci wszelką wartość; ubożeje, degeneruje się, a w końcu nieuchronnie ginie. Brak poczucia własnej wartości czyni człowieka słabym i bezbronnym. Utrata własnego „ja" lub też świadome wyrzeczenie się siebie — jest równoznaczne z rezygnacją z człowieczeństwa, dzięki któremu możemy jedynie godnie przetrwać i godnie zejść z tego świata: jako człowiek, jako wartość unikatowa. *Mój świat wewnętrzny* — pisze Jan Szczepański — *jest właściwym moim królestwem, gdzie panuję sam, schronieniem przed burzami i niepokojami, gdzie spotykam tylko siebie. Jeżeli więc jestem dla siebie samego ostatnim przyjacielem, niezawodnym, który pozostaje zawsze, do którego mogę się zawsze odwołać, w każdej sytuacji, każdej klęsce, który został, gdy wszyscy zawiedli — muszę mieć dobre mniemanie o tym przyjacielu.*

Ad. 2. *Świat zewnętrzny człowieka.* Świat zewnętrzny człowieka, świat ludzi i rzeczy, hierarchii i zależności, znaczenia i sławy, sukcesu i klęski — jest całkowitym przeciwieństwem świata wewnętrznego. Są ludzie, dla których ten właśnie świat jest jedynie ważnym, w którym jedynie pragną się zrealizować i poza którym nie widzą dla siebie miejsca. Jest to perspektywa i błędna, i niszcząca. Błędna, ponieważ na to, by móc sprawnie i z powodzeniem funkcjonować w świecie zewnętrznym — człowiek musi mieć oparcie przede wszystkim w sobie samym. Stąd czerpie siłę do działania, odwagę, dystans do rzeczywistości, także dystans do samego siebie. Mając to potrafi bez poczucia krzywdy dobrowolnie odstąpić od uczestnictwa w świecie zewnętrznym. Nie mając tego ponosi klęskę podwójną: przestał się liczyć w świecie zewnętrznym i nie ma też do czego wracać, nie ma bowiem świata wewnętrznego.

Ad. 3. *Świat „między".* Poza światem wewnętrznym i zewnętrznym istnieje również trzeci świat, nie dający się zredukować do dwu pozostałych. Durkheim nazywał ten świat „przestrzenią między ludźmi". Na tę przestrzeń składają się czyste idee: piękna, prawdy, dobra, sprawiedliwości etc. Powołaniem tego świata jest sprawić, by stosunki między ludźmi nie miały wyłącznie charakteru instrumentalnego, jak z zasady dzieje się to w obrębie świata zewnętrznego, lecz by polegały na traktowaniu innych ludzi jako „czystych indywidualności", jako wartości „w sobie". Ten świat „między" istniejący poza czasem i poza historią jest także światem wiecznej tajemnicy i wiecznej tragedii człowieka. Jest takim, ponieważ — jak powiada autor — świat wewnętrzny drugiego człowieka zawsze jest niedostępny i możemy się go tylko domyślać. A skoro tak jest: nigdy właściwie nie możemy w pełni znać i poznać „innego", nigdy więc nie możemy przestać traktować go instrumentalnie. Nie znaczy to jednak, iżby świat „między" nie miał dla nas żadnego już sensu, by był niepotrzebny. Życie bezwzględnie temu wnioskowi przeczy: człowiekowi, mimo przeszkód, do końca nieprzekraczalnych, zawsze udawało się i udaje odnaleźć nić porozumienia z „innym". Jest to nić niewidoczna, której podtrzymywanie wymaga pracy ponad siły, ale jest to nić niewątpliwie obecna. W przeciwnym wypadku takie słowa, jak prawda, dobro, czy piękno byłyby tylko pustymi dźwiękami, a takimi wcale przecież nie są.

Zdaniem J. Szczepańskiego człowiek nie tylko istnieje w tych trzech wymiarach, o których wyżej była mowa, ale i jego człowieczeństwo przejawia się w trzech wymiarach. *W świecie zewnętrznym* — czytamy w *Sprawach ludzkich — jest to człowieczeństwo interesów, dążeń, marzeń, walk i cierpień, radości, zadowolenia, a więc to człowieczeństwo wszystkich cech biologicznych, psychologicznych i filozoficznych czy religijnych idealizacji. W świecie wewnętrznym jest to człowieczeństwo absolutnego ego, gdzie jestem sam z sobą i wszystko to, co się odnosi do innych ludzi, jest pozbawione sensu, gdyż w tym świecie nie ma innych ani*

ich spraw. Człowieczeństwo czystej indywidualności jest zakresem mało zbadanym, nie pisze o nim żaden podręcznik filozofii ani psychologii i ja też nic nie mam o nim do powiedzenia poza tym, że tam jest inaczej niż w świecie zewnętrznym. Człowieczeństwo ma także trzeci wymiar, w świecie istniejącym „między", tzn. między czystymi indywidualnościami, i tam bytuje w postaci idei człowieczeństwa, tworzonej w różny sposób w różnych kulturach i epokach.

Na zakończenie tych krótkich uwag, a raczej tylko informacji na temat książki Jana Szczepańskiego, winien jestem jeszcze uzasadnienie, dlaczego spośród dzieł autorów żyjących wybrałem do omówienia tę właśnie pracę. Odpowiedź jest chyba nieskomplikowana: w perspektywie ostatnich kilkunastu lat nie pojawiła się w naszym rodzimym piśmiennictwie książka, która by problemy człowieka podejmowała tak dalece oryginalnie, pomysłowo i szczerze, jak uczynił to w *Sprawach ludzkich* Jan Szczepański. Dzięki tej pracy współczesna myśl filozoficzna i naukowa w Polsce miała okazję wzbogacić się o nowe i cenne wartości.

Rok 1985 pod względem wydawniczym trzeba uznać za wyjątkowo pomyślny dla filozofii polskiej.

Paweł J. Smoczyński

Kazimierz Ajdukiewicz, *Język i poznanie*, tom I, *Wybór pism z lat 1920-1939*, PWN, Warszawa 1985, s. 376.

Maria Ossowska, *Normy moralne. Próba systematyzacji*, PWN, Warszawa 1985, s. 243.

Tadeusz Kotarbiński, *Medytacje o życiu godziwym*, Wiedza Powszechna, Warszawa 1985, s. 165.

Władysław Tatarkiewicz, *O szczęściu*, PWN, Warszawa 1985, s. 575.

Jan Szczepański, *Sprawy ludzkie*, Czytelnik, Warszawa 1984, s. 350.

plastyka

LECHOSŁAW LAMEŃSKI

ÁDAM MÁNYOKI I JEGO PORTRETY

Gdy mówimy o sztuce węgierskiej myślimy przede wszystkim o wspaniałych — chociaż znacznie przerzedzonych do naszych czasów — dziełach sztuki renesansowej, która rozwinęła się na Węgrzech na skutek bezpośrednich inspiracji włoskich za panowania króla Marcina zw. Korwinem (druga poł. XV wieku). Niestety, w rezultacie klęski pod Mohaczem (w 1526 roku) doszło do 150-letniej okupacji tureckiej, co doprowadziło do zniszczenia wielu oryginalnych dzieł oraz zahamowania dalszego rozwoju węgierskiego malarstwa, grafiki i rzeźby. Pewne ożywienie przyniósł dopiero (głównie w zakresie malarstwa sztalugowego) okres baroku (XVII i XVIII wiek), a zwłaszcza tak kontrowersyjnie oceniany wiek XIX. To właśnie wówczas żyli i tworzyli artyści tej miary co: Mihaly Munkácsy, prawdziwy mistrz realizmu krytycznego; László Paala, twórca nastrojowych i pełnych liryzmu pejzaży, czy też niezwykle uzdolniony Mihaly Zichy, który mając zaledwie 20 lat, namalował w 1847 roku *Łódź ratunkową*, motyw bardzo popularny w epoce romantyzmu.

Znacznie różnorodniejszy i bogatszy wiek XX, zdominowany poszukiwaniami i eksperymentami przedstawicieli skrajnej awangardy przypomina, że jednym z czołowych artystów tego czasu był László Moholy-Nagy, wybitny konstruktywista, prekursor w dziedzinie fotografii, filmu i scenografii, stały współpracownik niemieckiego Bauhausu, a zarazem jego wykładowca w latach 1923-1928.

Nazwiska węgierskich malarzy, krytyków i teoretyków sztuki oraz poetów, aktywnie uczestniczących w życiu artystycznym Europy, głównie na przełomie XIX i XX wieku można by mnożyć, a wiele z nich bliskich jest polskiemu odbiorcy, lecz mało kto wie, że jednym z pierwszych — jeżeli nie pierwszym — znanym nam z imienia i nazwiska malarzem węgierskim jest Adam Manyoki, interesujący przedstawiciel baroku, którego dwa portrety reprodukujemy na pierwszej i czwartej stronie okładki niniejszego numeru *Akcentu*.

Urodzony w 1674 roku w Szokolya, uczył się zawodu u hamburskiego portrecisty A. Scheitza. Początkowo działał w Niemczech, następnie w rodzimych Węgrzech jako nadworny malarz księcia Franciszka Rakoczego II, w Holandii i w Polsce, tym razem jako nadworny malarz Augusta II Mocnego, spędzając w Gdańsku i Warszawie cały 1713 rok. W 1724 roku powrócił na Węgry gdzie pozostał przez 9 lat. Od 1737 roku, aż do śmierci w 1757 roku, pracował w Dreźnie na dworze kolejnego Wazy — Augusta III.

Manyoki wykazujący szczególne predyspozycje w zakresie portretu, szybko przyswoił sobie podstawowe zasady jego kompozycji, stając się jednym z najciekawszych malarzy barokowych środkowej Europy. Mimo wyraźnych wpływów francuskich i niemieckich pozostał artystą oryginalnym, z łatwością i lekkością oddającym zarówno podobieństwo osoby portretowanej, jak jej stan psychiczny, a także materialność bardzo ozdobnego i wytwornego stroju. Chociaż przy oglądaniu obrazów Manyokiego uderza duża precyzja w odtwarzaniu szczegółów, artysta ani przez chwilę nie zapomina o całości kompozycji, podporządkowując poszczególne elementy jej koncepcji ogólnej, w której liczył się człowiek i sposób w jaki został przedstawiony. Pracując na zlecenie dwóch królów i jednego księcia, siłą rzeczy miał do czynienia z ludźmi, którzy piastowali ważne urzędy i odgrywali znaczącą rolę w życiu swoich narodów. Nic więc dziwnego, że Manyoki musiał uwzględniać życzenia osób portretowanych co do sposobu przekazania ich wizerunków potomnym, głównie w zakresie stroju i insygniów władzy. Na szczęście artysta potrafił pogodzić komercjalizm zamówień z artyzmem wykonania. Jego najbardziej ulubioną formą kompozycji był pojedynczy portret męski lub kobiecy, w typie en trois quatre, do pasa, ukazany zazwyczaj na tle ciemnego, neutralnego tła. Takie ustawienie czyniło z portretów Manyokiego kompozycje statyczne, starannie wyważone, o szlachetnej gamie kolorystycznej z przewagą barw ciepłych i nasyconych, takich jak ciemne brązy, złamane zielenie, zgaszone żółcie i czerwienie (w partiach stroju) oraz blade róże i szarości (w rozjaśnionych partiach twarzy i sporadycznie występujących dłoniach).

Mimo że Manyoki tworzył w Polsce zaledwie jeden rok (1713), pozostawił po sobie cały szereg interesujących płócien prezentujących wysoki poziom artystyczny, z których kilkanaście znajduje się obecnie w zbiorach Muzeum Narodowego w Warszawie. Do najciekawszych należą niewątpliwie: *Portret węgierskiego szlachcica* i *Portret Jakuba Rybińskiego wojewody chełmińskiego*, oba reprodukowane w niniejszym numerze *Akcentu*.

Lechosław Lameński

Franciszek Rakoczy II, Ádám Mányoki, 1712, olej

MIECZYSŁAW WIELICZKO

TIBOR CSORBA

(15 III 1906 — 5 IX 1985)

Stojąc w ów wrześniowy piątek — wciąż jeszcze jakby nie wierząc w to co się stało — nad jego otwartą mogiłą na Powązkach, myślałem jakie przesłanie zostawił przed progiem, który już przekroczył. I wtedy zdałem sobie sprawę, że najważniejsze to przykład autentycznego życia. Z czasem umacniać się będzie to przekonanie, bowiem Tibor co myślał — to mówił, a co mówił — to czynił.

Był Węgrem z urodzenia i przekonań, Polakiem z wybranego obywatelstwa. Obydwie ojczyzny umiłował uczuciem wyjątkowym — zdumiewająco mądrego i twórczego patriotyzmu. Jest to wyróżniająca się cecha jego bogatej i niezwykłej osobowości.

Urodził się w Szepesvaralja na obszarze ówczesnych Górnych Węgier (Felvidék), gdzie od stuleci krzyżowały się wpływy rodzime, słowackie oraz polskie i ogólnowęgierskie. To sąsiedztwo charakteryzowało się bogactwem wątków kulturowych, cechowało otwarciem na różne prądy ideowe, chłonnością pierwiastków o szczególnej humanistycznej wartości. I jeszcze jedno — data 15 marca w jego świadomości zawsze była dniem pamiętnym dla braci Węgrów — to dzień ogłoszenia przez Sandora Petőfiego wiersza *Powstań Węgrze! Ojczyzna cię woła!*, utworu, który rozniecił płomień rewolucji roku 1848.

Były to „znaki" u zarania życia Tibora i pozostał im wierny na zawsze. A była to wiara i moc czynu formułującego patriotyzm ofiarnej służby ojczyźnie, tej z urodzenia i tej z wyboru.

Młodość wypadła Tiborowi w latach krzywdy powojennej, zadanej Węgrom literą traktatu w Trianon. Wielokrotnie o tym mówił i w Polsce, i na Węgrzech w czasie wieczorów autorskich, odtwarzając barwy owych czasów, młodzieńczego poszukiwania wyjścia z narzuconego układu, izolacji, osamotnienia, poszukiwania miejsca dla siebie...

Po ukończeniu studiów w budapeszteńskiej Akademii Sztuk Pięknych trafił na uzupełniające studia w Państwowym Instytucie Robót Ręcznych w Warszawie, studia połączone były z kursem języka polskiego. W owym czasie w Warszawie działały: „Kolonia Węgrów" skupiona w Towarzystwie im. Petőfiego, Towarzystwo Polsko-Węgierskie im. Batorego i świeżo otwarty Instytut Węgierski kierowany przez prof. Adorjana Divékyego, pochodzącego z tych samych okolic co Csorba, a uznanego badacza historycznych związków polsko-węgierskich.

Polska urzekła Tibora, a także lublinianka Helena Anna Müllerówna — absolwentka socjologii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, młody doktor ze szkoły prof. Floriana Znanieckiego. Poznał Tibor nasz język, począł zgłębiać się w dorobek literacki pod naukową opieką prof. Juliana Krzyżanowskiego, wszedł do intelektualnego kręgu stolicy wzbudzając zainteresowanie znajomością literatury węgierskiej wyniesioną ze studiów na Uniwersytecie im. Pazmanyego w Buda[illegible]

cie. Został przyjęty do Polskiego PEN-Klubu, a wkrótce wyróżniony „Srebrnym Wawrzynem" Polskiej Akademii Literatury i Krzyżem Kawalerskim „Polonia Restituta". „Wrastał" w polskość, poprzez swoją węgierskość.

W pismach literackich, i nie tylko, pojawiały się coraz liczniejsze jego publikacje, a tuż przed wybuchem wojny także znamienna antologia pt.

Nie wierz Węgrze Niemcowi... Świat kuruców — labanców w literaturze węgierskiej, będąca w istocie deklaracją par excellence polityczną: „kuruc" bowiem w literaturze węgierskiej to symboliczna postać walczącego patrioty, „labanc" zaś to postawa kunktatora i ugodowca... Nie uszła ta książeczka uwagi Niemców i ówczesnych labanców, gdy alians Hitler — Horthy przybierał na sile, a świat toczył się po równi pochyłej ku agresji Rzeszy na Polskę.

Tibor wyjechał w sierpniu 1939 roku na Węgry, m.in. by przekonać rodzinę co do planów małżeńskich z „Haneczką", przyjął był bowiem drugie imię ukochanej za bliższe sercu, bardziej węgierskie, jak mawiał. Wystartował rankiem 1 września, ale Warszawa samolotu z Budapesztu już nie przyjęła. Wylądował we Lwowie. Haneczka w tym czasie była wśród najbliższych współpracowników prezydenta Starzyńskiego organizując opiekę sanitarną na Pradze. Za osobiste męstwo odznaczona została Krzyżem Walecznych. Tibor przedostał się na Węgry w ostatnich dniach września wraz z oddziałami Wojska Polskiego po zakończeniu obrony Lwowa i tu pomagał w organizacji opieki nad rzeszą polskich uchodźców wojennych, którzy przekraczali granice Węgier.

W listopadzie uzyskał zgodę władz i niemiecką wizę do... Warszawy, w celu zlikwidowania mieszkania i spraw Instytutu Węgierskiego. Zastał w mieszkaniu ruiny i zdewastowany przez okupantów Instytut, wykonał kilka fotografii, nawiązał kontakty z kilkunastu literatami i uczonymi. Powrócił na Węgry. Tu sporządził 90-stronicowy raport o tym co zastał w Warszawie i tekst ten przez węgierską służbę dyplomatyczną dotarł do Rządu RP w Angers. Csorba informował o dramatycznym położeniu prześladowanych intelektualistów. Otrzymał potwierdzenie (z datą 1 czerwca 1940 roku) od ministra prof. Stanisława Kota, wraz z zapewnieniem „robimy, co tylko leży w naszej mocy, by im pomóc".

Zaraz po powrocie, 8 grudnia 1939 roku w Celldomok, na zaproszenie Stowarzyszenia Oświaty Pozaszkolnej, wziął Csorba udział w „wieczorze zagranicznym", w czasie którego dr Lutter mówił o problemach polityki zagranicznej Węgier, zaś Csorba o swoich przeżyciach w Polsce we wrześniu i listopadzie 1939 roku. Wyświetlono też film dokumentalny o Berlinie, po którego projekcji Tibor oświadczył licznie zebranej publiczności, że „...za rok i tu będą gruzy, jak dziś w Warszawie". Miejscowa gazeta „Celldómöki Hirlap" w numerach z 16 i 23 grudnia zamieściła wierne sprawozdanie, które stało się przesłanką interpelacji w parlamencie zgłoszonej przez posłów partii faszystowskiej (Nyilaskeresztes Part), o czym doniosła cała prasa Budapesztu, zaś „Nemzeti Ujság" z 1 lutego 1940 roku opatrzył tę wiadomość tytułem „Burzliwa interpelacja w parlamencie". Csorbę karnie zwolniono z zawodu nauczycielskiego i przeniesiono do pracy w IX Departamencie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i jego „sekcji polskiej" sprawującej opiekę nad cywilnym uchodźstwem polskim. Dodam, że wzmiankę o tych wydarzeniach podał też „Kurier Polski" w Bukareszcie pt. „Węgierski profesor o sytuacji w Polsce".

Wspomniałem ten incydent, bo zaważył on na dalszym życiu Tibora — przybliżył go jeszcze bardziej do spraw polskich.

Tymczasem Haneczka przez „zieloną granicę" dotarła do Budapesztu i w końcu stycznia 1940 roku, w polskiej kaplicy Paulinów odbył się ich ślub oraz znamienna wymiana obrączek — jej z wyrytym napisem „Budapest", jego z nazwą „Warszawa". Tak powstało polsko-węgierskie małżeństwo, które w rodzinnym albumie Jerzy Szwajcer (Jotes) naszkicował pośród konturowej mapy, na której zacierają granicę między Polską a Węgrami. Rysunek ten jest artystyczną wizją życia dwojga wspaniałych ludzi, których przyszło w tym roku pożegnać we wspólnej mogile, wizją utrwaloną m.in. w dwóch książkach: *Losy młodzieży polskiej na Węgrzech w latach II wojny światowej* (PWN, 1981) i *Ziemia węgierska azylem Polaków 1939-1945* (PWN, 1985) oraz

kilkudziesięcioma publikacjami w piśmiennictwie naukowym i publicystycznym.

Zachowała się jeszcze jedna książka, w jedynym egzemplarzu odbitki szczotkowej pt. *Bugnak a szitenak* („Huczą syreny") z czerwoną pieczęcią cenzora: nie pozwalam! nie wolno drukować!, pod datą 1 maja 1940 roku. Na 52 stronicach napisał Tibor o tym co przeżył w pamiętnym wrześniu 1939 we Lwowie, na dalszych 57 stronach znajduje się relacja Haneczki o obronie Warszawy, ilustrowana dokumentalnymi fotografiami: wypalone mury Zamku Królewskiego, groby na Placu Grzybowskim, kilka fragmentów domów powalonych w gruzy niemieckimi bombami, obok drzeworyty Józefa Sękalskiego z widokiem Lwowa, kolumny Zygmunta, Wawelu, a także fotografie pomnika Kopernika na dziedzińcu Collegium Maius Uniwersytetu Jagiellońskiego. Książka miała być wydana przez oficynę Cserépfalviego jako siódma pozycja zapowiedziana na rok 1940. Ponieważ klisze drukarskie były gotowe, a zakaz dotyczył tekstu, Cserépfalvi wydał serię pocztówek, które rozesłane z Węgier „mówiły" o Polsce i to widokami o szczególnej wymowie dla Polaków. Nie opublikowano wszystkich fotografii, np. lasu krzyży nagrobnych na Placu Grzybowskim...

W tym czasie Tibor wprost dwoił się pośród rozlicznych obowiązków i zajęć. Jako urzędnik w departamencie dr Józsefa Antalla, był jego „prawą ręką" w sprawach organizacji szkolnictwa dla dzieci i młodzieży oraz pracy kulturalno-oświatowej w świetlicach skupiających cywilne uchodźstwo polskie i w obozach internowanych żołnierzy. Organizował kursy języka węgierskiego dla Polaków i na wielu uczył. Prowadził rozliczną korespondencję, głównie z polskimi literatami i artystami rozproszonymi na Węgrzech, organizował dla nich pomoc materialną, posyłał książki i słowniki, inspirował i promował. Sam też pisał. Pełnił obowiązki kierownika literackiego u Cserépfalviego, a warto wspomnieć, że było to wydawnictwo opozycyjnej wobec reżimu Horthyego Partii Socjalistycznej. Dwukrotnie w 1940 r. wydał podręcznik *Uczymy się po węgiersku* oraz zainicjował serię wydawniczą biblioteczki pod tym samym tytułem. Ukazały się w jego wyborze i przekładzie *Węgierskie bajki ludowe*, a w 1941 roku *Opowiadania z historii Węgier* zawierające fragmenty powieści historycznych najwybitniejszych pisarzy, oraz *Z życia ludu węgierskiego* — wybór współczesnej prozy. Kolejna pozycja,

Tibor Csorba: *W Lublinie*, 1981.

Wybitni politycy węgierscy, zawierała osiem biografii, jak np. „największy Węgier" I. Szechenyi, „mędrzec ojczyzny" F. Deak, autor hymnu narodowego F. Kolcsey i „wychowawca narodu" P. Teleki, zaś tom *Wielcy kaznodzieje węgierscy* prezentował sylwetki kilku uczonych (duchownych) zapisanych na trwałe w kulturze Węgier. Csorba był redaktorem, tłumaczem, a przede wszystkim animatorem tego przedsięwzięcia mającego na celu przybliżenie Węgier szerokiej rzeszy uchodźstwa polskiego. Swoje artykuły publikował także w „Wieściach Polskich", ilustrowanym piśmie w języku polskim, ukazującym się regularnie w Budapeszcie w latach 1939-1944.

Współpracował blisko z prof. Zbigniewem Załęskim, dyrektorem Instytutu Polskiego w Budapeszcie, jedynej rządowej placówki Rzeczypospolitej w zdominowanej przez faszyzm Europie, działającej nieprzerwanie do 19 marca 1944 roku, do czasu zbrojnego zajęcia Węgier przez Wehrmacht.

Aktywnie współpracował z Obywatelskim Komitetem Opieki nad Uchodźcami Polskimi na Węgrzech, na wpół legalną instytucją polską, kierowaną przez Delegata Rządu RP Henryka Slawika oraz rozlicznymi organizacjami polskimi, jak YMCA, Harcerstwo, Duszpasterstwo Katolickie dla Uchodźców Polskich oraz szkolnictwo polskie. Był także swoistym łącznikiem społeczności polskiej i licznych organizacji węgierskich okazujących jej pomoc materialną i zainteresowanie.

Nie sposób nawet wymienić rozlicznych „urzędowych" zajęć Tibora, określić ich znaczenia i rozmiarów, ale wspomnieć trzeba jeszcze dwa fakty: dalsze studia uwieńczone doktoratem za pracę o Stefanie Batorym (*A humanista Bathory Istvan*, Budapest 1943) oraz dom — mieszkanie Csorbów skupiające uchodźców polskich na cotygodniowej „herbatce".

Przeglądałem „książki gości" domu Csorbów z wpisami i podpisami uczestników tych spotkań. Kogo tam nie było! K. Illakowiczówna, St. Vincenz, prof. K. Rouppert, gen. J. Kołłątaj-Srzednicki, konsul J. Zarański, O.' Piotr Wilk-Witosławski, prof. S. Filipkiewicz, płk J. Jakubiec, gen. dr J. Hubicki, J. Reychman, ppłk W. Lipiński, E. Fietowicz, A. Opoka-Loewenstein, Z. Kościuszko, A. Pysz, W. Szabliński, Z. Czajkowski, H. Slawik, T. Fangrat, prof. Z. Załęski, B. Noga, Ks. W. Danek, J. Ulatowski i wielu, wielu innych, a wymieniłem tylko postaci bardziej znane spośród blisko 500 (!) utrwalonych autografami na tych kartach. Jotes wielu portretował świetną kreską karykaturzysty — wybór tych rysunków dali H. i T. Csorbowie do książki *Ziemia węgierska azylem Polaków*.

Wymieniłem tylko kilka polskich nazwisk, ale obok nich jest istna plejada wybitnych Węgrów tych lat, uczonych, artystów, pisarzy, wojskowych, polityków i duchownych. Domniemać można, że domowe ognisko Csorbów „gorzało" wspaniałą atmosferą ideałów przyjaźni, kultury i ciepła; pośród mroków wojny było „przygodą intelektualną" jedyną w swoim rodzaju, cząstką autentycznego życia Hanczki i Tibora.

Niewiele w tych latach Tibor malował, choć nie zaniedbywał doskonalenia warsztatu pejzażysty, akwarelisty.

Przebywając pośród polskich uchodźców na Węgrzech gromadzili Csorbowie socjologiczną dokumentację ich życia. Jest to głównie zasługa H. Csorby. Ona była inspiratorką konkursów pamiętnikarskich, ogłaszanych przez „Wieści Polskie", oraz ankiety przeprowadzanej w 52 skupiskach polskich w 1943 roku. Jest to jedyna swego rodzaju dokumentacja polskiego losu w latach II wojny światowej, dokumentacja częściowo udostępniona czytelnikowi w ostatnich książkach Csorbów. Obok tego w maszynopisie pozostaje obszerne dzieło — „zbiór listów" przysyłanych do Polaków na Węgry z kraju i całej wojennej diaspory polskiej na kontynentach oraz listów Polaków z Węgier, podobnie rozsyłanych, które Csorbowie przez lata zbierali.

Dramat wojenny uchodźstwa polskiego na Węgrzech zawiera jeszcze dwa fakty — daty w roku 1944: dzień 19 marca zapoczątkował niemiecką okupację Węgier, zaś 15 października upamiętnił się faszystowskim zamachem stanu Szalasiego. Obydwa te wydarzenia przyniosły falę represji, aresztowań, rozstrzeliwań, zsyłek do obozów koncentracyjnych i deportacji. Całe misternie konstruowane życie uchodźstwa, jawne i konspiracyjne, zostało rozbite, a terror dosięgnął też Węgrów współpracujących z Polakami. Csorbowie w ukryciu szczęśliwie ocaleli i doczekali wyzwolenia.

Przyjechali do Krakowa, gdzie Tibor podjął się organizacji Instytutu Węgierskiego i prowadzenia zajęć w lektorium języka węgierskiego Uniwersytetu Jagiellońskiego. W prasie ukazały się pierwsze ich publikacje o latach wojny spędzonych na Węgrzech, o życiu kulturalnym i literackim wychodźstwa, o losach dzieci, młodzieży i Żydów polskich ocalonych na Węgrzech. Tibor wezwany został do Budapesztu i przez kilka lat nie mógł przyjeżdżać do Polski. Instytut Węgierski, pierwsza tego typu placówka zagraniczna w Polsce, przestał działać, a stalinowskie rządy Rakosiego położyły się cieniem także na jego osobistym życiu.

Podjął wówczas pracę nad monumentalnym słownikiem węgiersko-polskim i polsko-węgierskim, pierwszym w dziejach stosunków obydwu narodów tak obszernym dziełem (80 tysięcy haseł!). Słownik opublikowany został w 1958 roku przez Węgierską Akademię Nauk. Powrócił też w owych latach na dobre do malarstwa. Tęsknił za żoną i Polską... Wreszcie przyjechał i osiadł na stałe w Warszawie.

Otrzymał pracownię przy ul. Piwnej na Starym Mieście. Tu niemal codziennie, przez ponad trzydzieści lat, pracował. Tradycja węgierskich „spotkań intelektualnych" podjęta została w Warszawie, właśnie w tej pracowni. I znowu pojawiło się w książce gości kilkaset zapisów z niedzielnych spotkań.

Tibor uprawiał głównie malarstwo akwarelowe. Utrwalał szczególnie zimowy pejzaż Tatr, nadwiślański krajobraz Mazowsza, zaułki warszawskiego Starego Miasta, urocze zakątki Mazur i pobrzeża Bałtyku, lubelskie Stare Miasto i Kazimierz nad Wisłą. W katalogu jednej z wystaw pisał: *Martyrologia Polski — Sacra Polonica — jest dla mnie*

Tibor Csorba: *Pejzaż wiejski.*

największym i najboleśniejszym przeżyciem. Bez niej — nie wiem — czy mógłbym być aż tak przywiązany do ziemi, ludzi i kultury polskiej, jak jestem od niemal czterdziestu lat. Zwiedziłem byle obozy zagłady (...) Mauzoleum na terenie byłego obozu zagłady w Bełżcu opowiedziało mi, że w ciągu pół roku było tu ponad pół miliona ofiar (...) W Magdalence pod Warszawą świerki płaczą i dziś, tyle tam było ofiar. Na Majdanku, opodal Lublina, miasta bliskiego naszym rodzinnym uczuciom, szukałem tego ostatniego fragmentu pejzażu polskiego, który żegnał ofiary pędzone resztkami sił do komory gazowej, do krematorium. Oglądałem też baraki, budki strażników. W Oświęcimiu druty wysokiego napięcia wywołują i dziś w przechodzącym grozę (...) Wejście na dziedziniec Bloku Śmierci nie jest tematem malarskim, ale jakże nie uwiecznić ściany śmierci?! Blok 18-ty, dziś muzeum poświęcone Węgrom wymordowanym w tym obozie...

Cykl *Sacra Polonica* zawiera 30 obrazów z 11 miejscowości. Format przeważnie taki sam (45 × 45 cm). Technika: asfalt, wydaje mi się nowa, oryginalna i najbardziej adekwatna do tematu. Obrazy ofiarowane zostały do zbiorów Państwowego Muzeum na Majdanku.

Inny cykl *Wadowice* powstał z inspiracji wyboru Kardynała Wojtyły na Stolicę Piotrową i trafił do zbiorów Watykanu jako dokument z rodzinnej ziemi Jana Pawła II.

Cykl *Biskupin* znakomicie wykonany techniką asfaltu w połączeniu ze złotem, „dotknął" pierwocin Słowian rozsiedlonych w dorzeczu Warty i Wisły. Jest jeszcze Tarnów, rodzinne miasto Bema i wiele innych.

A tematy węgierskie? Przede wszystkim Dunaj i krajobraz ojczyzny wzdłuż tej osi, urocze Szentendre, Vac, Esztergom, Visegrád, a także Veszprém, Pecs, Eger, Szekesfehervar i okolice nad Balatonem. Są to głównie pejzaże malowane w pełni świetlistego lata, bowiem Csorbowie starali się każdego roku wakacje spędzać na Węgrzech.

Retrospektywny przegląd twórczości eksponował w kwietniu 1985 roku Ośrodek Informacji i Kultury Polskiej w Budapeszcie. Ponad 150 dzieł malarskich Tibora znalazło stałą ekspozycję w Kiskunhalas (Bekanyi u. 4), gdzie 4 kwietnia tegoż roku otwarto uroczyście „Dom Zbiorów". Tu przed 50 laty Tibor był nauczycielem rysunku a niespełna dwa tygodnie przed śmiercią miasto nadało mu obywatelstwo honorowe.

W Polsce najwięcej dzieł Csorby jest w muzeach Tarnowa oraz Włocławka; także szkoły w Narolu i Bolesławcu na Dolnym Śląsku posiadają ich spore kolekcje. Jego prace znajdują się również w Kanadzie i USA, Szwecji, Francji, Wielkiej Brytanii, Jugosławii. Ile ich stworzył przez ponad 50 lat? Nie potrafił określić liczby... podobnie jak i publikacji. Książek doliczył się 14, a artykułów w języku polskim i węgierskim odnotował na fiszkach do przygotowywanej bibliografii blisko 500, ale nie było to wszystko. Dodać trzeba tłumaczenia na język węgierski, począwszy od poezji Kochanowskiego, Mickiewicza, Krasińskiego, Kasprowicza i Staffa, po utwory Karola Wojtyły oddane do druku w roku ubiegłym.

Ostatnio powrócił do Batorego. Przybliżała się bowiem rocznica śmierci króla i Csorba rozpoczął pisanie studium na temat królewskich listów. Zamierzał przypomnieć i w Polsce, i na Węgrzech tę znakomitą postać poprzez analizę twórczości epistolarnej. Wyjeżdżając na Węgry z początkiem sierpnia zabrał ze sobą maszynopis artykułu obejmujący rozważania o królewskich listach. Zamierzał w bibliotekach Budapesztu uzupełnić studia nad listami króla w języku węgierskim. I tego już nie dokończył.

Pisał do mnie pod datą 8 sierpnia z Veszprém o świeżo zakończonym światowym kongresie Węgrów „rozsypanych", wyraźnie zaznaczył — nie emigrantów: „cieszy pokazanie wielkiej, autentycznej miłości do języka, do ojczyzny — to wspaniałe!"

Oto cały Tibor — entuzjasta czynu, ale także cierpliwy nauczyciel wszystkiego co tchnie patriotyzmem, pracowity twórca na tej niwie.

Odszedł fizycznie zmęczony, nad wyraz jednak młodzieńczy duchem i pełen planów: zamierzał w najbliższym czasie przygotować wybór dzieł malarskich na wielką wystawę planowaną przez Ministerstwo Kultury Węgier na jego 80-lecie, zamierzał pojechać do Muzeum Narodowego Ziemi Przemyskiej by utrwalić w szkicach złote skarby Awarów odkopane na cmentarzysku pod miastem, zamierzał dokończyć redakcję kolejnej książki, zamierzał wznowić uroczą książeczkę *O rysowaniu*...

Żegnaliśmy na Powązkach Człowieka niezwykłego, zsypując na wieko trumny cieniną, węgierską ziemię, przywiezioną z grobu rodziców i ziemię gliniastą, żółtą, polskiego narodowego nekropolium, zegnały Go dźwięki hymnu węgierskiego śpiewanego przez grono przyjaciół...

Mieczysław Wieliczko

Ogólnopolski konkurs prozatorski

Wojewoda lubelski i Zarząd Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich, pod patronatem Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich, ogłaszają ogólnopolski konkurs na powieść i zbiór opowiadań, w związku z 30 rocznicą wybuchu II wojny światowej i 45-leciem PRL.

Organizatorzy spodziewają się utworów o najwyższych wartościach literackich, a więc takich, które dorobek naszej kultury narodowej pomnożą, ukażą w bogatej i skompakowanej zamie minione półwiecze. Że szczególnym zadowoleniem powitane zostaną te książki, które za temat podejmą problemy polskiej powojennej i najnowszej rzeczywistości.

Organizatorzy przewidują następujące nagrody:

I nagroda	— 200 000 zł
dwie drugie nagrody po 150 000 zł	— 300 000 zł
trzy trzecie nagrody po 100 000 zł	— 300 000 zł
cztery czwarte nagrody po 75 000 zł	— 300 000 zł
pięć wyróżnień I stopnia po 40 000 zł	— 200 000 zł
dziesięć wyróżnień II stopnia po 20 000 zł	— 200 000 zł

Konkurs jest otwarty dla wszystkich. Powieści i zbiory opowiadań (stanowiące jednak odpowiednio pomyślaną całość) należy nadesłać do 30 września 1987 r., w czterech co najmniej 8 arkuszy autorskich (około 170 stron znormalizowanego maszynopisu, w trzech egzemplarzach pod adresem: Związek Literatów Polskich, 20-010 Lublin, ul. Graniczna nr 9. Dodatkowych informacji udziela sekretariat konkursu: telefon 234-49.

Prace winny być opatrzone godłem. Do przesyłki należy dołączyć zamknięte koperty z tym samym godłem na zewnątrz, a w środku zawierającą imię i nazwisko, dokładny adres autora, tytuł książki i to samo godło. Prace nie mogą być drukowane ani we fragmentach, ani w całości. Nie mogą też uczestniczyć w innych konkursach.

Skład jury podany zostanie uczestnikom konkursu w najbliższym czasie.

filozofia

STANISŁAW JEDYNAK

O FILOZOFII WĘGIERSKIEJ

Laszlo Farkaszowi

Znajomość filozofii węgierskiej, poza myślą G. Lukacsa, jest w naszym kraju, nawet wśród specjalistów, bardzo niewielka. Główną przyczynę tego zjawiska stanowi na pewno bariera językowa; na palcach jednej ręki można policzyć w Polsce znawców filozofii, czytających w języku oryginału. Jednakże, na szczęście, prace filozofów węgierskich pojawiają się też w językach światowych, co umożliwia nam pewną orientację w swoistości tej filozofii.

Filozofia węgierska sięga czasów Odrodzenia. Pierwsi polscy rzecznicy myśli renesansowej poznawali filozofię włoską właśnie dzięki środowisku humanistycznemu... Węgier i na Węgrzech. Później dość żywo rozwijała się tam myśl reformacyjna, a także kontrreformacyjna. Węgierscy protestanci utrzymywali ożywione związki naukowe z Niemcami i Holandią, a katolicy z Rzymem. Austrią i Polską. Węgierskim odpowiednikiem po części Piotra Skargi i po części Sebastiana Petrycego z Pilzna był kardynał Peter Pazmany (1570-1637) — znawca Arystotelesa i autor licznych prac o filozofii Stagiryty. W jego kręgu, w kręgu szeroko rozumianej tradycji arystotelesowsko-scholastycznej, pozostawała cała grupa filozofów siedemnastego i osiemnastego wieku. Ostatnim z nich był Janos K. Horváth (1732-1799), który zajmował się filozofią przyrody. On także, z pozycji katolickich, dokonał pierwszej węgierskiej krytyki filozofii Kanta. Swoją pracę o *Krytyce czystego rozumu* Horvath opublikował w Budzie już w 1797 r. Z filozofów protestanckich warto wymienić tu Janosa Apacai Csere (1625-1659), który opracował *Zwięzły kurs logiki węgierskiej (Magyar Logikaiska)*, a przede wszystkim pierwszą encyklopedię węgierską, wydaną w Utrechcie w 1653 r.

W ubiegłym stuleciu filozofia węgierska rozwijała się najpierw w kręgu wpływów Kanta, później Hegla, wreszcie Comte a i Spencera. W jej rozwoju można zauważyć pewne analogie z filozofią polską. Teoretyczne przeobrażenia, którym podlegała myśl Węgrów, podobnie jak i Polaków, doprowadziły do powstania w XIX w. filozofii narodowej. Jednak, gdy polska filozofia narodowa ubiegłego wieku nawiązywała przede wszystkim do heglizmu, to filozofia narodowa Węgrów, tzw. filozofia harmonii (*egyezmenyes rendszer*), nawiązywała do Kanta i kantyzmu. Filozofia ta, bardziej nawet niż polska filozofia romantyczna, odznaczała się praktycznym, etycznym, czy nawet etyczno-religijnym nastawieniem. Jej treść koncentrowała się wokół wątków zharmonizowania ludzkich działań z ogólnymi, absolutysty-

cznie rozumianymi prawami moralnymi, oraz harmonii aksjologicznej między człowiekiem a Bogiem. Do filozofów narodowych należeli: Janos Hetenyi (1786-1853), Gusztav Szontagh (1793-1853) oraz Samuel Köteles (1790-1831).

Narodowa filozofia spotkała się z krytyką ze strony heglistów — Janosa Erdelyi (1814-1868), który dowodził, że umysłowości węgierskiej bliższy jest Hegel niż Kant oraz jego ucznia Károlya Kerkapoly (1824--1891), historyka myśli społecznej i historyka kultury.

Natomiast czołowym pozytywistą Węgier był Imve Pauer (1854-1950) profesor filozofii w Budapeszcie, redaktor „Atheneam" (od 1891 do 1914 r.). Z kolei Karoly Bohm (1846-1911), pracujący w dzisiejszym Cluj starał się godzić myśl Comte a z kantyzmem.

Po okresie fascynacji teoriami Kanta, Hegla, pozytywistów znacznie rozwinęła się filozofia neoscholastyczna i neokantyzm, zaś jeszcze później pojawiły się na Węgrzech prace pisane w duchu Brentano i wreszcie fenomenologii. Pewien wpływ wywarł także neopozytywizm Neoscholastyka dominowała w myśli węgierskiej przed 1914 r., a także pr:ed 1945 r.

Wybitnym popularyzatorem neotomizmu był Janos Kiss (1857-1930), założyciel Towarzystwa Tomasza z Akwinu, redaktor pisma o neoscholastycznym profilu — „Przeglądu Filozoficznego" (Bölcselesti Folyoirat). Neoscholastyk Menyhert Palagyi (1859-1924) zajmował się teorią poznania. Zagadnienia psychologiczne, aksjologiczne i historiozoficzne podejmował Gyula Kornis (1885-1985), pisząc dość sugestywnie o idealach cywilizacji węgierskiej. Filozofia historii, obok logiki i metafizyki stanowiła przedmiot zainteresowań Antala Schutza (1880--1953), a problematyka aksjologiczna była rozwijana przez Jozsefa Somogyiego (1898-1948), który dość oryginalnie, bo nie w duchu tradycjonalizmu katolickiego pisał o eugenice i etyce, o roli dziedziczności. Był on także znanym krytykiem fenomenologu. W dziedzinie historii filozofii zasłużył się krytyk pozytywizmu — Jozsef Trikal (1873-1950), autor wielu prac, dotyczących teorii św. Augustyna, myśli średniowiecza, a także filozofii amerykańskiej.

Znanym i cenionym filozofem eklektykiem był Akos Pauler (1876--1933), który uprawiał logikę, teorię poznania, a także etykę, łącząc wątki neoscholastyczne, pozytywistyczne, fenomenologiczne i inne. Pauler może być nazwany węgierskim Twardowskim. Podobnie, jak twórca lwowskiej szkoły filozoficznej, nawiązywał on do filozofii tomistycznej, do Arystotelesa, w dużym stopniu do Bolzano. Podobnie jak Twardowski, Pauler uważał, że zadaniem filozofii jest przezwyciężenie subiektywizmu i dążenie do prawdy absolutnej, którą należy formułować w postaci tez oczywistych, ścisłych i fundamentalnych. Stąd też w Paulerowskim podziale filozofii na pięć dziedzin pierwszoplanowe miejsce przypadło czystej logice, której funkcja ma polegać na formułowaniu uniwersaliów bytu, podstawowych struktur ontycznych. Kolejne działy filozofii to: etyka, wsparta na przesłankach niezależnych od wszelkiego doświadczenia podmiotowego, czyli na prawdach absolutnych; dalej — estetyka; metafizyka, jako nauka o dynamicznej i aktywnej rzeczywistości oraz ideologia.

Filozofia węgierska to także filozofia Węgrów związanych z zachodnimi ośrodkami naukowymi, piszących i publikujących na obczyźnie. Jednym z nich jest Wilhelm Szilasi, który w pracy *Wissenschaft als Philosophie* (Zurych i New York 1945) starał się dokonać syntezy myśli Husserla, Heideggera i Kanta. Filozofia według niego ma spore znaczenie praktyczne ze względu na wątki eudajmonistyczne, choć osobną sprawą jest to, czy spełnia stawiane przed nią oczekiwania.

Po wojnie w Zurychu pracował Kardy Kerenyi (1897-1973), autor szeregu studiów o filozofii greckiej. Głównie w Niemczech i Monachium działa Sandor Varga (ur. w 1902 r.), piszący w kręgu tradycji filozoficznych kantyzmu i neokantyzmu (H. Rickert). Opublikował on

wiele prac z dziedziny teorii poznania (problematyka tzw. dedukcji transcendentalnej) oraz z zakresu aksjologii (rzeczywistość ontologiczna a wartości). Spośród innych niemarksistowskich filozofów węgierskich, przebywających na Zachodzie, można wymienić Belę von Brandensteina (ur. 1901 r.), profesora w Saarbrucken w Niemczech — autora *Der Aufbau der Seins* oraz monografii o Platonie; a także Michaela Polanyi, który w swych anglojęzycznych książkach (na przykład w *Personal Knowledge — Wiedza osobowa*) przeciwstawia się pozytywistycznej interpretacji nauki i tzw. czystemu obiektywizmowi. Polanyi zwraca uwagę na elementy osobiste i moralne w podejściu do nauki. Podkreśla także rolę wolności w procedurach naukowych.

Najwybitniejszym marksistą węgierskim — jednym z najwybitniejszych klasyków marksizmu naszego stulecia był György Lukacs (1885--1971). Filozofia marksistowska od czasów młodości Lukacsa rozwijała się wśród Węgrów w kraju i na emigracji (w Austrii, Niemczech i Związku Radzieckim) w coraz większym stopniu. Po wojnie zaś stanowi ona najważniejszy, a potem prawie jedyny, choć uobecniony w różnych postaciach kierunek. Sam Lukács reprezentował tylko jeden z nurtów węgierskiego marksizmu, nie należy zatem sprowadzać marksizmu w tym kraju do tej jednej — oczywiście wybitnej — sylwetki. Na przykład przeciwnikiem Lukacsa był (chyba do końca życia) Laszlo Rudas (1885--1960), który już w latach dwudziestych zwracał uwagę (w wiedeńskim *Arbeiter — Literatur*) na niezgodność poglądów Lukacsa z „ortodoksyjną koncepcją marksistowską". Jeszcze inną orientację reprezentował sympatyzujący z Lukacsem, przynajmniej w młodości, József Revai (1898-1959), tzw. „etyczny komunista" za czasów Węgierskiej Republiki Rad, który zadebiutował w Tübingen w „Archiv Sozialwissenschaft und Sozialpolitik" recenzją z pracy Lukacsa *Geschichte und Klassenbewusstsein i Historia i świadomość klasowa)*. Po stronie Lukácsa stanął także wybitny później marksista węgierski Bela Fogarasi (1891-1959), który odegrał dużą rolę w popularyzacji i nauczaniu filozofii marksistowskiej na Węgrzech.

Jednak zróżnicowanie współczesnej, węgierskiej myśli nie sprowadza się wyłącznie do odmienności postaw w obrębie tej jednej teoretycznej orientacji, ma ono bowiem również charakter tematyczny, obejmując szeroką panoramę problemów. Właściwie każdy z działów filozofii znajduje swe rozwinięcie w publikacjach Węgrów.

W zakresie ontologii jedną z najcickawszych (obok prac Lukacsa, o którym nie będę tu pisał obszerniej, bo ukazało się o nim po polsku wiele artykułów, ukazały się też niedawno niektóre jego dzieła) jest książka A. Mullera: *Fizykalne poznanie świata a dialektyczno-materialistyczne ujęcie przyrody*, Budapeszt 1974. Muller pisze w niej o zupełnie nowym usytuowaniu kategorii materii w materializmie dialektycznym w stosunku do materializmu mechanistycznego. Ontologię Węgrów wypełnia także treść wyników analiz, dotyczących form ruchu materii. Twierdzi się mianowicie, że należy uwzględniać nie tylko nieredukowalne formy ruchu, lecz niejako różne poziomy tego ruchu; różne formy organizacji świata materialnego.

Z zagadnień teoriopoznawczych na pierwszy plan w dyskusjach węgierskich marksistów wybijała się problematyka powiązania ontologii z teorią poznania. Dominuje pogląd, że świadomość należy wywodzić nie ze stosunku do świata zewnętrznego, lecz należy ją rozpatrywać jako część społeczno-historycznej praktyki i w kontekście stosunków społecznych (G. Lukacs, J. Wajda, A. Szabo).

Żywo jest dyskutowana problematyka poznawalności świata. Problematykę tę rozwija T. Földesi, na przykład w książce: *Współczesne problemy poznawalności* (Budapeszt 1971). Földesi rozwaza pojęcie „świat 1" i „świat 2". Zgodnie z pierwszym pojęciem rozumie cały wszechświat nieskończony pod względem przestrzennym i czasowym, a zgodnie z drugim tylko tę jego część, która jest dostępna człowiekowi, o

której uzyskuje on informacje. Formuła „człowiek może poznać świat" wiąże się z trzema grupami problemów, problemami natury świata, czasu i przestrzeni, problemami poznawalności świata (rozważane są tu dialektyczne związki między tym, co może być poznane i tym, co może być wykonane) oraz problemami podmiotu poznania (człowiek a ewentualne inne istoty myślące, maszyny myślące itd.).

Wiele prac filozofów węgierskich dotyczy logiki i jej ewentualnego związku z logiką dialektyczną (np. praca L. Erdei *Dialektyczno-logiczna teoria poznania* — Budapeszt 1971, czy też praca S. Szigetvari z 1981 r. *O dialektyce pojęć*). Nie tylko na Węgrzech znana jest węgierska szkoła logiki matematycznej. Jedną z prac tej szkoły jest książka J. Ruzsy *Na pograniczu matematyki i filozofii* z 1968 r.

W kręgu filozoficznej metodologii powstały liczne prace węgierskich naukoznawców. Do ciekawszych prac z tej dziedziny należą: książka M. Fehera i L. Harsinga *Od naukowej problematyki do teorii*, a także niedawno wydana praca zbiorowa: *Filozofia a nauki szczegółowe*.

Na pograniczu fizyki i filozofii sytuuje się praca J. Fodora *Rozwój koncepcji determinizmu a mechanika kwantowa*. Fodor głosi dość dyskusyjny pogląd, że istnieje tylko determinizm typu materialistycznego, a idealistyczne poglądy dotyczące przyczynowości nie są faktycznie determinizmem.

Najznaczniejszym osiągnięciem węgierskiej filozofii marksistowskiej w dziedzinie ontologii a zarazem filozofii społecznej jest jednak ostatnia, nie ukończona praca Lukacsa *Wprowadzenie do ontologii bytu społecznego* (tak brzmi tytuł polskiego wydania w serii „Biblioteka Klasyków Filozofii"), o której w „Akcencie" nr 4 (18) 1983 pisał obszernie Stefan Morawski.

W filozofii społecznej dużym zainteresowaniem cieszą się prace F. Tökei o marksistowskiej filozofii historii (trzy jego książki na ten temat ukazały się niedawno po niemiecku). Interesująca jest zwłaszcza książka *O azjatyckim sposobie produkcji*, w której Tökei podejmuje kwestie tej jakże dyskusyjnej formacji społecznej. Rozważając jedną z kluczowych kategorii marksistowskiej filozofii społecznej „sposób produkcji" Tökei uwzględnia trzy elementy: jednostkowość, kolektywność i środki produkcji. Te elementy zawierają się według niego w siłach wytwórczych jako treść i w stosunkach produkcyjno-społecznych jako forma, przy tym należy je rozpatrywać jedynie we wzajemnym powiązaniu. Według Tökei komunizm to nie jedna z pięciu formacji społecznych, lecz podsumowanie całego dotychczasowego rozwoju, koniec „prehistorii". W trzech formacjach przedkapitalistycznych zachodzi proces stopniowego wyzwalania jednostki od naturalnie ukształtowanych uwarunkowań, proces stopniowej zmiany środków produkcji w sensie wysuwania na pierwszy plan człowieka-twórcy i zmiany przez niego wspólnoty zmiany polegającej na wyzwoleniu się od swojej naturalnie ukształtowanej istoty. Wszystkie poprzednie formacje uległy unicestwieniu w rezultacie rozwoju społecznych sił produkcyjnych. Granicą rozwoju dla kapitału jest zaś ta okoliczność, że rozwój odbywa się tu antagonistycznie, że rozwój sił wytwórczych zachodzi poprzez alienację pracującej jednostki. Kresem rozwoju produkcji kapitalistycznej są same stosunki kapitalistyczne, w których pojawia się całkowite rozdzielenie pracy i własności. I wreszcie komunizm według Tökeiego to realna negacja kapitalizmu, restytucja społecznej, kolektywnej formy jedności pracy i własności.

Problematyka formacji społecznych, w tym azjatyckiej formacji jest też dyskutowana w pracach A. Agha, np. w książce z 1974 r. *Problemy stawiane przez historię*. Natomiast I. Vitanyi stosuje marksistowską teorię formacji społecznych do teorii sztuki.

W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych toczyły się dyskusje w węgierskiej filozofii społecznej dotyczące miejsca i roli podmiotowości w rozwoju społecznym. Odrzucono wówczas pogląd oparty na fatalistycznej interpretacji wszystkich przejawów życia jednostkowego i subiektywnego. Z drugiej strony wykazano, że nie można marksizmu uzupełniać egzystencjalną interpretacją podmiotowości.

Szereg prac w węgierskiej filozofii społecznej poświęconych jest analizie takich kategorii, jak „cel", „działanie", „potrzeby", „praca", „interes", (np. książka J. Licka *Interes i działanie*). Zwróćmy uwagę na kategorię „pracy". Na temat jej filozoficznych aspektów ukazało się na Węgrzech z pewnością więcej tekstów niż u nas. I tak w książkach G. Fukasza analizuje się marksistowskie rozumienie pracy, warunki przejścia pracy fizycznej w umysłową, problemy zmiany społecznego statusu pracy. Fukasz rozważa także wpływ współczesnych form pracy na rozwój sztuki, na sposób życia ludzi. Obszerną analizę Marksowskiej koncepcji pracy przedstawia w swej *Ontologii* Lukacs. Praca jest tu interpretowana jako realizacja świadomego celu, jako proces celowej działalności, a równocześnie jako model całej społecznej praktyki. Zmienia ona samą naturę człowieka, bowiem człowiek stawiając przed sobą określony cel, kontroluje jego realizację i przy tym zmienia swoją świadomość, która uzyskuje nowe funkcje.

Proces pracy według Lukacsa jest związany z tym, że pasywne regulatywne dostosowanie się do otoczenia zmienia się w świadome, aktywne przekształcenie świata, stawiając człowieka, jego świadomość, przed koniecznością wyboru, przed rozstrzyganiem alternatywnych zadań. Człowiek to właśnie istota odpowiadająca na te problemy, alternatywnie stawiane przez obiektywny proces historyczny.

Z problematyką pracy blisko są związane zagadnienia alienacji. Na Węgrzech dyskutowano o nich najwięcej w połowie lat sześćdziesiątych. Niektórzy dyskutanci uważali, że alienacja to kategoria psychologiczna, inni, że jest to kategoria filozoficzno-historyczna uogólniająca stany wymykania się w określonych warunkach produktów działalności ludzkiej spod kontroli człowieka. Zarysowały się też różnice w ocenie źródeł alienacji. Doszukiwano się ich bądź w istnieniu eksploatacji, bądź w podziale pracy oraz w produkcji towarowej, co zaważyło na wypowiedziach dotyczących alienacji w społeczeństwie socjalistycznym. Jedni wiążą ją z występowaniem jeszcze przeżytków kapitalizmu i nie godzą się z poglądem, że w społeczeństwie socjalistycznym powstały nowe odmiany alienacji, inni, uważając że pewne elementy alienacji występują w społeczeństwie socjalistycznym — utrzymują, jak A. Wirt, że alienacja to kategoria zbędna przy analizie struktury społeczeństwa socjalistycznego, jeszcze inni, jak M. Almasi (uczeń Lukacsa) sądzą, że alienacja wiąże się tylko z deformacjami i wypaczeniami zasad socjalizmu. Niektórzy teoretycy społeczeństwa twierdzą wprost, że w formacji socjalistycznej zachodzą procesy alienacji, bo nadal obowiązuje prawo wartości, istnieje państwo oraz stosunki towarowo-pieniężne. Nie mają one wprawdzie takiego znaczenia jak w społeczeństwie kapitalistycznym, ale niemniej w pewnych warunkach sprzyjają powstawaniu zjawisk alienacyjnych.

Najobszerniej problematykę alienacji przedstawił oczywiście G. Lukacs w *Historii i klasowej świadomości*, w *Młodym Heglu* i w *Ontologii*. Lukács pisał, że człowieka można rozważać jedynie w określonym społeczno-historycznym otoczeniu i że alienacja nie powinna funkcjonować jako jakaś ogólna, pozahistoryczna, antropologiczna kategoria. Pojęcie alienacji to oczywiście abstrakcja naukowa, ale w realnym życiu społecznym występuje tylko w postaci konkretnej. Przy tym jest nie tyle zjawiskiem ideologicznym, ile ugruntowanym w ekonomice.

Wiele uwagi poświęca się na Węgrzech problematyce alienacji religijnej. Tu szczególnie cenne są prace innego Lukacsa — Jozsefa, redaktora naczelnego czasopisma „Vilagossag" — „Światło". Prace jego znane są i u nas dzięki publikacjom w „Człowieku i światopoglądzie",

miesięczniku, który stosunkowo dużo uwagi poświęca filozofii, myśli społecznej i religioznawstwu Węgier.

W powiązaniu z zagadnieniami alienacji wiele problemów, zwłaszcza filozofii człowieka, rozpatruje Laszlo Farkas — na przykład w książce *Wolność i osobowość*. W innej swej książce *Egzystencjalizm, strukturalizm i falsyfikacja marksizmu* Farkas dokonuje gruntownej analizy marksizujących elementów w kierunkach filozoficznych XX wieku. Kondycja człowieka we współczesnym świecie, jego zagubienie w różnych układach stosunków rzeczowych na Zachodzie to przedmiot kilku książek E. Ancsela, np. *Dylematów wolności* z 1976 r. czy niedawno wydanej książki *O etosie*.

Rozważając zagadnienia filozofii społecznej nie mogę pominąć etyki. Etycy węgierscy są wysoko cenieni na konferencjach międzynarodowych. Obok prac L. Farkasza (np. *Moralność i rewolucyjność* — w której analizuje on poglądy klasyków marksizmu na zagadnienia moralne) wymienić należy prace T. Huszara *Moralność a społeczeństwo*, a także M. Makai *O dialektyce świadomości moralnej*. Makai rozważa w tej obszernej i cennej książce wiele zagadnień z pogranicza epistemologii i etyki. Przedstawia różne formy świadomości moralnej, zajmuje się podmiotowymi aspektami moralności — moralnością indywidualną, wreszcie jej praktycznymi i epistemologicznymi problemami.

Wracając do zagadnienia antropologii filozoficznej trzeba jeszcze zwrócić uwagę na dość obszerne zakresowo i problemowo prace z dziedziny filozofii człowieka. L. Garai (*Dynamika osobowości i byt społeczny*) wykazuje, że analiza stosunków osobowościach ma duże znaczenie dla psychologii społecznej.

W dziedzinie estetyki najcenniejsze prace napisał G. Lukacs. Uważał on, jak wiadomo, że sztuka jest najwyższą formą samopoznania człowieka. To samopoznanie związane jest ściśle ze światem obiektywnym, który oddziałuje na jednostkę, panuje nad nią. Jednocześnie Lukács gorąco broni realizmu w sztuce, jako stylu, który dostarcza głębokiego i wieloaspektowego przedstawienia świata, gdy tymczasem sztuka awangardowa jest jednostronnym, statycznym przedstawieniem świata zgodnie z wybranym zespołem odczuć czy nastrojów.

Znanym także w Polsce estetykiem marksistowskim z Węgier jest J. Szigeti. Zajmuje się on problematyką przedmiotu i swoistości estetyki marksistowskiej w książce *Wstęp do estetyki marksistowsko-leninowskiej* oraz problematyką realizmu w sztuce w *Szkicach literackich*. Mocno zarysowanym działem estetyki węgierskiej jest estetyka muzyki (książki D. Zoltaia, np.: *Obraz człowieka we współczesnej muzyce*). Niedawno D. Zoltai opublikował zarys historii estetyki. Historyczne prace Węgrów wykraczają jednak poza zainteresowania odnoszące się do dziejów pojedynczych dyscyplin filozoficznych. Przedmiotem swoich dociekań uczynili oni bowiem także, czy przede wszystkim, samą historię filozofii. Świadectwo dbałości o popularyzację klasycznego dorobku filozofii europejskiej stanowią dwie serie wydawnicze: „Zbiory dzieł filozoficznych" oraz „Myśliciele". Wydano trzytomową *Historię filozofii* (praca zbiorowa). Ukazały się m.in. monografie o etyce Arystotelesa, o antropologii Odrodzenia (A. Heller), o Leibnizu (I. Simonovicsne), o Diderocie (J. Szigeti), o Kartezjuszu (D. Kalocsai), o teologii u Kanta (I. Hermann), o Bergsonie (P. Sandor), o Sartrze (M. I. Feher).

Wielu historyków filozofii i filozofów zajmuje się historią marksizmu. Liczne zagadnienia historii marksizmu pojawiają się w *Ontologii* Lukacsa. A. Agh w książce *Ujęcie historii w „Ideologii niemieckiej"* zajmuje się Marksowską koncepcją historii. Kilka prac filozoficznych poświęcono Leninowi jako filozofowi. W 1970 r. ukazał się tom esejów Lukacsa na ten temat. Lukács wysoko ocenił wkład Lenina do filozofii marksistowskiej. Z kolei A. Wirth rok później wydał w Budapeszcie książkę *Lenin jako filozof*, gdzie zajmuje się między innymi leninowskim ujęciem dialektyki.

Od lat sześćdziesiątych poważnie zaczęto studiować historię filozofii węgierskiej. Niemałe zasługi ma tu L. Matrai, który niedawno wydał książkę o filozofii węgierskiej początku XX w. Wcześniej ukazała się jego książka o filozofii węgierskiej XV-XVII w. G. Fukasz w książce *Burżuazyjny radykalizm na Węgrzech* omawia poglądy węgierskich radykałów z początku wieku, którzy zasłużyli się w popularyzowaniu marksizmu wśród robotników. Z. A. Madarasznе napisał ciekawą pracę o filozofii Paulera pt. *Podstawowe problemy czystej logiki*. Jednakże są jeszcze spore luki w popularyzowaniu i studiowaniu węgierskiej filozofii. Gdy przegląda się np. wydany na Węgrzech słownik filozoficzny (*Filozofiai Kislexikon* — Budapeszt 1973), to wyraźnie widać, że zbyt pobieżnie potraktowano w nim rodzimą filozofię.

Twórczość Lukacsa to, jak się rzekło, osobny temat w węgierskiej filozofii. W Budapeszcie istnieje dziś dom-archiwum Lukacsa, w którym gromadzone jest wszystko, co się na świecie pisze o tym wielkim — może największym po Leninie i Gramscim — marksiście naszego wieku. Ukazują się książki o filozofii Lukacsa, jak np. książka I. Hermanna: *Świat myśli György Lukacsa. Badania możliwości człowieka XX wieku*. Niedawno w Budapeszcie wydano piękny album ze zdjęciami i dokumentami, w którym bardzo sugestywnie zaprezentowano krąg nauczycieli, przyjaciół, współpracowników i... wrogów wielkiego filozofa.

Przedstawiłem tu w dużym skrócie — niejako z lotu ptaka — obraz filozofii naszych węgierskich przyjaciół. Wiele kwestii na pewno pominąłem. Jednakże w zakończeniu muszę wspomnieć jeszcze o jednym: o specjalistycznym, interesującym czasopiśmie filozoficznym (odpowiedniku naszych „Studiów Filozoficznych") — jest to „Magyar Filozofiai Szemle" czyli po polsku „Węgierski Przegląd Filozoficzny" — organ Instytutu Filozofii Węgierskiej Akademii Nauk, dobrze orientujący w najnowszych dokonaniach węgierskiej filozofii.

Stanisław Jedynak

Książki nadesłane

Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza

Marian Sękowski: *Pamiętnik warszawskiego taksówkarza*. Wstęp Roch Sulima. Wyd. II. str. 496. nakład 20 000 egz., cena zł 260,—

Ivo Andrić: *Most na Drinie* Przełożyła Halina Kalita. Wyd. III, str. 320. nakład 50 000 egz., cena zł 200,— (Seria „Biblioteka Ludowa").

Jan Goczoł: *Poezje wybrane*. Wybór i wstęp Autora. Str. 176, nakład 10 000 egz., cena zł 100,—

Kazimierz Glinski: *Cecora. Powieść historyczna z pierwszej połowy XVII wieku*. Wyd. II, str. 272, nakład 100 000 egz., cena zł 200,—

Edward Redliński: *Awans*. Wyd. III, str. 130, nakład 30 000 egz. cena zł 120,—

Baśnie polskie. Wybór i opracowanie Tomasz Jodełka-Burzecki. Wyd. VI, str. 490, nakład 100 000 egz., cena zł 350.—

Józef Burszta: *Chłopskie źródła kultury*. Str. 343, nakład 10 000 egz., cena zł. 250,—

Marek Harny: *Krama naszej tęsknoty*. Str. 478, nakład 20 000 egz., cena zł. 250,—

Bohdan Dzitko: *Król sezonu 60*. Str. 192, nakład 20 000 egz., cena zł 140,—

LESZEK PIĄTKOWSKI

Stefan Batory
Polski król z Siedmiogrodu

Stefan Batory, podobnie jak Henryk Walezy, trzech Wazów i dwóch Sasów, był królem elekcyjnym pochodzącym z nacji obcej, jak to się wówczas mówiło — „nie Piastem". Szukanie na tron Polski kandydata na Węgrzech nie było czymś całkowicie nowym. W 1370 r., po śmierci Kazimierza Wielkiego, po raz pierwszy, na podstawie dobrowolnej umowy, objął rządy w Krakowie władca nie wywodzący się z linii „panów przyrodzonych" Polski, król węgierski, Ludwik. A gdy on zmarł w 1382 r., po dwuletnim bezkrólewiu przybyła do Krakowa jego młodsza córka Jadwiga i została koronowana w katedrze wawelskiej 16 października 1384 r. na królową Polski, sprawując tu władzę wraz ze swym przyszłym mężem, Władysławem Jagiełłą, aż do śmierci w 1399 r.

Na przyjęcie kolejnego władcy z krajów Arpadów i Zapolyów oczekiwał Wawel niemal dwa stulecia. Okazał się nim książę Siedmiogrodu — Stefan Batory.

Urodził się 27 września 1533 r. w Somlyó. Jego ojcem był wojewoda siedmiogrodzki Stefan Batory, matką — Katarzyna Telegdi, córka podskarbiego korony węgierskiej. Wcześnie, gdyż już w 1534 r. stracił ojca. Wychowaniem chłopca zajęła się matka oraz starszy brat — Andrzej. Mając 11 lat został wysłany na tętniący życiem politycznym dwór arcybiskupa ostrzyhomskiego, Pawła Vardaya, namiestnika cesarskiego. Kolejny etap edukacji politycznej odbył Batory na dworze króla, a wkrótce cesarza, Ferdynanda Habsburga. Przedstawiając królowi swego protegowanego, Paweł Varday miał rzec: „Najjaśniejszy Panie, oto dziecko, które pragnie, by traktowano je jak mężczyznę". Ferdynand Habsburg polubił Batorego czyniąc go swym pomocnikiem na codziennych polowaniach. W 1549 r. zaliczył go do orszaku ślubnego swej córki Katarzyny. Batory towarzyszył Habsburżance w drodze do jej narzeczonego, księcia Mantui. Pobyt we Włoszech wykorzystał Batory do podjęcia studiów na Uniwersytecie w Padwie. Trwały one wprawdzie krótko, lecz wywarły na niego duży wpływ. Padwa była wówczas głównym celem pielegrzymek humanistów węgierskich, tu studiowała większość wykształconych Węgrów tego okresu. Z niektórymi z nich zetknął się wówczas osobiście, później z ich szeregów najchętniej wybierał swych współpracowników.

Do ojczyzny powrócił wiosną 1550 roku. Węgry przeżywały wówczas trudny okres, musiały prowadzić ustawiczne walki bądź to z Turkami, bądź z Habsburgami. Mając 18 lat Batory wziął w nich aktywny udział. Wiele czasu poświęcił również czytaniu dzieł historyków rzymskich, a

szczególnie Juliusza Cezara. Lektura tego ostatniego pozwoliła mu wyrobić przekonanie, co często później powtarzał, że „zwycięstwo zależy od męstwa, a nie od liczby", a także, że „wroga trzeba bać się z daleka, ale już nie — gdy jest blisko". Z niepokojem obserwował skutki przemarszu wojsk tureckich czy habsburskich, spalone wsie, opuszczone gospodarstwa, tysiące rodaków pędzonych w więzach do niewoli tureckiej. Był również świadkiem pożegnania się z ziemią węgierską królowej węgierskiej Izabeli (córki Zygmunta I Starego i Bony, a żony zmarłego Jana Zapolyi, króla Węgier), zmuszonej w 1551 r. do opuszczenia kraju. Batory mocno przeżył dramat królowej. Z tym większą satysfakcją powitał ją jesienią 1556 r., gdy powracała na Węgry. Powitał piękną mową wygłoszoną w języku łacińskim. Odtąd też, za wzorem ojca, przystąpił do służby królewskiej rodzinie Zapolyów. Batorowie zresztą zawsze byli po stronie Zapolyów, nawet wówczas, gdy królowa Izabela przebywała na wygnaniu. Związek z Habsburgami uważali za zdradę, a ich panowanie za ucisk.

Królowa Izabela szybko doceniła najmłodszego z Batorych. Wyrazem tego była jego nominacja na komendanta Waradyna. Oznaczało to drugą w hierarchii krajowej rangę wojskową.

4 marca 1562 r. przyszło Batoremu dowodzić pierwszą bitwą. W pobliżu zamku Hadad poniósł on porażkę z przeważającymi siłami Ferdynanda Habsburga. Mimo to impet napastników załamał się, tak że wkrótce podpisano zawieszenie broni. W ten sposób przegrana nie przyniosła mu wstydu, ugiął się bowiem pod naporem wielkiej przewagi wroga. Natomiast zawarty rozejm spowodował nawet wzrost autorytetu Batorego, gdyż uznano, że w ten sposób uratował on tron dla Zapolyów.

Jan Zapolya, syn Izabeli, docenił zresztą zasługi swego komendanta. Od tej pory urósł on do rangi najbardziej wpływowego doradcy dworu królewskiego. Urząd komendanta Waradyna umożliwił mu zaś wybicie się na pierwszy plan w rodzinie i prześcignięcie starszych braci. Batory okazał się człowiekiem stanowczym, o nieugiętej woli, żywej i rozwiniętej umysłowości, ale usposobieniu bardzo poważnym. Zawsze opanowany i zrównoważony nie pozwalał sobie na żadne nie przemyślane kroki. Wolał zachować przesadną ostrożność, czy nawet pozornie pójść na kompromis, niż postąpić nierozważnie. Współcześni uważali go za człowieka zamkniętego i skrytego, ale jego zniewalająca siła, bijąca od całej postaci rozbrajała i zyskiwała zaufanie ludzi, z którymi się stykał.

W tym czasie zaczęła też przybierać realne kształty jego koncepcja polityczna. Doszedł do wniosku, że w walce o zjednoczenie Węgier, należy liczyć przede wszystkim na własne siły. Ani Turcy, ani Habsburgowie nie pomogą bezinteresownie. Węgrzy muszą jednoczyć swe siły. Na początek należy zapewnić krajowi pokój z obydwoma potężnymi sąsiadami. Plany te zaakceptował królewicz Jan Zygmunt uznając jednocześnie, że do ich realizacji najbardziej nadaje się sam Batory. W ten sposób młody Batory miał sprawdzić się w roli dyplomaty i to od razu na tak wysokim szczeblu. W czerwcu 1563 r. wyjechał on na pertraktacje do Wiednia. Partnerem w rozmowach okazał się Maksymilian Habsburg, któremu ojciec Ferdynand powierzył misję zawarcia pokoju. Rozmowy okazały się trudne, obydwie strony zajęły nieustępliwe stanowiska, stąd przeciągnęły się aż do jesieni 1563 r. Wówczas to Jan Zygmunt, który zbliżył się w międzyczasie do Porty, odwołał Batorego z Wiednia.

W roku następnym Batory powrócił do żołnierskiego rzemiosła. Przeprowadził wówczas zwycięską kampanię przeciwko zdrajcy Ballasie i popierającym go Habsburgom. Niestety, sukcesy te zostały zaprzepaszczone przez Jana Zygmunta, który próbując ratować sytuację zwrócił się ponownie do Batorego z prośbą o pomoc w nawiązaniu rozmów z Habsburgami.

W efekcie, 24 marca 1565 r., Batory udał się powtórnie do Wiednia.

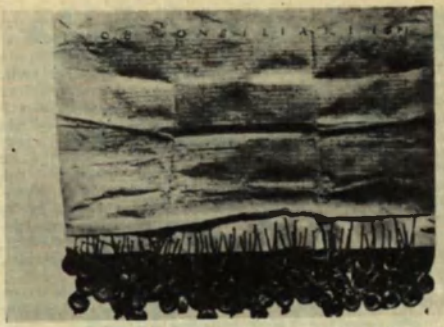

Dyplom stanów polskich z 1575 r. stwierdzający wybór Anny Jagiellonki na królową i Stefana Batorego na króla polskiego (dyplom zdobi 76 pieczęci)

W trakcie prowadzonych rozmów Jan Zygmunt ponownie uzyskał poparcie Porty. Postanowił więc przerwać rokowania. Wytrąciło to cesarza z równowagi, w wyniku czego Batory został aresztowany. Pobyt w niewoli trwał dwa lata. Cesarz był nieustępliwy, zaś Jan Zygmunt niezbyt upominał się o swego posła. Nie był to okres zupełnie stracony dla Batorego. Wykorzystał go bowiem na uzupełnienie wykształcenia. Zdobył też wiele nowych doświadczeń. Pozostało mu jednak poczucie krzywdy.

Kiedy wreszcie latem 1567 r. powrócił do ojczyzny, spotkało go kolejne rozczarowanie. Było nim chłodne przyjęcie ze strony Jana Zygmunta. Został również pozbawiony stanowiska komendanta Waradyna. Stało się tak za sprawą rywala, Batorego — Kaspra Bekiesza, który zdobył znaczne wpływy na dworze królewskim.

Sytuacja zmieniła się po śmierci Jana Zygmunta 10 marca 1571 r. Okazało się, że Bekiesz nie uzyskał poparcia Siedmiogrodzian. Nieufnie odnosił się do niego również sułtan. To zwiększyło szansę Batorego, na którego już od pewnego czasu wskazywano, jako na przyszłego władcę. Sam pretendent rozegrał batalię o tron książęcy po mistrzowsku. Mimo opozycji Bekiesza i nieprzyjaznego stanowiska Wiednia, 26 maja 1571 r. siedmiogrodzki sejm elekcyjny okrzyknął Stefana Batorego „z wielkiego prastarego rodu, który wywodził się z Somlyó", księciem Siedmiogrodu.

W obronie tego tytułu i swej władzy musiał jeszcze Batory stoczyć walkę z popieranym przez Habsburgów Bekieszem. Okazał się on godnym przeciwnikiem. Pokonany w 1573 r. opuścił Siedmiogród, lecz w dwa lata później dokonał kolejnego ataku. Jednak i tym razem szczęście mu nie sprzyjało. 10 lipca 1575 r. poniósł klęskę w bitwie pod Kerelöszentpal nad rzeką Maros. Rozprawa Batorego z pokonanymi była sroga. Wielu zwolenników Bekiesza straciło życie, wielu poddano torturom, inni musieli opuścić kraj. Czynił to Batory w przekonaniu, że „kto chce odzyskać wolność, musi na to zasłużyć nie buntem przeciwko władzy książęcej, lecz wierną służbą". Sam Bekiesz zdołał zbiec z kraju. W latach późniejszych Batory, już jako król Polski, pojednał się z nim W 1577 r. Bekiesz przybył do nowej ojczyzny Batorego — stając się odtąd wiernym i cenionym przyjacielem swego niedawnego przeciwnika.

W węgierskiej tradycji historycznej imię Stefana Batorego nierozerwalnie wiąże się z Księstwem Siedmiogrodzkim, którego był twórcą.

Stworzył go ze szczątków węgierskiego państwa wschodniego. Jednocześnie zainicjował politykę siedmiogrodzką, politykę utrzymywania się między Turcją a Habsburgami i gromadzenia sił. Uczynił też wiele dla okrzepnięcia wewnętrznego państwa. Wzmocnił władzę centralną. Zreorganizował armię. Umiejętnie prowadził politykę wyznaniową. Kiedy zostawał księciem reformacja zdołała już zapuścić na Węgrzech dość głębokie korzenie. Batory podjął co prawda próbę przywrócenia panowania katolicyzmu, ale szybko zrozumiał, że nie ma ona szans powodzenia. Wycofał się więc, a jego dalsze posunięcia doprowadziły raczej do wyrównania sił i utrwalenia podziału religijnego. Stosunkowo zgodne współżycie pięciu wyznań pozwoliło Siedmiogrodowi uniknąć wojen religijnych i pośrednio przyczyniło się do konsolidacji politycznej.

W 1576 r. pierwszy książę Siedmiogrodu, po pięcioletnim panowaniu, opuścił swój kraj. Dalsza historia jego życia jest już częścią dziejów narodu polskiego, choć nie oznacza to, iż w tym momencie skończyła się jego rola w historii Siedmiogrodu.

Właściwe starania o tron polski rozpoczął Batory już na kilka lat przed elekcją. Czynił to z godną podziwu ostrożnością a jednocześnie niesłychaną konsekwencją. Rozumiał, że dopóki nie umocni swojej pozycji w kraju, dopóki nie będzie panem sytuacji u siebie, nie ma większych szans zwycięstwa. Potwierdziła to elekcja z 1573 r. oddająca koronę polską Henrykowi Walezemu. Batoremu zależało bardzo na tronie polskim już wówczas, ale potrafił realistycznie ocenić przyczyny swej porażki. W liście do swego brata Krzysztofa, z 16 marca 1574 r. pisał: „Za słaby byłem, by sięgnąć po wolną niedawno w Królestwie Polskim koronę, miałbym wtedy już dziś wszystko, na co muszę jeszcze tyle lat czekać". Rzeczywistość okazała się dla Batorego znacznie przychylniejsza. Oczekiwanie nie było aż tak długie, zostało skrócone ucieczką Henryka Walezego z Polski.

Na wieść o ucieczce Walezego, Batory zareagował natychmiast. Błyskawicznie zwrócił się z prośbą o wsparcie do sułtana. Czynił to z pełną premedytacją. Wiedział, że Polacy byli zainteresowani w utrzymaniu poprawnych stosunków z Portą. Chciał więc się im przedstawić jako człowiek cieszący się łaskami sułtana. Równocześnie osiągnął inny cel. Otóż przybyły na sejm konwokacyjny poseł turecki — Achmet czausz, wymienił nazwisko Batorego jako jednego z proponowanych przez sułtana kandydatów na tron Polski. Co prawda dopiero na trzecim miejscu, ale tym się jeszcze Batory wówczas nie martwił. Tymczasem, starał się nie zaniedbywać niczego co mogło przyczynić się do jego ostatecznego sukcesu. Wysłał więc do Polski przebywającego na jego dworze Samuela Zborowskiego w celu zjednywania mu stronników. Orientując się natomiast w roli, jaką może odegrać w najbliższej elekcji Anna Jagiellonka, niezamężna córka Zygmunta Starego i Bony, postanowił zrezygnować z planów małżeństwa z księżniczką francuską. Jednocześnie uspokajał sprytnie swego najgroźniejszego konkurenta, cesarza Maksymiliana II, zapewniając go, iż nigdy nie śmiałby stanąć mu na drodze do osiągnięcia tronu polskiego.

Mimo tych wysiłków jego szanse wydawały się początkowo raczej mizerne. Przełom nastąpił w lipcu 1575 r. po zwycięstwie Batorego nad Bekieszem w bitwie nad Maros. Skromny i ukrywający się za wszystkimi kandydatami, zyskał książę siedmiogrodzki tym jednym zwycięstwem więcej niż inni pretendenci długą agitacją i wielkimi nakładami pieniężnymi. Ostrożny i opanowany przed tym zwycięstwem, nie traci Batory wprawdzie tych cech charakteru i teraz, lecz staje się pewniejszy siebie. Zaczął też realnie myśleć o sukcesie. Konfiskata zaś ogromnych dóbr Bekiesza i jego zwolenników dostarczyła mu środków finansowych na prowadzenie kampanii elekcyjnej. A prowadził ją umiejętnie. Agitatorzy batoriańscy w Polsce akcentowali takie przymioty charakteru swego kandydata, które bardzo łatwo ujmowały mu zwolenników. Stale też podkreślano podobieństwo form

ustrojowych obydwu państw. Akcją probatoriańską zręcznie kierował pierwszy poseł Batorego w Polsce, Jerzy Blandrata, dawny nadworny lekarz królowej Bony. O jego dyplomatycznym talencie świadczy mowa, jaką wygłosił 15 listopada 1575 r. przed sejmem warszawskim. Zapewniał w niej, że Batory jest gotów opuścić Siedmiogród i przybyć do Rzeczypospolitej, by tu całkowicie oddać się na jej usługi. Zdając sobie jednak sprawę z tego, co dom austriacki uczynił dla chrześcijaństwa i samego Batorego, ten ostatni zrzeka się rywalizacji z cesarzem; staje jednak do współzawodnictwa z każdym innym kandydatem do tronu polskiego. Blandrata podkreślał zalety Batorego. Obiecywał też w jego imieniu *uszanowanie praw, przywilejów i wolności religijnej, zapłacenie długów państwowych, odebranie zajętych przez Moskwę ziem, umocnienie granic, zasilenie skarbu państwowego sumą 200 tys. guldenów*. Przyrzekał również Batory, ustami swego posła, że w razie wojny osobiście stanie na czele wojska, jak również, iż będzie czynił starania mające na celu wykupywanie szlachty ruskiej z niewoli tatarskiej.

Jesienią 1575 r. szanse Batorego wydawały się już tak silne, że śmiało mógł wysłać na elekcję upełnomocnionego posła. Został nim podkanclerzy, Marcin Berzeviczy. Pomimo tego początek elekcji nie zapowiadał zwycięstwa kandydata siedmiogrodzkiego, a kiedy 12 grudnia prymas Jakub Uchański ogłosił królem cesarza Maksymiliana II, wydawało się, że Batory i tym razem poniósł porażkę.

Tymczasem przeciwna Habsburgowi szlachta nie dała się zaskoczyć. Po krótkim okresie zawahania się, 15 grudnia 1575 r. *zgodnie rozkazano Mikołajowi Sienickiemu, herbu Bończa, Podkomorzemu Chełmskiemu, Marszałkowi koła rycerskiego, aby Królewnę [Annę Jagiellonkę] za Królową, a Stefana Batorego za Króla Polskiego i Xiążę Xięstwa Litewskiego nominował, co też uczynił Sienicki.*

Batory zawiadomiony o decyzji z 15 grudnia postanowił nie tracić ani chwili. Podziękował za wybór i koronę polską jako wielki zaszczyt sobie to poczytując. Autentyczne zadowolenie wykazał również sejm siedmiogrodzki. Batory zaprzysiągł następnie pacta conventa. Przyrzekł poślubić Annę Jagiellonkę. Zawiadomił też wkrótce szlachtę polską, że już wystąpił do Porty oraz chana Tatarów krymskich z żądaniem uszanowania granic Rzeczypospolitej. Obiecywał również stawić się w Krakowie natychmiast po uregulowaniu spraw siedmiogrodzkich. Te zaś, nie zabrały mu wiele czasu, gdyż już wcześniej uzgodnił je ze swym bratem Krzysztofem, jako swoim namiestnikiem w Siedmiogrodzie. Dał też grzeczną, acz stanowczą, odprawę posłowi cesarskiemu, Krzysztofowi Teuffenbachowi, który przybył do Batorego w celu nakłonienia go do zrzeczenia się tronu polskiego.

Nie próżnowali i zwolennicy Batorego w Polsce. Zwołali oni do Jędrzejowa na początek stycznia 1576 r., pospolite ruszenie. Nie poprzestając na tym, dokonali rzeczy w danych warunkach najpotrzebniejszej, mianowicie zajęli Kraków. Tu tylko bowiem mogła odbyć się koronacja. W lutym 1576 r. przybyła tu również Anna Jagiellonka wraz z całym dworem.

Energia strony batoriańskiej korzystnie odbijała się od niedołęstwa habsburskiej. Gdy pierwsza dokonywała czynów, druga czyniła gesty. Batory nadal działał konsekwentnie i szybko. 31 marca 1576 r. był już na granicy polskiej, natomiast 23 kwietnia, w poniedziałek wielkanocny, wjechał do Krakowa. 1 maja odbył się ślub Batorego i Anny Jagiellonki, a następnie koronacja pary małżeńskiej. Obrzędu dokonał biskup kujawski Stanisław Karnkowski, jedyny jak dotąd człowiek polskiego episkopatu, który opowiedział się po stronie Batorego.

W ten sposób doszło do zawarcia trzeciej z kolei unii polsko-węgierskiej. Tym razem nie obejmowała ona jednak całego Królestwa Węgierskiego, lecz zaledwie trzecią jego część. W przeciwieństwie też do poprzednich unii zachodziła teraz wyraźna dysproporcja sił między obydwoma państwami. Stąd nie było trudności w ustaleniu wspólnej

Stefan Batory. Rycina z pierwszej połowy XVII wieku.

stolicy. Zostać nią mógł tylko Kraków. Stefan Batory utrzymywał tu stałą kancelarię do spraw Siedmiogrodu. Jedynie w sprawach mniejszej wagi politycznej decydował za niego brat Krzysztof. Wielką politykę siedmiogrodzką, politykę wyzwolenia i zjednoczenia Węgier, prowadzić miał nadal Batory osobiście. Korona polska była oparciem dla tych wielkich planów.

Batory został wybrany przede wszystkim głosami szlachty koronnej. Nie głosował za nim nikt z Litwinów. Miał przeciwko sobie wielu magnatów z prymasem Uchańskim na czele. Nie uznał jego elekcji Gdańsk. Nowy król Polski nie uległ jednak naciskowi chwili. Nikomu nie udało się niczego na nim wymusić. Świadom swej siły i wartości, już w jednym z pierwszych swych wystąpień miał rzec: *Nie w chlewie, ale człowiekiem wolnym urodziłem się, ani mi też zbywało na jedzeniu i odzieży, zanim do tej ziemi przybyłem. Wolność moją kocham i w całości ją zachowam. Z woli bożej królem waszym przez was obrany zostałem. Przybyłem tu wskutek waszych próśb i nalegań. Wy sami włożyliście mi koronę na głowę. Jestem więc waszym rzeczywistym, a nie malowanym monarchą. Chcę panować i rozkazywać i nie ścierpię, żeby kto nade mną panował. Bądźcie stróżami wolności waszej — to dobrze. Ale nie pozwolę, żebyście byli bakalarzami moimi i senatorów moich. Tak strzeżcie wolności waszej, aby się w swawolę nie wyrodziła.*

Przyszłość wykazała, że nie były to tylko czcze słowa. Batory zawsze traktował swe obowiązki monarsze bardzo poważnie. Nie pozostawił też nikomu złudzeń kto tu jest władcą. Przyjmując więc np. senatorów litewskich, zdecydowanie odrzucił ich pretensje i skargi, jakoby Korona sama wybrała króla, a uroczystości koronacyjne odbyły się bez ich udziału. Odpowiedział, że powiadomieni byli zarówno o elekcji, jak i o koronacji. Widząc więc, że uporem nic nie wskórają, stawili się przed królem, prosząc o zatwierdzenie ich przywilejów. Podobnie postąpił z prymasem Uchańskim. Gdy ten nie przyjął zaproszenia królewskiego tłumacząc się złym stanem zdrowia, król zapowiedział mu swoją wizytę, wysyłając przodem oddziały węgierskie. Jednocześnie, wiedząc o wpływie jaki wywiera na prymasa nuncjusz papieski — Giacome Laureo, Batory wysłał mu list, w którym pytał, czy nuncjusz ma jakieś zlecenie do niego, bo jeśli nie, to proszony jest o opuszczenie Polski. Wystarczyło to, by Uchański zrozumiał, że pozostało mu tylko podporządkować się nowemu władcy. Za jego przykładem poszli inni dotychczasowi przeciwnicy Batorego. Ten nie czekał zresztą na nich bezczynnie. Często sam „odwiedzał" ich posiadłości stawiając ich w przymusowej sytuacji. Postąpił tak np. wobec posłów pruskich w Brześciu Kujawskim, czy mieszczan Torunia, Malborka i Grudziądza. W ten sposób udało mu się szybko spacyfikować kraj. Najdłużej opierał się Gdańsk. Widząc, że dotychczasowe metody nie przynoszą rezultatu, Batory skierował przeciwko miastu wojsko. Gdy i wówczas wojna przedłużała się, postanowił rozpocząć rozmowy. Krok ten podyktowany został coraz trudniejszą sytuacją w Inflantach zaatakowanych przez Iwana IV Groźnego. Komplikowała się też sytuacja w Prusach. Dlatego układ zawarty z Gdańskiem, aczkolwiek będący poważnym ustępstwem ze strony Batorego, trudno uważać za całkowitą porażkę. Podobnie jak mało zasadny jest pogląd, jakoby Batory rozpoczął w ogóle wojnę z Gdańskiem li tylko w celu zdobycia pieniędzy na wojnę z Moskwą. W tym duchu zresztą tłumaczy się jego zgodę — niekorzystną dla Polski — na objęcie przez Jerzego Fryderyka Hohenzollerna, księcia Ansbach, w 1577 r., kuratelę nad umysłowo chorym księciem pruskim, Albrechtem Fryderykiem. I ta ocena nie uwzględnia niestety wszystkich okoliczności towarzyszących temu układowi.

Batory potrafił być zdecydowany nie tylko wobec swych przeciwników. Przekonali się o tym Zborowscy, którzy przecież w wydatny sposób przyczynili się do jego zwycięstwa w walce o tron polski. Spodziewali się więc ze strony króla wdzięczności w formie nowych urzędów i stanowisk. Tymczasem tylko jeden z pięciu braci otrzymał awans — kasztelanię gnieźnieńską. Był nim Jan, stanowczo najwięcej wart z całej rodziny. Pozostali Zborowscy uznali, że stała im się krzywda. Rozpoczęli więc knowania z Wiedniem i Moskwą. Dowiedziawszy się o tym król nie zawahał się — Samuel zapłacił głową, został ścięty 26 marca 1584 r., zaś Krzysztof został skazany na banicję. Batory i tym razem okazał się zwycięzcą — opozycja nie zdołała osłabić pozycji władcy, a to było w całym tym zatargu najważniejsze.

Stanowczość Batorego odczuła również Anna Jagiellonka, która w elekcji księcia siedmiogrodzkiego dostrzegła wielką szansę dla siebie. Kasztelan miński pisał niedługo po ślubie: *„Widzę chłopa dopad a, gębę nosi wysoko i hardo, ale widzę po samym, że go rządzić nie będzie, bo prawy chłop!"* I rzeczywiście, nie dzielił się Batory władzą ze swą małżonką. Nie miała ona zresztą też wielkiej pociechy z niego jako męża. Młodszy o dziesięć lat unikał on wyraźnie swojej oblubienicy. Jeśli nie na wojnie, to na polowaniu, w podróży po kraju, wszędzie, byle z dala od żony. Mimo takiego postępowania, Batory kierując się polską racją stanu nie zdecydował się na przeprowadzenie rozwodu. Zrezygnował świadomie z planów założenia dynastii.

Polską racją stanu kierował się również Batory rozpoczynając wojnę z Moskwą o Inflanty, będące w krwiobiegu Rzeczypospolitej od czasu Zygmunta Augusta. Wojna ta była następstwem zajęcia przez Moskwę w latach 1575-1577 Inflant aż po Dźwinę (z wyjątkiem Rygi i Tallina). W trzech kolejnych wyprawach zdobył Batory Połock (1578) Wielkie Łuki, Cholm i Woroniec (1580) oraz rozpoczęto oblężenie Pskowa (1581). Wskutek przedłużającego się oblężenia, coraz bardziej niechętnego stosunku szlachty do wojny oraz pośrednictwa legata papieskiego zawarto w styczniu 1582 r. dziesięcioletni rozejm w Jamie Zapolskim. Zwycięstwa Batorego przyniosły Polsce Inflanty z Parnawą i Dorpatem, zaś Litwie — ziemię połocką.

W wojnie tej wspomagały Polaków znaczne posiłki siedmiogrodzkie. Trzy tysiące zaciężnych żołnierzy węgierskich tworzyło elitę sił zbrojnych Batorego. Tu też zdobywało doświadczenie wielu dowódców węgierskich, którzy później wsławili się w walkach przeciw Turkom.

Powszechnie panuje przekonanie, że za panowania Batorego sprawy polityki zagranicznej znacznie dominowały nad polityką wewnętrzną. Tymczasem nie jest to takie jednoznaczne. Wiele czasu i uwagi poświęcał bowiem Batory także kwestiom wewnętrznym. Wspomniano już o jego wysiłkach mających na celu spacyfikowanie kraju. Ale nie zawsze tą drogą rozwiązywał on problemy wewnętrzne. Należy przyznać, że, aczkolwiek z pewnymi trudnościami, Batory potrafił dostosować się do specyfiki sytuacji wewnętrznej Rzeczypospolitej. Pomógł mu w tym fakt, iż potrafił dobrać sobie właściwego doradcę. Został nim Jan Zamoyski, jedna z największych i jednocześnie najbardziej dyskusyjnych postaci tej doby. On — zostawszy kanclerzem i hetmanem — wspólnie z Batorym układał wielkie plany polityczne, jego był znaczny udział w sukcesach w wojnie z Moskwą, on potrafił zręcznie manewrować między szlachtą a magnaterią. Szczególnie ten ostatni problem kosztował obydwu wiele wysiłku.

Na sejmie 1578 r. powołany został Trybunał Koronny, do którego należały apelacje od sądów szlacheckich w sprawach cywilnych i karnych. Było to na pewno ustępstwo ze strony króla, ale ustępstwo konieczne. Uszczuplilo ono co prawda władzę królewską, ale nie przyczyniło się do spadku prestiżu władcy. Położyło bowiem kres nieustannym skargom na niedołęstwo sądownictwa królewskiego.

Ze względów koniunkturalnych Batory niekiedy próbował się odwoływać w sprawach podatkowych bezpośrednio do sejmów ziemskich. Umocniło to pozornie ich pozycję, ale pozwalało królowi wygrywać rozbieżności pomiędzy szlachtą różnych ziem oraz przeciwstawiać sejmiki sejmowi walnemu.

Również ze względów koniunkturalnych Batory popierał oficjalnie katolicyzm. Wiedział bowiem, że większość szlachty polskiej była tego

Nagrobek króla Stefana Batorego, Santi Gucci, 1594 — 1595.

wyznania. Nie stał się jednak nigdy orędownikiem kontrreformacji. Kiedy stwierdził, że jezuici nadużywają swego stanowiska, stosując ucisk wyznaniowy, ostro przeciw nim wystąpił.

Dużo uwagi poświęcał także rozwojowi kultury i oświaty. Wraz z Zamoyskim przygotowywał reformę szkolnictwa, szczególnie Akademii Krakowskiej. W 1578 roku założył Akademię Wileńską. Był mecenasem poetów, pisarzy i historyków. Zabiegał o opracowanie dziejów tak Węgier, jak i Rzeczypospolitej. Historykiem jego panowania był Reinhold Heidenstein.

Największe jednak zasługi położył Batory w dziedzinie wojskowości. Był twórcą piechoty wybranieckiej, która mogła przyczynić się do znacznego wzmocnienia potencjału wojskowego Rzeczypospolitej. Niestety opór szlachty, dostrzegającej w niej wyłącznie niebezpieczny element, który w rękach króla może zagrozić złotej wolności szlacheckiej, spowodował, że Batory nie doprowadził tej kwestii do końca. Podobnie miała się sprawa z rejestrem kozackim. Dla Batorego było to znaczne umocnienie potencjału wojskowego Rzeczypospolitej, dla szlachty — niebezpieczne narzędzie w ręku króla.

Batory nigdy nie zapominał o swoim pochodzeniu. Był Węgrem i pozostał nim do końca. Zawsze żywił sentyment dla swej ziemi rodzinnej, o której mówił: „Milszy mi jest dym snujący się nad mymi wioskami, niż najdroższe skarby". Nie pogodził się też nigdy z podziałem swej ojczyzny: na podległe Habsburgom królestwo węgierskie, ziemie okupowane przez Turków i uzależniony od Porty Siedmiogród. Miał nadzieję, że on sam będzie tym, który doprowadzi do zjednoczenia kraju, stąd się wzięły jego ambitne plany wielkiej wojny antyturreckiej. Te plany Batorego nie odbijały się w najmniejszym stopniu na jego polityce polskiej. Zawsze pamiętał o polskiej racji stanu i starał się nią kierować jako król Polski.

Zmarł niespodziewanie 12 grudnia 1586 r. Odszedł jeden z najwybitniejszych polskich królów elekcyjnych. Docenili go już niektórzy ówcześni. Jan Kochanowski, który wcześniej był zwolennikiem Habsburgów, w 1578 r. pisał o Batorym:

Serce nieomylnie tuszy, że cię z Bolesławy
Równo Polska kląść będzie, a ty nie ustawaj,
Ale dobrych początków coraz dokonywaj
Jeszcze lepiej!...

Oddała mu też sprawiedliwość historia. „Polak w służbie wygórowal, Zamoyski radził, Batory panował" — napisał o polskim królu z Siedmiogrodu i jego doradcy, znakomity dziejopis, Julian Ursyn Niemcewicz.

Leszek Piątkowski

noty

ANDREA JAWORSKA

BÉLA BARTÓK — 40 ROCZNICA ŚMIERCI

Przed czterdziestoma laty zmarł największy spośród kompozytorów węgierskich, jeden z najbardziej znanych na świecie, Bela Bartók.

Był człowiekiem drobnej postury, o gładko przyczesanych białych włosach, ogromnych wyrazistych oczach, w których jakby malował się rygor charakteru, tak niezbędny w sztuce kompozycji zmierzającej do klasycznej koncentracji i symetrii, do bogactwa kolorystyki dźwiękowej i instrumentacji. Żył zaledwie 64 lata i odszedł w pełni sił twórczych. Zmarł w czasie pracy nad trzecim koncertem fortepianowym, którego słuchając zdajemy sobie sprawę, jak ogromne bogactwo ducha tkwiło jeszcze w tym niepospolitym człowieku.

Komponować od dziewiątego roku życia. Był z natury chorowity, słabego zdrowia, i tylko ogromna siła wewnętrzna pozwalała mu tworzyć i walczyć o byt. Pierwszą nauczycielką gry na fortepianie i nieodłącznym towarzyszem jego życia była matka.

Ukończył budapeszteńskie konserwatorium i zajął się między innymi badaniem muzyki ludowej, przez trzydzieści lat zebrał ponad 16 tys. autentycznych melodii ludowych węgierskich, słowackich, serbskich, chorwackich, rumuńskich i innych.

Od 1907 roku był profesorem fortepianu w konserwatorium w Budapeszcie; występował też jako wybitny pianista w wielu miastach Europy i w USA. Umiał także wspaniale akompaniować i czytać partytury. Był nie tylko solistą i prawykonawcą swoich arcydzieł ale akompaniował takim sławom jak: József Szigeti, Benny Goodmen, Yehudi Menuhin i inni.

Początki jego nauki związane były z muzyką niemiecką. Jego profesorowie, często Niemcy, albo Austriacy, preferowali w swoich metodach dydaktycznych głównie tradycję niemiecką.

Ten wpływ silnie oddziaływał na artystę na początku twórczości. Był jednak Węgrem i pod wpływem węgierskich salonów (Sándor Emma) coraz częściej sięgał do źródeł muzyki narodowej.

Oprócz studiowania i zbierania folkloru, wspólnie z Zoltanem Kodalyem, inspirowany właśnie pasją folklorystyczną, napisał symfonię pt. *Kossuth* wykonaną już w 1904 roku w Manchesterze przez Jánosa Richtera. Symfonia ta stawiała go w pierwszym rzędzie światowych kompozytorów.

Twórczość Bartoka jest pod względem środków, stylu i wyrazu bardzo różnorodna. Był jednym z najradykalniejszych odnowicieli języka muzycznego obok Schönberga, Weberna, Strawińskiego.

Lata 1904-1906 przyniosły wielkie szanse na zrobienie zawrotnej kariery, poprzez wyjazdy i koncerty w Anglii, Hiszpanii, Portugalii i Francji, czemu sprzyjała znajomość wielu języków. Do tego jednak nie doszło — zabrakło mu mecenasa. Począwszy od 1907 roku narasta jego niezadowolenie wobec otoczenia. Nie potrafi cenić ludzi zadowalających się muzycznym blichtrem, a nie szanujących wielkiej muzyki narodowej. Mimo że jest najmłodszy wiekiem spośród profesorów budapeszteńskiego Konserwatorium,

porzuca pracę dydaktyczną. Uważa że pedagogika pochłania zbyt wiele czasu, który pragnie poświęcić tylko kompozycji i zbieraniu folkloru. Fakt ten nie przysparza mu przyjaciół, których jako silna indywidualność i tak nie miał zbyt wielu. Otrzymuje stypendium i dalej zagłębia się w swojej pasji zbierania docierając nawet do folkloru arabskiego. W tym czasie sukcesów kompozytorskich nie notuje. Wprawdzie Opera Budapeszteńska planuje wystawienie jego opery *Zamek Księcia Sinobrodego*, jak również koncerty mające na celu popularyzację folkloru i współczesnej muzyki węgierskiej, jednak zamierzenia te nie dochodzą do skutku.

Od roku 1908 można uważać, że Bartok był jednym z najbardziej ekspansywnych kompozytorów ówczesnej awangardy muzycznej, ale przeciwstawiał się wszelkim daleko idącym innowacjom, a szczególnie dodekafonii. Trudno powiedzieć w jakim stopniu rozwijał się indywidualny styl kompozytora. Czy w jednoaktowej operze *Zamek Księcia Sinobrodego*, czy w muzyce orkiestrowej jak np. *Suita na orkiestrę*, osiągnął najwyższe natężenie? Formalnie dążył do matematycznej doskonałości wypowiedzi, do granicy możliwości wykorzystania instrumentów, ich barwy i surowej techniki brzmienia. Nigdy nie zabiegał o to, by reprezentować jakikolwiek styl, poza stylem osobistym, własnym. Oddalał się od czystych stylizacji i dążył do uniwersalnego traktowania folkloru, jako materiału do konstrukcji nowych form muzycznych. Dzięki niemu świat poznał urodę prawdziwej muzyki węgierskiej, muzyki o specyficznej rytmice, z osobliwą melodyką i harmonią. Do chwili pojawienia się Bartóka znano Węgrów niemal wyłącznie jako Cyganów, a muzyka węgierska była rozumiana tak, jak ją pojmował Liszt.

Béla Bartók

Po pierwszej wojnie światowej, zamknięte granice uniemożliwiają mu tournée koncertowe w Transylwanii, jak również dalsze zbieranie starych ludowych pieśni węgierskich. W listopadzie 1918 roku, w wyniku rewolucji i upadku monarchii habsburskiej, Węgry stają się republiką. Rozpoczyna działalność budapeszteńska Akademia Muzyczna, na czele której staje dyrektor Ernő Dohnanyi, natomiast Bartok (obok Kodálya) zostaje jednym z zastępców. Na Węgrzech następują radykalne zmiany polityczne, w wyniku których proklamowno Węgierską Republikę Rad. W ciągu niespełna pięciu miesięcy nowej władzy, Bartok, bardzo aktywnie uczestniczył w jej działalności. Korzystano z wielu jego koncepcji, miał liczący się głos doradczy, co sprawiało, że czuł się potrzebny. Wykorzystując swoją pozycję opracował projekt wprowadzenia do szkół ludowych trzyletniego kursu nauki śpiewu i nut, co miało na celu wyławianie talentów muzycznych. W tym właśnie okresie powstają takie utwory jak *Cudowny mandaryn* — pantomima w 1 akcie op. 19 — symbol zwyciężającej wszystko miłości, uważany dziś za jedno z najwybitniejszych jego dzieł.

Po upadku władzy rad przywrócono monarchię i rozpoczęły się rządy dyktatora Hortyego. Sprzymierzeńcy obalonej władzy narażeni byli na prześladowania. Wielu uczonych i artystów opuszcza Węgry. Już w tym czasie uważano Bartóka za wybitnego przedstawiciela nowoczesnej muzyki. Wiele koncertuje jako wykonawca swoich utworów i akompaniator. Występuje w Anglii, Francji ze skrzypaczką Jelly d'Aranyi. Spotyka się również w Paryżu z Ravelem, Strawińskim i Szymanowskim. Tu należy wymienić skomponowane w owym czasie dzieło *Cantata profana*. Wprawdzie tekst jest balladą rumuńską, ale w muzyce nic ma nic z folkloru rumuńskiego.

Tomasz Mann tak wspominał: *Niekroć widziałem Belę Bartoka, rozmawiałem z nim i słuchałem go, zawsze byłem głęboko poruszony, nie tylko jego sympatycznym obejściem, ale jego wielkim artyzmem, który emanuje już z samego pięknego blasku jego oczu.* Bartok był niezwykle prawym człowiekiem. Prawda była najwierniejszym jego przyjacielem.

W latach trzydziestych Bartok coraz częściej myśli o emigracji. Narastanie fali faszyzmu budzi jego przerażenie. *Jeśli ktoś zostanie, kiedy mógłby odejść, znaczy że akceptuje to, co się tu dzieje* — pisał do Sándora Weöresa w roku 1930. Wiedział że po kapitulacji i podporządkowaniu się Niemcom, jego rola jako artysty będzie skończona. Całe doby pracował nad nowo pozyskanym materiałem folklorystycznym, chcąc tę pracę skończyć jeszcze przed wybuchem wojny.

W 1939 r. umiera ukochana matka. W tej sytuacji plany emigracyjne stają się rzeczywistością. W roku 1940 Bartok wyjeżdża do USA. Początkowo pracuje jako naukowiec, i wygłasza referaty na takich uniwersytetach jak Harvard czy Columbia (gdzie otrzymał doktorat honoris causa). Mimo tych zaszczytów cały czas boryka się z poważnymi kłopotami finansowymi. W 1941 roku jest już poważnie chory. Praca ponad siły zaczyna odbijać się na zdrowiu artysty. Mniej pracuje nad folklorem, ale stara się wydać zbiór pieśni rumuńskich, wraca również do inspiracji bułgarskich.

Rok czterdziesty pierwszy jest niejako przełomowym w jego życiu i twórczości. Artysta pracuje ze zdwojoną siłą. W tym krótkim czasie napisał takie wybitne dzieła jak *Koncert na orkiestrę*, który obok *Cudownego mandaryna* jest jego szczytowym osiągnięciem. W tym okresie powstaje również *Sonata na skrzypce*, którą wykonywał w Nowym Jorku w 1944 roku sam Jehudi Menuhin.

Zmarł w roku 1944, już jako kompozytor światowej sławy, ale jego muzyka zdobyła popularność dopiero po kilku latach. Któryś z poetów stwierdził: *Poeci najlepiej potrafią muzyki słuchać, najbardziej ją rozumieć i najmocniej kochać.* Jak Norwid, Lechoń, Gałczyński. Oddajmy na chwilę głos temu ostatniemu, i posłuchajmy jego pieśni o Bartóku:

Béla Bartók, tyś się pomylił w koncercie
to nie tak, to nie tak, to nie tak —
ten najwyższy, przeraźliwy ton na kwincie
gdzie on jest?
Gdzieś go zgubił Béla Bartok?
Ty nie myśl, że to tak można
z oczu łzy jak sok z winnych gron —
ty spójrz: jak król Lear stoi klon
i jesienią śpiewa jak sopran.
Ech, co za noc. Nów dirty.

nad klonem zajął swe miejsce.
Gwiazdy podeszły do szyb, jak dwaj muzykanci
z miejscy.

lepsi niż ty, Bela Bartok.

Andrea Jaworska

LUDWIK GAWROŃSKI

STANISŁAW SERWACZYŃSKI DYRYGENT OPERY W PESZCIE

Stanisław Serwaczyński zapomniany dziś skrzypek, kompozytor, dyrygent i pedagog był — wraz z Karolem Lipińskim i Apolinarnym Kątskim — twórcą polskiej szkoły skrzypcowej w pierwszej połowie XIX wieku. Spotkanie i rywalizacja z Paganinim sprawiły, że jego nazwisko splotło się nierozerwalnie z nazwiskiem wielkiego Włocha. W historii muzyki Serwaczyński znany jest przede wszystkim jako nauczyciel dwóch wirtuozów smyczka; Józefa Joachima w Peszcie i Henryka Wieniawskiego w Lublinie.

Urodził się 16 listopada 1790 roku w Lublinie, jako syn Michała i Heleny z Pileckich[1]. Atmosfera domu rodzinnego i otoczenia wybitnie sprzyjała rozwojowi muzycznemu. Muzykowanie ojca na stanowisku koncertmistrza kapeli kolegiackiej, stałe próby z orkiestrą, rozmowy na tematy muzyczne sprawiały, że już od najwcześniejszych lat stykał się na co dzień ze światem dźwięków. Pierwszych zasad muzyki i gry skrzypcowej udzielał Stanisławowi ojciec; gry na fortepianie uczył go Jan Barcicki, autor słynnego ongiś „Polonezu Kościuszki". W wieku 12 lat wyjechał do pobliskiego Kocka, gdzie wziął kilka lekcji gry na skrzypcach u węgierskiego kapelmistrza Gwadagnigo[2]. Później kształcił się w Preszburgu (dziś Bratysława); gdzie przez trzy lata był uczniem „znanego ze wszech miar zaszczytnie" hrabiego Quadagni.

W 1810 roku Serwaczyński wyjechał na stałe do Lwowa, tu został skrzypkiem orkiestry teatralnej a po roku pracy objął — po wspomnianym K. Lipińskim — stanowisko koncertmistrza tej orkiestry.

Po sześcioletniej nieobecności Serwaczyński przyjechał do rodzinnego Lublina, gdzie wystąpił na dwóch koncertach 6 i 8 lipca 1816 roku. Grał wówczas koncert skrzypcowy Kreutzera i Rodego, a także popisywał się swoją techniką w potpourri Duranowskiego. Miejscowy sprawozdawca Jan Karol Pruski pisał m.in. iż *biegłość jego nadzwyczajna w egzekucji koncertów, zjednała temu młodemu artyście głośne oklaski i najchlubniejsze pochwały*[3].

Od tej chwili Serwaczyński zdecydował się na karierę wirtuoza i postanowił pokazać się także poza Lwowem. 8 października 1818 r. wystąpił w Teatrze Narodowym w Warszawie, o czym lakonicznie donosiła miejscowa prasa: *...po komedii Odwet, czyli Barbara Zapolska, Serwaczyński grać będzie na skrzypcach koncert kompozycji Lubana, i Taniec polski kompozycji Maysedera*[4].

Koncerty w owym czasie organizowane były przez samych wykonawców, toteż odbywały się one nieregularnie i dosyć rzadko. Prym wiodła opera, wszelkie inne imprezy schodziły na plan dalszy. Dlatego też formą wstępną, poprzedzającą właściwy koncert solisty, były popisy artysty w antraktach spektakli operowych i teatralnych.

W 1821 roku Serwaczyński — uznany już przez krytykę i dobrze przyjmowany przez publiczność w kraju — wyjeżdża na pierwsze zagraniczne tournee koncertowe do Wiednia. Celem tego wyjazdu są nie tylko koncerty, ale również doskonalenie warsztatu wykonawczego u Ludwika Spohra. Kiedy w osiem lat później koncertował w Warszawie, namawiano go, aby osiadł tu na stałe. Wspomina o tym Fryderyk Chopin w liście z 20 października 1829 roku pisanym do Tytusa Woyciechowskiego w Poturzynie: *...Trzeba ci wiedzieć, że Kessler co piątek daje u siebie małe muzyczki. Tam się wszyscy schodzą i grają*

[1] Archiwum Państwowe w Lublinie „Liber baptizatorum 1790-1803", s. 109.

[2] „Ruch Muzyczny" 1860 nr 40, s. 653.

[3] *„Dostrzegacz Polityczny i Ekonomiczny Lubelski"* 1816 (dod. do nru 30 z 11 lipca).

[4] „Gazeta Codzienna Narodowa i Obca" 1818 nr 7, s. 4.

[...] I tak zaprzeszłego piątku był Koncert Riesa cis-moll w kwartecie, było Trio Hummla E-dur. Trio Beethovena ostatnie [...] Serwaczyński akompaniował, a on bardzo ładnie akompaniuje. — Ma dać w tym tygodniu koncert. Podług mnie niepotrzebne to są rzeczy, ale go tym ekskuzują, że chce tu zostać (co by niezle było), chce lekcji i spodziewa się, że to najlepszy środek dostania godzin. „Jak powrócę i Ty już będziesz w Warszawie, parę razy zrobimy trio, co mi już obiecał, bo Bielawskiego strasznie prosić się trzeba, a moja różnica. — Słowem, ślicznie akompaniuje..."[5]

Serwaczyński nie uległ jednak namowom i nie osiedlił się w Warszawie. Planował wyjazd do Włoch, który zrealizował w połowie 1830 roku. Po jego występach w Wenecji tamtejsza prasa pisała, iż nie słyszano tam nikogo po Paganinim, kto by na tym trudnym instrumencie tak wybornie wykonywał dzieła muzyczne[6].

Po prawie rocznej nieobecności powrócił Serwaczyński do Lwowa. 15 października 1831 r. urządzono mu w sali redutowej „wielki muzykalny koncert", jako jego benefis, po którym w „Rozmaitościach Lwowskich" (1832 nr 1) pisano, iż *gra jego przez podróże wiele na uzupełnieniu zyskała.*

W pół roku później Serwaczyński wyjechał na stałe do Wiednia. Po koncercie z 25 kwietnia 1832 roku „Wiener Theater Zeitung" napisała m.in., iż *już przy pierwszym wystąpieniu swoim w Wiedniu, artysta ten wzbudził uwagę i podziwienie i [...] Gra jego stała się zupełnie spokojniejszą i pewniejszą, jak podczas dawniejszego w Wiedniu pobytu. Tak w miejscach śpiewnych, jak i w pasażach wyszczególnia się osobliwie, a mianowicie pięknie udaje mu się staccato. Odbierał wiele oklasków i został przywołany.*[7]

Prawie ośmiomiesięczna działalność Serwaczyńskiego w stolicy Austrii wniosła poważny wkład w rozwój życia muzycznego tego miasta, gdzie żywe były jeszcze tradycje Haydna, Mozarta i Beethovena. Zapewne cieszył się on w tamtejszym środowisku wielką popularnością, skoro jedno z pism wiedeńskich, pisze, że *w skrzypcach Serwaczyńskiego spoczywa rój ipiących duchów muzyki, których on czarodziejskim smyczkiem swoim budzi i ożywiać umie (...) Wariacje jego z polskiego tematu elektryzowały serce i duszę, i zamurzały słuchacza w morze uniesienia. Oklaski, które odbierał były więcej zasłużone, niż wielkie, niżli ich tu doznał który wirtuoz na skrzypcach*[8].

Z Wiednia Serwaczyński często wyjeżdżał z koncertami do Peszte. Węgry urzekały go swoim folklorem i stylem życia... Postanowił się tu osiedlić.

Z informacji prasowych wiadomo, że 30 kwietnia i 3 maja 1833 r. artysta koncertował w Peszcie, gdzie był „z wielkim zadowoleniem przyjęty". 5 grudnia tegoż roku wystąpił z koncertem w sali pod „Siedmioma elektorami" w Budzie. Według prasy *piękną grą swoją zajmował świetne towarzystwo zgromadzonych na tym koncercie osób. Wariacje węgierskie własnej jego kompozycji, które grał tego wieczora, podobały się niezmiernie.*

2 kwietnia 1834 r. odbył się w Peszcie występ młodej pianistki Niny Oniez, uczennicy Wacława Würfla — byłego nauczyciela Chopina w konserwatorium warszawskim — współuczestnikiem koncertu był Serwaczyński. Wykonał on wariacje na skrzypce kompozycji Beneza, które „z równym prawie zapałem przez miłośników muzyki przyjmowane były".

W latach 1834-1836 działało w Peszcie tzw. towarzystwo wesołości, skupiające 60 członków. Miało ono zasadę, iż nie przyjmowano doń muzyków zawodowych. Po roku czasu odstąpiono jednak od tej reguły, przyjmując dwóch artystów muzyków. Domokosa Perlaska i Stanisława Serwaczyńskiego. Celem tego stowarzyszenia było organizowanie wieczorków muzyczno-tanecznych, a koncerty prywatne, czyli tzw. „zabawy muzykalne", odbywały się co sobotę pod dyrekcją Serwaczyńskiego. Cieszyły się one dużym powodzeniem. Miejscowy „Der Spiegel" z uznaniem wyraża się „o tych muzykalnych zabawach (których dotąd dwie było) o talencie muzycznym ich przedsiębiorcy i tych, którzy mu pomagają: pp. Merkla, Perlasky, Hory..."

Wspomniani muzycy byli inicjatorami założenia w Peszcie Instytutu Muzycznego. Inicjatywa mogła się urzeczywistnić dzięki poparciu miejscowych władz i adwokata Sandora Domeny. Uroczyste otwarcie Instytutu odbyło się 5 stycznia 1835 roku. W trzy miesiące później (6 marca) Serwaczyński grał w Koszycach koncert skrzypcowy Kaliwody i wariacje Pechaczka, zaś w maju, w Peszcie, koncert skrzypcowy f-moll Guhra na rzecz wspomnianego Instytutu Muzycznego. W następnym, 1836 roku w prasie znajdujemy

[5] *Korespondencja Fryderyka Chopina*, oprac. B. E. Sydow, t. I, Warszawa 1955, s. 110.

[6] „Rozmaitości Lwowskie" 1832 nr 1, s. 7.

[7] „Rozmaitości Lwowskie" 1836 nr 50, s. 401.

Stanisław Serwaczyński

lakoniczne wzmianki o koncertach: *Pan Serwaczyński daje w Peszcie muzyczne wieczory, na których grywają najlepsze kwartety... Nasz przedziwny, ubiłony wirtuoz na skrzypcach Stanisław Serwaczyński, zajął nas wielce swoim koncertem, danym dnia 1 listopada br.*

W drugiej połowie stycznia 1837 r. Serwaczyński wraz z warszawskim wiolonczelistą, Józefem Wagnerem grali w Kolosworze (Klausenburg) w Siedmiogrodzie, a także w Temeswarze, gdzie „największe odbierali pochwały". Od 19 do 21 stycznia polscy muzycy występowali w Arad. Serwaczyński grał m.in wariacje na temat waka Pechaczka oraz fragmenty z pełni polskich Duranda. Po ich występach pisano, iż *obu artystów tak na publicznych, jako też na prywatnych koncertach, z największym wyszczególnieniem przyjmowano*.

W sierpniu 1838 r. Serwaczyński rozwiązał kontrakt z operą w Peszcie, już wcześniej bowiem „został zaproszony na doskonałych warunkach" na analogiczne stanowisko do Lwowa.

Wobec niewielkiej ilości materiałów faktograficznych o jego działalności muzycznej na stanowisku dyrygenta teatru operowego w Peszcie, głównym źródłem informacji są jedynie doniesienia prasy polskiej, węgierskiej i austriackiej z owych lat. Pozostaje więc nadal aktualny postulat archiwalnych studiów nad mało znanym okresem biografii artystycznej polskiego skrzypka — wirtuoza wśród węgierskich melomanów i przyjaciół.

Następcą Serwaczyńskiego na stanowisku dyrygenta opery w Peszcie został kapelmistrz Franciszek Döppler Tu, w roku 1847, odbyło się prapremierowe wykonanie jego opery „Beniowski" wg Kotzebuego.

W kalendarium następnych poczynań muzycznych Serwaczyńskiego należy odnotować, m.in. jego kolejny wyjazd na koncerty do Warszawy (w końcu 1840 r.) oraz dwukrotnie do Lublina, gdzie dał trzy koncerty na fundusz miejscowego Towarzystwa Dobroczynności. Na trzecim koncercie (11 lutego 1841 r.) grał w teatrze, w antraktach opery „Norma" Bellinigo wystawionej przez zespół Hipolita Popiołka. Recenzent zanotował, iż grę Serwaczyńskiego cechuje *wytworny gust i wysoka biegłość w wykonaniu [które] przejęły serca słuchaczów rozczuleniem i zachwytem.*.

W Lublinie zabawił Serwaczyński około dwóch miesięcy. Czas upływał mu na muzykowaniu w salonach prywatnych, m.in. w znanym salonie doktorostwa Wieniawskich. Wówczas to udzielił kilku lekcji 6-letniemu Henrykowi Wieniawskiemu.

W latach 1847-1858 osiadł na stałe w Lublinie, od czasu do czasu wyjeżdżał stąd z koncertem do Lwowa czy Warszawy, np. w sierpniu 1851 roku, po którym ukazało się w „Gazecie Warszawskiej" (z dnia 11 sierpnia) następujące sprawozdanie:

...Pan Serwaczyński opuścił na dni kilka swój spokojny Lublin, miał czas po temu, wiedział, że wzięcie jego imienia w Warszawie żyje cugle, znów się z innymi współbraćmi w sztuce i dał koncert dla ubogich. Lat już wiele jak go w Warszawie słyszano, czas jednak nie zdołał spożyć talentu, ta sama w nim pewność, ta sama precyzja i czystość tonu, którą kiedyś nie tylko tu, ale i w innych stronach na imię sobie zarobił. Lata nie ujęły mu ognia i zapału: ów znakomity weteran sztuki, z całym wdziękiem młodzieńczego talentu wykonywał te wszystkie trudne rewolucje z rondo Ruxse Beriota, z 20-letnią dziarską duszą grał mazura swej kompozycji...

W połowie r. 1858 córki zabrały go do Lwowa. 7 listopada miał tu ostatni swój występ; wykonał wówczas koncert skrzypcowy Beriota z towarzyszeniem fortepianu Karola Mikulego, b. ucznia Chopina w Paryżu. Sprawozdawca „Dziennika Litewskiego" (1858 nr 132) pisze, iż *dziwić się potrzeba, skąd w takim wieku bierze on jeszcze tyle siły do wykonania tak trudnego i obszernego utworu. Ton jego smyczka jest dotąd jeszcze piękny, silny i rozległy.*

Stanisław Serwaczyński — współtwórca polskiej szkoły skrzypcowej, nauczyciel i wychowawca wielu wybitnych muzyków, skrzypek-wirtuoz („drugi po Paganinim") — zmarł we Lwowie 30 listopada 1859 roku.

Ludwik Gawroński

JAN KULNIANIN

ZIEMIA WĘGIERSKA AZYLEM POLAKÓW

Niesłabnące zainteresowanie Heleny i Tibora Csorbów historią stosunków polsko-węgierskich w latach II wojny światowej zaowocowało ich kolejną, interesującą książką[1]. Dramatyczne wydarzenia kampanii wrześniowej 1939 roku spowodowały, że w połowie tego miesiąca granicę polsko-węgierską przekroczyło wiele tysięcy żołnierzy polskich oraz znaczna ilość uchodźców cywilnych[2]. Wielu z nich udało się wkrótce na Zachód, aby stanąć w szeregach Armii Polskiej organizowanej przez rząd gen. Sikorskiego. Około osiemnastu tysięcy Polaków pozostawało na Węgrzech przez cały okres wojny, doczekawszy się z końcem 1945 roku utęsknionej chwili powrotu do ojczyzny. Ich pobyt na gościnnej ziemi Arpadów, zarówno ten krótki, jak i ten kilkuletni, stanowi zasadniczą treść recenzowanej książki.

W złożonym opisie i wzajemnie przenikających się interpretacjach autorzy przedstawiają wiele problemów. Wśród nich, szczególnie eksponowane jest zagadnienie tradycyjnej przyjaźni polsko-węgierskiej oraz wynikająca z niej pomoc dla Polaków w zakresie organizacji przerzutów żołnierzy na Zachód, przy milczącej „zgodzie" władz węgierskich i aktywnej pomocy ludności cywilnej. Sporo miejsca zajmuje również opis działalności polskich instytucji cywilnych i wojskowych, które tworzone były na ziemi węgierskiej dla ulżenia doli wojennego uchodźstwa.

Biorąc pod uwagę wykorzystane i opracowane przez autorów źródła i materiały, prof. J. Szczepański w przedmowie do książki stwierdza, że jest to pozycja *nietypowa, będąca zarazem monografią historyczną, zbiorem dokumentów osobistych, analizą socjologiczną z obszernymi wkładami psychologii społecznej, zbiorem wspomnień, a także studium porównawczym, a przynajmniej zbiorem materiałów do wielu porównań historycznych* (s. 7).

Zamysł napisania tego typu pracy podjęty został przez Csorbów w jesieni 1943 roku. Jako małżeństwo węgiersko-polskie[3] przebywali oni w czasie wojny w Budapeszcie i mimo

[1] Omawiana pozycja jest drugą książką poświęconą podobnej problematyce. W roku 1981 H. i T. Csorbowie opublikowali pracę: *Losy młodzieży polskiej na Węgrzech w czasie II wojny światowej*. PWN, Warszawa 1981.

[2] Dokładna liczba Polaków, którzy przekroczyli granicę węgierską w tym okresie trudna jest do ustalenia ze względu na żywiołowy charakter tej wędrówki, jak i częściowo tendencyjne jej formy, które nie zostały użyte w oficjalnych aktach urzędowych władz polskich, ani węgierskich. Według H. Donath (*Przemiany ustrojowo-prawne na Węgrzech 1920-1945*. Warszawa 1978, s. 55) w okresie kampanii wrześniowej na Węgrzech schroniło się ogółem 140 000 polskich uchodźców.

[3] „Wiréer Polskie", nr 7, 1980 z dnia 24.01.1940 r. informowały: *Dnia 18 bm. w kościele O.O. Paulinów w Budapeszcie odbył się ślub prof. Tibora Csorby, wielkiego i oddanego przyjaciela Polski, gorącego rzecznika zbliżenia polsko-węgier-*

że sami nie byli uchodźcami, to jednak znajdowali się zawsze w centrum spraw polskich, dzielili przeżycia uchodźców.

Chcąc zdobyć materiał, jak najpełniej odzwierciedlający myśli Polaków o Węgrzech, autorzy rozpisali w 1943 roku ankietę wśród uchodźców polskich, uzyskując uprzednio zgodę polskich i węgierskich władz na objazd wszystkich obozów. Ogółem odwiedzili 52 obozy polskie, organizując tam spotkania i zachęcając do wzięcia udziału w ankiecie. Do momentu okupacji Węgier przez wojska hitlerowskie (19.03.1944) wpłynęło ogółem 630 odpowiedzi. Stanowią one zasadniczy materiał źródłowy recenzowanej pracy. Na strukturę społeczną uchodźców, którzy wystąpili w roli respondentów *składali się w pierwszym rzędzie robotnicy i chłopi oraz niżsi funkcjonariusze państwowi i samorządowi. Inteligencję reprezentowali w dużym stopniu oficerowie. Literatów, profesorów i artystów było stosunkowo niewielu* (s. 17). Pytania ankiety dotyczyły następujących spraw.

1. Moje pierwsze zetknięcie się z Węgrami. O ile to miało miejsce przed 1939 r. opisać dokładniej, jakie wrażenie zrobiły wówczas Węgry i Węgrzy.
2. Przejście przez granicę węgierską w r. 1939 (lub później). Ustosunkowanie się Węgrów do Pani(a)
3. Objawy życzliwości ewentualnie nieżyczliwego ustosunkowania się Węgrów do Pani(a) i do Polaków w ogólności w czasie całego pobytu obecnego na Węgrzech
4. Wracając do kraju jakie pojęcie o Węgrzech i Węgrach zabierze Pani(Pan) ze sobą. Proste i jasne pytania pozostawiały autorom odpowiedzi możliwość swobodnego i indywidualnego opisu faktów i wydarzeń.

Nie tylko jednak wyniki ankiety stanowią podstawę źródłową interesującej książki Csorbów. Autorzy dla udokumentowania przyjętych hipotez wykorzystali także wspomnienia i listy pisane przez polskich uchodźców wojskowych i cywilnych przebywających w czasie wojny na Węgrzech, ich pamiętniki oraz szereg dokumentów instytucji polskich i węgierskich zajmujących się sprawami Polaków. Literatura tematycznie związana z historią stosunków polsko-węgierskich w latach 1939-1945 obejmuje łącznie 59 pozycji. Bogaty jest też zestaw wykorzystanej prasy i czasopism polskich, które we wspomnianym okresie wydawane były na Węgrzech.

Książka składa się z 7 rozdziałów: 1) *Dziedzictwo tysiącletniej przyjaźni*, 2) *Exodus z Polski na Węgry*, 3) *Powstanie i rola polskiego ośrodka na Węgrzech*, 4) *Węgry punktem etapowym na wojennym szlaku*, 5) *Formy życia w obozach internowanych żołnierzy*, 6) *Formy życia uchodźców cywilnych*, 7) *Rzeczywistość węgierska w świadomości uchodźców po czterech latach pobytu*. W części końcowej zamieszczona została bibliografia, indeks osób oraz 5 aneksów. Cenne uzupełnienie całości stanowi 16 fotografii, doskonałych pod względem technicznym, a tematycznie związanych z relacjonowanymi wydarzeniami. Opis książki nie byłby pełny, gdyby nie wspomnieć o umieszczonych w tekście karykaturach osób, głównie członków i sympatyków Komitetu Obywatelskiego do Spraw Opieki nad Uchodźcami Polskimi na Węgrzech, ich autorem jest znany karykaturzysta „Wielki Polskich" — Jerzy Szwajcer (Jotes)

W recenzowanej pracy, ponad połowę treści poszczególnych rozdziałów stanowią wypowiedzi uczestników ankiety. Większość z nich zgodnie stwierdza, że żywiołowa i spontaniczna sympatia wraz z objawami szczerego współczucia okazana pamiętnego września 1939 r. przez naród węgierski, była dla nich dużym zaskoczeniem. H. i T. Csorbowie słusznie podkreślają jednak w tym kontekście, że *bez dziedzictwa Batorych, Rakoczych, Petőfich, Bemów, stosunki, które się wytworzyły między nieoczekiwanie przybyłymi „bratankami" i gospodarzami ziemi Arpada, nie tylko nie byłyby zrozumiałe, ale potoczyłyby się innymi torami* (s. 21). Tradycyjna, wielowiekowa przyjaźń między obu narodami spowodowała, że właśnie na lata II wojny światowej i poprzedzające ją miesiące przypadło ożywienie na Węgrzech sympatii propolskich. Z wypowiedzi ankietowanych wynika, że mimo iż przybyli do kraju, w którym narastały gospodarcze i polityczne wpływy III Rzeszy, to jednak nawet władze państwowe wykazały w stosunku do nich daleko idącą przychylność.

słowo, z Panią dr Heleną Millerową z Warszawy, wybitną działaczką społeczną. Drugiemi byli p. Konrad Zawadzki i wybitny węgierski artysta — malarz p. Aba-Novak Vilmos. Na uroczystości przybyli oprócz członków rodziny Pana Mladegra przedstawiciele organizacji polskich w Budapeszcie i grono przyjaciół Młodej Pary. Konrad Zawadzki wręczył Panu Młodej bukiet kwiatów z barwach polskich ze wstęgą o kolorach węgierskich (...). Magistrat Młodej Parze, O. Mera Lisnio wyraził tę, by losy nie złączyły z pracą dla Niepodległej Polski i dla Węgier. Godny podkreślenia jest fakt, że na obrazach Pana Młodego był wyryty napis „Warszawa", a na obrazach Pana Młodej „Budapeszt". Słuszność tej, bez wątpiącej uwarytości podanej przez nas napisu pięknie naszej związanej, mianowicie się w gronie polskiej, jakby w katakumbach

Autorzy książki starają się być w swych ocenach bardzo obiektywni. Zamieszczone przez nich wypowiedzi uchodźców świadczą również o tym, że mimo przejawów sympatii węgierskiego społeczeństwa do Polaków, gotowości niesienia im pomocy i przychylności władz wojskowych i administracyjnych, wystąpiły również problemy, w większości spowodowane trudnościami wojennymi. Dotyczyły one głównie zakwaterowania uchodźców. Z perspektywy ponad 40 lat łatwo zauważyć, że niemożliwością było wówczas opracowanie jakichkolwiek planów w tym zakresie, a przede wszystkim bardzo trudno było ustalić liczbę ewentualnych uchodźców.

Praca nie przemilcza również opinii Polaków — czasem bardzo ostrych — na temat zarządzeń o internowaniu. Charakterystyczny jest tu fragment pamiętnika Eugeniusza Viktora, wachmistrza oddziału kawalerii, który pisał m.in.: *Nadeszła kampania żołnierzy węgierskich pod dowództwem dwóch lejtnantów. Żołnierze na rozkaz swych dowódców załadowali broń, nałożyli bagnety i otoczyli nas ze wszystkich stron.*

Byliśmy zdumieni takim zachowaniem się wojska węgierskiego. Zrobiło nam się przykro, przecież nie jesteśmy jeńcami, a tylko internowanymi wojskowymi, przy tym nie daliśmy żadnego powodu do tak ostrego postępowania z nami. Ale na tym nie koniec, oficerowie maszerscy trzymając ręce na pistoletach, ostrym tonem w języku niemieckim rozkazali nam wejść do swoich wagonów i natychmiast wydać broń palną i białą (...). Na placu przed wagonami ustawiono nas w dwuszeregu i jeden z panów lejtnantów oświadczył nam, że jesteśmy internowani i będziemy odstawieni do obozu (...). Od tej chwili nasz oficer nic nie miał do mówienia (s. 72-73).

Ale jakże sądzić można o załamaniu się przyjaźni polsko-węgierskiej, skoro inny z respondentów, w odpowiedzi na pytanie ankiety wspominał. *Po około dwóch do trzech godzinach jazdy końmi przeżyłem inną bardzo emocjonalną, lecz tym razem smutną i przykrą scenę składania broni (...). Żołnierze nasi rzucali ją ze smutkiem i bólem, a nieraz z wściekłością i łzami na ziemię tak, jak się rzuca polana drewne na jakiś wielki, wroczysty czy ofiarny stos (...). W danym wypadku, jak i we wszystkich innych zaobserwowanych w tym samym czasie i miejscu, podoficer węgierski zasalutował służbiście i zapytał, czy mają jakąś broń „skarbową"? Gdy mu odpowiedziano, że takiej nie posiadają, ale mają swoją własną w takiej a takiej ilości, odrzekł: „Tę mogą Panowie zatrzymać. Dziękuję, proszę jechać dalej"! I zasalutował ponownie. Jednym słowem zachowali się wobec nas tak, że nigdy tej sceny nie zapomnę. Ulkwiła mi ona głęboko w sercu... I to przyjęcie i pierwsze wrażenie złagodziło częściowo to wielkie nieszczęście* (s. 77-78).

W pracy wielokrotnie jest mowa o ofiarnej postawie ówczesnych urzędników ministerstw i administracji państwowej oraz członków organizacji militarnych. Przytoczone przez Csorbów przykłady świadczą o tym, że znaczna większość urzędników zajmujących się sprawami internowanych Polaków starała się w ramach swych możliwości sprawiedliwie i humanitarnie rozwiązywać wszystkie sprawy związane z pobytem Polaków na Węgrzech. Wielokrotnie przekraczało to ich kompetencje, wiązało się z ryzykiem utraty stanowiska, a po zajęciu Węgier przez Niemców, groziło nawet aresztowaniem.

Nie obce są jednak autorom książki dowody wdzięczności i poświęcenia jakie Polacy okazali Węgrom, w tym trudnym dla obu narodów okresie. Najlepiej świadczy o tym fakt, że tę właśnie książkę poświęcili *Henrykowi Sławikowi, prezesowi Komitetu Obywatelskiego do Spraw Opieki nad Polskimi Uchodźcami na Węgrzech — Oddziałowi Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej Rządu R. P., który był „polskim ojcem", opiekunem uchodźców. To właśnie on swą postawą udowodnił Węgrom, że Polak jest wierny w braterstwie i przyjaźni nawet w obliczu śmierci. „Polonia semper fidelis" — powiedział Jozsef Antall, dziękując Henrykowi Sławikowi, który uratował mu życie — choć zapłacił za to swoim* (s. 19-20).

Wiele wymowne jest również to, że za motto swej książki, przyjęli autorzy słowa Henryka Sławika, wydrukowane pierwotnie na łamach „Wielki Polskich" w dniu 13 maja 1943 r.[4] Wypowiedziane wówczas opinie potwierdzają w całej pełni tytuł recenzowanej pracy: *Gdy stopy nasze dotkną naszej świętej ziemi rodzinnej, wtedy wielu z nas popatrzy wstecz na gościnną ziemię węgierską, która przygarnęła nas tak serdecznie i dźwiga nas tutaj przez tyle lat. Zrozumiemy wtedy, że nie była to ziemia obca, ale ziemia naszych wiernych przyjaciół, którzy w złych i ciężkich godzinach nie wyparli się nas ale z całą odwagą godną tego szlachetnego narodu pomagali nam przebyć najtrudniejszy odcinek naszej tułaczki duchowej i fizycznej. Każda warstwa tego narodu, wielcy i mali, byli nam druhami w*

[4] „Wielki Polskich" — Budapeszt nr 57/1942 z 13.05.1943 r.

nieszczęściu. Wielu serdecznych przyjaciół spotkaliśmy tu, nie spodziewając się nawet, że jest ich tak wielu — często skromnych ludzi z odległych wsi, księży, lekarzy, urzędników, chłopów i robotników. Byli oni jak gdyby nieznanymi żołnierzami wspólnej naszej sprawy — szarymi ludźmi, którzy jednak nigdy się nie zachwiali i nigdy nam nie poskąpili swych serc. Nie zapomnimy nigdy o nich! Wdzięczność dla tego narodu będzie najlepszym pomnikiem przyjaźni dwóch naszych narodów.

Niech wdzięczność tę pielęgnują w swych sercach i młode pokolenia Polaków, wyrosłe już w Polsce Ludowej. Im to przede wszystkim dedykować należy ostatnią, wspólną książkę Heleny i Tibora Csorbów.

Jan Kulmann

Helena i Tibor Csorba. *Zarnim węgierska azylem Polaków 1939-1945*. Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1985, s. 365, ilustracje.

ZBIGNIEW JÓŹWIK

NORBERT LIPPÓCZY SENIOR WŚRÓD KOLEKCJONERÓW

W roku 1504 Albrecht Dürer wyciął w klocku drewnianym ekslibris dla słynnego humanisty Wilibalda Pirckheimera. Nie przypuszczał zapewne, że będzie to jeden z najstarszych ekslibrisów w ogóle, a także najstarszy znak książkowy z motywem winnej latorośli. Dla Norberta Lippóczyego, Węgra osiadłego w roku 1930 w Tarnowie, jak zapisze w katalogu swojej wystawy *Winorośl i wino w ekslibrisie* (Budapeszt 1970) „jest to szczęśliwe zrządzenie losu". Rodzina Albrechta Dürera wywodzi się bowiem z Węgier, ze wsi Ajtos koło Gyula.

Istvan Drahos, drzeworyt, 1983

„Zrządzeniem losu" dla małżonków Lippóczy był także podarek na Boże Narodzenie 1957 roku od nieżyjącego już artysty plastyka z Tarnowa, Józefa Szuszkiewicza, w postaci ekslibrisu wykonanego w technice drzeworytu. W znaku tym artysta przedstawił krzew winnej latorośli z kiściami owoców, wyrastający z książki. Po obu stronach owego krzewu umieścił obrazek ludowy malowany na szkle i ceramikę ludową. Elementy graficzne symbolizują związaną z winiarstwem 200-letnią tradycję rodzinną Norberta Lippóczyego oraz jego zainteresowania: bibliofilstwo a także kolekcjonerstwo ceramiki i malarstwa ludowego na szkle. Nie przypuszczał Józef Szuszkiewicz, że podarkiem swoim wyzwoli kolejną pasję u Norberta Lippóczyego — kolekcjonowanie ekslibrisów.

Norbert Lippóczy urodził się 11 marca 1902 roku w Tallyi. Jako dziecko pomagał ojcu w uprawie winnej latorośli i eksporcie wina. Gimnazjum ukończył w Koszycach a

Akademię Rolniczą w Debreczenie w roku 1924. Studia rolnicze pogłębiał jeszcze w Danii i Finlandii. Od roku 1930 zamieszkał na stałe w Tarnowie.

Rodzina Lippóczych pochodzi z Sáros z Górnych Węgier, gdzie w XVII wieku posiadała majątek ziemski w miejscowości Lipócz. Stąd i nazwisko rodowe Lippóczy. Szlachectwo otrzymała od ówczesnego króla Węgier w roku 1645. W końcu XVII wieku członkowie jednej gałęzi Lippóczych, z której pochodzi Norbert, przenieśli się na Spisz pod Podolinec.

W owym czasie ziemianie mieszkający na północy Węgier masowo zakładali winnice w okolicy Tokaju. Taką winnicę założyli również pradziadkowie Norberta Lippóczyego. Na Węgrzech było wtedy również wielu Polaków, którzy na Spiszu posiadali swoje majątki ziemskie. Kontakty towarzyskie między rodzinami węgierskimi i polskimi układały się serdecznie, często spotykały się one przy wspólnym biesiadnym stole. Pradziadowie Norberta Lippóczyego rozpoczęli z Polakami transakcje handlowe. W rodzinnym archiwum zachowały się dokumenty sięgające roku 1768. Warto zaznaczyć, że m.in. słynna rodzina Fukierów z Warszawy zaopatrywała się w wina u Lippóczych.

Ponowne stosunki handlowe z Polską nawiązał ojciec Norberta Lippóczyego w roku 1929. Przyjechał wtedy do Polski wraz z synem. Odwiedzali wielu dawnych odbiorców wina, rekrutujących się głównie spośród księży. Ojciec Norberta był bowiem zaprzysiężonym dostawcą win mszalnych. W Zakopanem byli u księdza Karola Machaja z Lipnicy Wielkiej na Orawie, który ukończył Seminarium Duchowne w Budapeszcie i świetnie władał językiem węgierskim. Rozmowy z księdzem Machajem dotyczyły również malarstwa ludowego na szkle. Już wtedy Norbert Lippóczy interesował się sztuką ludową, której stał się następnie namiętnym kolekcjonerem. Otrzymał w podarunku od księdza Machaja swój pierwszy w kolekcji obraz malowany na szkle. Przedstawiał on Świętą Annę nauczającą Matkę Boską.

Wędrując z ojcem po Małopolsce zdecydował się założyć eksportyturę swoich winnic w Tarnowie, mieście leżącym na tak zwanym szlaku „węgierskim". Prowadzenie eksportyturę winnic Lippóczych, znajdujących się w Tallyi na Pogórzu Tokajskim powierzono Norbertowi, jako najstarszemu synowi w rodzinie.

Przedsiębiorstwo handlu winem doskonale prosperowało a częste wyjazdy Lippóczyego na Węgry sprzyjały rozwojowi pasji kolekcjonerskiej — wyszukiwaniu najpiękniejszych

Józef Szuszkiewicz, drzeworyt, 1957

okazów malarstwa na szkle i ceramiki ludowej południowej Polski. Te wspaniałe czasy, jak sam o nich napisze, pełne szczęścia rodzinnego i sukcesów kolekcjonerskich, przerwała nagle druga wojna światowa. Rozpoczęły się wieloletnie perypetie rodzinne. Ucieczka

przed okupacją z Tarnowa zakończyła się rozdzielenim małżonków Lippóczy i syna. Żonie, Polce z urodzenia, udało się w końcu powrócić z synem do Tarnowa a Norbert, jako obywatel węgierski, wrócił ze Związku Radzieckiego dopiero po długich staraniach żony w sierpniu 1953 roku.

Zbiory sztuki ludowej, które szczęśliwie ocalały w czasie działań wojennych, postanowił Lippóczy przekazać w roku 1956 społeczeństwu tarnowskiemu. Był to wyraz wdzięczności Węgra, dla którego Polska stała się drugą ojczyzną. Był to także gest wdzięczności wobec mieszkańców Tarnowa, którzy w czasie bolesnych wydarzeń na Węgrzech, jesienią 1956 roku, samorzutnie zebrali 125 litrów krwi i dwa wagony żywności oraz odzieży dla mieszkańców Budapesztu.

Norbert Lippóczy stale uzupełniał zbiory sztuki ludowej. Są one obecnie własnością Tarnowa. Tak też będzie w przyszłości — jak zapowiada Lippóczy — ze zbiorami ekslibrisów. Znaków książkowych w kolekcji pana Norberta przybywało i przybywa. Zarówno tych zamawianych na jego nazwisko z motywem wina i winnej latorośli, jak też

Antal Fery, drzeworyt, 1984

otrzymywanych w darze i w wyniku szeroko prowadzonej wymiany zarówno w kraju, jak i z kolekcjonerami i grafikami na całym niemal świecie. Wśród wielu grafików węgierskich, którzy wykonali ekslibrisy dla Norberta Lippóczyego, wymienić należy między innymi: Istvána Drahosa, Antala Ferry, Árpada Nagy, Lenke Diskay, Zoltana Kaveczky i Ferenca Bordasa.

W roku 1969 Norbert Lippóczy przekazał swój zbiór ekslibrisów z motywem wina i winnej latorośli do Muzeum Rolnictwa w Budapeszcie. Ofiarowany zbiór liczy 800 znaków książkowych. Z najciekawszych prac Muzeum urządziło wystawę w roku 1970, opatrzoną pięknym katalogiem. Wystawa ta towarzyszyła XIII Międzynarodowemu Kongresowi Ekslibrisowemu, który obradował w tymże roku w stolicy Węgier. Kolekcję tę ofiarodawca stale uzupełnia. Obecnie liczy ona blisko 4000 prac o najwyższych walorach artystycznych i warsztatowych.

Ale nie tylko temat związany z profesją rodzinną interesuje Lippóczyego. Gromadzi on także prace ekslibrisowe i drobną grafikę okazjonalną dotyczącą np. harcerstwa czy wędkarstwa. Kolekcjonuje prace najwybitniejszych grafików obydwu swoich ojczyzn a także i z innych krajów Europy. Zbiory w obrębie danego tematu prezentuje często na wystawach, udokumentowanych katalogami.

Przypomnieć tu należy następujące wystawy zorganizowane przez Norberta Lippoczyego ze zbiorów własnych: *Winna latorośl w ekslibrisie*, Tarnów 1963; *Grafika Ferenca Bordasa*, Tarnów-Warszawa 1972; *Winna latorośl i wino w poezji i małej grafice*, Tarnów 1973, *Ekslibrisy harcerskie*, Tarnów 1980, *Węgierskie ekslibrisy i okazjonalne grafiki z lat 1926-1976*, Tarnów 1983; *Ekslibrisy Richarda Kaljo i Estonia)*, Tarnów 1983; *Kolorowe ekslibrisy i okazjonalne grafiki Maxa Kislingera*, Tarnów 1983; *Ekslibrisy Józefa Szuszkiewicza*, Tarnów 1984; *Ferenc Bordas -- ekslibrisy i okazjonalne grafiki*, Tarnów 1984 i inne.

Może warto tu także podkreślić fakt, że Lippóczy przekazał już wiele tysięcy interesujących eksponatów następującym instytucjom: Muzeum Okręgowemu w Tarnowie, Muzeum Diecezjalnemu w Tarnowie, Muzeum Rolnictwa w Budapeszcie, Muzeum Wina im. Fukierow w Warszawie (drugi zestaw ekslibrisów z motywem wina i winnej latorośli), Muzeum Wina w Zielonej Górze, Archiwum w Tarnowie, Polskiemu Związkowi Wędkarstwa w Tarnowie, Okręgowej Bibliotece w Kronach (RFN), Muzeum Zamek w Dębnie koło Tarnowa i Komendzie Chorągwi ZHP w Tarnowie.

Norbert Lippóczy prowadzi nadal ożywioną działalność wzbogacając swoje tematyczne kolekcje, jak również uczestnicząc w kolejnych Międzynarodowych Kongresach Ekslibrisowych.

Zbigniew Józwik

Część materiałów, które złożyły się na ten numer zawdzięczamy zaprzyjaźnionej z nami redakcji miesięcznika literackiego „ALFÖLD" ukazującego się w Debreczynie.

„Akcent"

Na pierwszej stronie okładki
Adam Manyoki *Portret węgierskiego szlachcica*

Na czwartej stronie okładki
Adam Manyoki *Portret Jakuba Rybińskiego wojewody chełmińskiego*

Fotografie barwne
ze zbiorów Muzeum Narodowego w Warszawie
wykonała Elżbieta Sęczykowska

Fotografie czarno-białe
Wojciech Kostecki oraz archiwum

Adres redakcji
20-022 Lublin
ul. Okopowa 7, I piętro
tel. 27-469

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.
Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów.

Cena prenumeraty: półrocznie 170 zł, rocznie 340 zł

Warunki prenumeraty:

1. dla osób prawnych — instytucji i zakładów pracy:
— instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa—Książka—Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach;
— instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa—Książka—Ruch" i na terenach wiejskich opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli;
2. dla osób fizycznych — indywidualnych prenumeratorów:
— osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa—Książka—Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli;
— osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa—Książka—Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonują używając „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa—Książka—Ruch";
Prenumeratę za zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa—Książka—Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153—201045—139—11. Prenumerata za zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o [illegible] dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

Termin przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę:
— do dnia 10 listopada na I półrocze roku następnego oraz cały rok następny.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe
RSW „Prasa-Książka-Ruch"
20-077 Lublin, ul. Jasna 6

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN
Lublin, ul. Unicka 4

Przekazano do drukarni 4 listopada 1985 r.
Druk ukończono w kwietniu 1986 r.
Zam. 2109 Nakład 5000 egz. Cena 85.— F-4